

**RESETUJEMY
„RESET” TVP**

**MOSKIEWSKIE
GRY O TRON**

**NOWA NAUKA
O MÓZGU**

**BIEŃCZYK
ŻEGNA KUNDERĘ**

Kraków 23 lipca 2023 nr 30 (3863)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

W co wierzy kardynał Ryś





7.07 -
31.08
2023

LETNIE TANIE KINOBRANIE



wszystkie kolory kina

17. wakacyjny festiwal filmowy w Krakowie

- 117 filmów
- 8 tematycznych tygodni
- bilety: 11 zł / 15 zł
- Kino Pod Baranami
i Małopolski Ogród Sztuki



KINO
Pod Baranami

www.kinopodbaranami.pl

KS. ADAM

Boniecki: Kardynałowie

PRZYWCZYLIŚMY SIĘ DO KOŚCIELNYCH URZĘDÓW. Nie bardzo zdajemy sobie sprawę, że był czas, gdy nie istniały znane dziś struktury. Mało też dla nas znaczy fakt, że te dzisiejsze kościelne hierarchiczne stopnie, tytuły itd. są wytworem swojego czasu, że ulegają korektom, że jedne przestają istnieć, inne zmieniają swój charakter. Te zmiany bywają powolne. Cóż, stare formuły zdają się po prostu wygodniejsze, a ludzie się przyzwyczajają. Historia pokazuje, jak ewoluowały nazwy i charakter niektórych funkcji, np. kardynalskiej.



starych krajów katolickich. Mało tego, zakres władzy następcy Piotra także był przedmiotem sporów i dyskusji. Nieomylność papieża określona (od niedawna) w prawie kanonicznym nadal budzi sprzeciwy i bynajmniej nie należy do spraw załatwionych raz na zawsze. W ogóle mało co jest załatwione raz na zawsze. Formuły dogmatyczne dopuszczają ich późniejsze uszczegółowienie, decyzje Najwyższego Pasterza wraz z jego śmiercią bywają na nowo precyzowane (i modyfikowane), nowe prawa mają zastępować te, które kiedyś wystarczały, a które dziś są wyraźnie zbyt zawężone.

W 769 r. synod w Lateranie odebrał osobom świeckim prawo wyboru papieża – a więc było tak przez ponad siedem wcześniejszych stuleci! Jak to opisał historyk Kościoła Jacek Borkowicz w „Przewodniku Katolickim”, odtąd prawo to miało już wyłącznie kolegium kardynalskie. Ale nie na długo. Pod naciskiem możnych rodów rzymskich papież Mikołaj I w 862 r. do grona wyborców włączył członków rzymskiej arystokracji. Dla Kościoła „były to najgorsze czasy, naznaczone przekupstwem, nepotyzmem (faworyzowanie własnej rodziny) i zbrodniami – czytamy. – Ukrócił to dopiero Mikołaj II, który w 1059 r. prawo wyboru papieża z powrotem ograniczył jedynie do kardynałów. Księża i lud rzymski mieli ów wybór potwierdzać przez akklamację, jednak z czasem również to prawo zostało cofnięte i od drugiej połowy XII w. kolegium kardynalskie stanowi wyłączny elektorat konklawe”.

Zresztą nadal przepisy o wyborze papieża ewoluują. Pamiętamy przecież zmiany dotyczące wieku elektorów i ich liczby. Międzynarodowy skład kolegium kardynalskiego też jest nowej daty. Dopiero za rozwojem chrześcijaństwa pojawili się kardynałowie innych narodowości niż ci z pra-

Dotyczy to nie tylko organizacji Kościoła, która wolno, bo wolno, lecz ulega zmianie. Nauczanie, które kiedyś wystarczało, staje wobec wyzwań osiągnięć naukowych i siłą rzeczy musi ulegać rewizji, ewoluować. Jesteśmy tego świadkami, nic zresztą dziwnego, że procesy te nie biegają błyskawicznie.

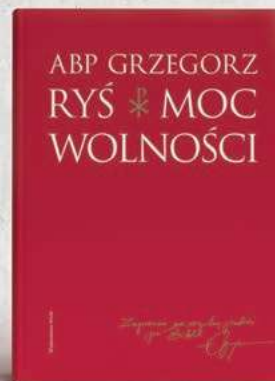
Nie znaczy to, że Kościół, jego struktury, nawet jeśli nie wynikają z nauczania Chrystusa, są nieporozumieniem. Świętość ludzi Kościoła to potwierdza: w starych strukturach byli autentyczni święci. Jednak z drugiej strony, dewiacje na drodze wcielania zasad głoszonych przez Kościół, wypaczanie stanów branych za świętość zmuszają do myślenia. Coś trzeba zmienić. Na myśl przychodzi proste stwierdzenie, że należy zmienić wiele interpretacji natury ludzkiej, jak również sposobu rozumienia doskonałości.

Ale przejdźmy do naszego nowego kardynała. Arcybiskup Grzegorz Ryś na pewno nie jest typowym biskupem z innej, odchodzącej epoki. Franciszek wyszukuje ludzi, którzy sposobem myślenia są mu bliscy, nie są niewolnikami starych formuł. ©P

ABP GRZEGORZ RYŚ, MOC WOLNOŚCI

NIE MA WOLNOŚCI
BEZ MIŁOŚCI I MIŁOSIERDZIA

Arcybiskup Grzegorz Ryś głosi Słowo Boże z mocą,
bez efektownej retoryki i z żywym doświadczeniem
bliskości Boga.



22 Pożegnanie z narodem

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Recepta na Polskę? Budujmy wysepki zaufania, otwierajmy stołówki i biblioteki albo zawierzmy demokrację lokalnym wspólnotom. Nawet najwięksi optymiści już nie wierzą, że jedno społeczeństwo jest możliwe.

**42 Miny, wszędzie miny**

ANTONINA PALARCZYK

Oddział, którym dowodzi młody oficer o pseudonimie „Komisarz”, ma wytyczyć ścieżki przez pola minowe. One są największą przeszkodą spowalniającą ukraińską ofensywę.

**58 Mentaliści**

ROZMOWA

Z NEUROBIOLOGIAMI,
CHRISEM I UTĄ
FRITHAMI:

Doskonale rozróżniamy śmiech spontaniczny i sztuczny. Potrafimy określić, jak dobrze inne osoby z sobą współpracują, tylko na podstawie tego, jak się śmieją.

**32 Użyteczna
fikcja**EDWARD
AUGUSTYN

Kim są kardynałowie? Jakie mają obowiązki i przywileje oprócz prawa wyboru papieża? I jakie nadzieje pokłada w nich Franciszek?

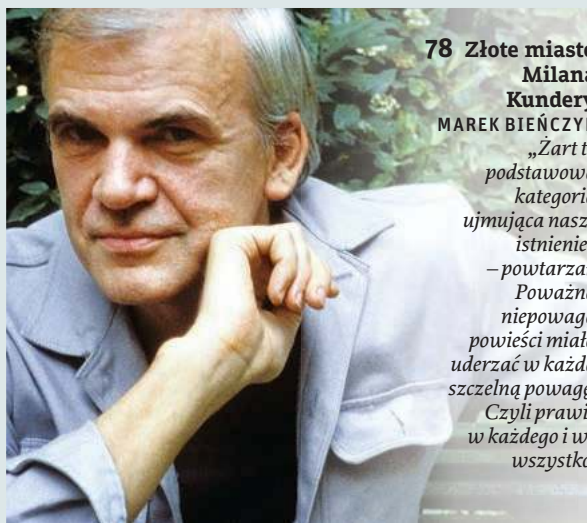
**64 Życie nad Niagarą**ROZMOWA
Z TOMASZEM
RÓŻYCKIM, POETĄ:

Pisanie może być jak wywoływanie duchów. Żeby one się już tak nie męczyły. Zwalniam je z obowiązków i zaniechań. Mogą powiedzieć to, czego nie udało im się powiedzieć za życia.

**78 Złote miasto
Milana
Kundery**

MAREK BIEŃCZYK

„Zart to podstawowa kategoria ujmująca nasze istnienie” – powtarzał. Poważna niepowaga powieści miała uderzać w każdą szczerłą powagę. Czyli prawie w każdego i we wszystko.



6 Co Zachód oferuje Ukrainie
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Pożegnanie z narodem
MAGDALENA NOWICKA-
-FRANCZAK

26 Lekcja Kamila
ROZMOWA Z JOANNA
GORCZOWSKĄ,
PSYCHOTERAUTKĄ:
*Uczmy się od Brytyjczyków, jak
chronić dzieci przed przemocą*

29 Instrukcja obsługi „Resetu”
JAKUB SZUMSKI, ANDRZEJ
TURKOWSKI o tym, jak serial
dokumentalny TVP gra
resentymentami

■ ■ WIARA

32 Użyteczna fikcja
EDWARD AUGUSTYN

36 Ulsteru w Wiśle nie będzie
ANDRZEJ OTCZYK o życiu
członków kilkunastu Kościołów
w jednym takim miejscu

39 Kamienny kompromis
MARCIN CHODUŃ: W katedrze
w Paderborn zawisła tablica
z informacją o zaniedbaniach
dwóch zmarłych biskupów
w kwestii nadużyć seksualnych

■ ■ ŚWIAT

42 Miny, wszędzie miny
ANTONINA PALARCZYK

46 Gry o tron
ANNA ŁABUSZEWSKA:
W Rosji nastał czas niepewności

TEMAT TYGODNIKA



12 W co wierzy kardynał
MICHAŁ OKOŃSKI

Przez jednych oskarżany
o nieortodoksyjność, przez
innych o klerykalizm,
Grzegorz Ryś wciąż opowiada
o najważniejszym spotkaniu
w życiu.

■ FELIETONY ■

41 WOJCIECH BONOWICZ 63 TOMASZ STAWISZYŃSKI

76 OLGA DRENDA 77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ABP GRZEGORZ RYŚ
GRAFIKA: MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

48 Pomoc wybiórcza

MARTA ZDZIEBORSKA o szansach
mniejszości na uczelniach w USA

49 Hiszpania skręca w prawo
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: Lewica
może stracić władzę w Madrycie

50 Orkady, wyspy szczęśliwe
PATRYCJA BUKALSKA:
*Czy mały archipelag opuści Wielką
Brytanię?*

52 Larki znaczą przekleństwo
MAREK RABIŃ o fali przemocy
wobec kobiet w Indiach

■ ■ HISTORIA

54 Politycy i gangsterzy
PIOTR ŚMIŁOWICZ w 20. rocznicę
afery starachowickiej

■ ■ NAUKA

58 Mentaliści
ROZMOWA Z CHRISEM
I UTĄ FRITHAMI

■ ■ KULTURA

64 Życie nad Niagarą
ROZMOWA Z TOMASZEM
RÓŻYCKIM

**69 Andrzej Wróblewski
i następne pokolenia**
PIOTR KOSIEWSKI: Jego twórczość
wzbudzała ostre spory

72 Białe sześcian rusza w drogę
ANNA PAJĘCKA
o nowej tożsamości muzeów

74 Tęsknota za prostotą
ANITA PIOTROWSKA
o retrospektywie indyjskiego
reżysera Satyajita Raya

75 Jeden londyński dzień
LEKTOR o nowym przekładzie
„Pani Dalloway” Virginii Woolf

■ ■ POŻEGNANIE

78 Złote miasto Milana Kundery
MAREK BIENIŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ Co obejrzeć w weekend

Po głośnym filmie Wima Wendersa wydawało się, że o Pinie
Bausch powiedziano już wszystko. A ona wciąż się odradza – ANITA
PIOTROWSKA poleca filmy i serie na VoD | TygodnikPowszechny.pl/weekend

➤ Strona świata

Trwa wojna w Manipurze. Kiedyś był potężnym
królestwem, dziś jest ubogim zaściankiem Indii – pisze
WOJCIECH JAGIELSKI | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Serwisy specjalne: patrz szerzej

WAKACJE Z „TYGODNIKIEM”

Przygoda jest tutaj

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/WAKACJE

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

CO ZACHÓD OFERUJE UKRAINIE

„Przyszłość Ukrainy jest w NATO”: dla kraju, który walczy o byt, taka obietnica może być rozczarowaniem. Ale wileński szczyt Sojuszu wzmocnił i Zachód, i Ukrainę. Na razie.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:

Żołnierze z ukraińskiej 72. Brygady Zmechanizowanej w mieście Wuhłedar, które Rosjanie próbują bezskutecznie zdobyć od wielu miesięcy. 16 lipca 2023 r.

OBOK:

Skutki ataku na Most Krymski, 17 lipca 2023 r.

JEDNEGO TRUDNO ODMÓWIĆ WOŁODYMYROWI Zełenskiemu: nadzwyczajnej elastyczności. To, co jeszcze we wtorek 11 lipca w jego ustach było „bezprecedensowe i absurdatne”, niemal poniżające, już następnego dnia okazało się „znaczącym sukcesem”.

Tymi pierwszymi słowami – spontanicznymi, można by powiedzieć, choć Zełenski należy jednak do ludzi, którzy wiedzą, co mówią, a nie mówią, co wiedzą – zareagował on na decyzję wileńskiego szczytu NATO, iż jego kraj nie usłyszy konkretnych deklaracji, kiedy mógłby stać się członkiem Sojuszu ani kiedy mógłby zostać do niego zaproszony.

„Jest to bezprecedensowe i absurdatne, gdy nie ma żadnych ram czasowych ani dla zaproszenia, ani dla członkostwa Ukrainy, a dodawane jest jakieś dziwne

sformułowanie o »warunkach« nawet dla zaproszenia” – irytował się Zełenski we wpisie na Telegramie.

CO MOŻNA, A CZEGO NIE | W tej kwestii – czy i jakie gwarancje bezpieczeństwa NATO może dać Ukrainie – Ukraińcy mogli być rozczarowani: w przyjętej 11 lipca wspólnej decyzji zadeklarowano tylko, że „przyszłość Ukrainy jest w NATO”, ale zaproszenie będzie mogło zostać wystosowane dopiero, „gdy sojusznicy będą w tej sprawie zgodni i gdy spełnione zostaną przesłanki” (np. reformy „w sferze demokracji i sektora bezpieczeństwa”).

Jednak tego, co Ukraińcy oczekiwali, najbardziej – gwarancji bezpieczeństwa, czyli parasola ochronnego przed Rosją – ich kraj nie mógł otrzymać. Co do tego nie było zresztą różnicy zdań między USA

i Niemcami a Polską i krajami bałtyckimi. „Musimy czekać aż do zakończenia wojny. (...) Gdyby Ukraina została dziś przyjęta do NATO, podczas jej trwania, to pierwsze, co by uczyniła, zażądałaby, aby zrealizować artykuł 5” – tego nie mówił kanclerz Scholz, lecz prezydent Duda (w wywiadzie dla „Die Welt”). Artykuł 5 traktatu NATO to zapis zobowiązujący inne kraje do zaangażowania w wojnę po stronie zaatakowanego.

Takie uzależnienie dalszych kroków od zakończenia wojny to dla Putina rzecz jasna powód, by prowadzić ją bez końca. Ale, bądźmy uczciwi: to powód nie jedyny, lecz kolejny z wielu. Dla Putina kontynuowanie wojny – nawet takiej, w której nie wygrywa, lecz utrzymuje stan posiadania, odpierając ukraińskie ataki pod Hulajpolem czy Bachmutem – jest z punktu widzenia jego systemu władzy lepsze niż pokój.

CO JEST OCZYWISTE | „Przyszłość Ukrainy jest w NATO”: dla ludzi, którzy prowadzą wojnę o swoje państwowe i narodowe być albo nie być, takie sformułowanie może być rozczarowaniem. Niemniej warto pamiętać, że to, co dziś brzmi jak oczywistość w ustach przywódców krajów Sojuszu, i co wydaje się oczywiste nawet w takich krajach jak Niemcy (sondaże pokazują, że także w Niemczech większość społeczeństwa uważa, iż Ukraina powinna wejść do NATO), przed 24 lutego 2022 r. wcale oczywistym nie było.

Poza tym w Wilnie Ukraińcy usłyszeli nie tylko tę deklarację, ale też, po raz kolejny, obietnicę, że kraje Zachodu będą im pomagać, jak długo będzie to konieczne. Pod tym podpisały się nie tylko kraje NATO. Szczyt był bowiem nietypowy, miał charakter niejako rozszerzony: w Wilnie osobne deklaracje solidarności z Ukrainą złożyli też przedstawiciele grupy G7 (w jej skład wchodzi USA, Francja, Kanada, Niemcy, Wielka Brytania, Włochy, Japonia oraz Unia Europejska), a także Australia.

STRATEGICZNY PAT | W ślad za tym poszły nowe zapowiedzi wsparcia militarnego. Na długiej liście zwraca uwagę ta francuska: pociski manewrujące dalekiego zasięgu. Jak one są skuteczne, okazało się tuż przed wileńskim szczytem, gdy taki pocisk – prawdopodobnie produkcji brytyjskiej – zniszczył hotel w okupowanym Berdiańsku, gdzie mieścił się jeden ze sztabów rosyjskich na froncie południowym. Wśród zabitych był generał.

Pociski manewrujące to znaczące wsparcie dla armii ukraińskiej: dzięki nim może ona destabilizować głębokie rosyjskie zaple-

cze, atakować nie tylko punkty dowodzenia, ale także składy amunicji i innego sprzętu wojennego oraz wpływać na logistykę. Ataki tego rodzaju, również przy użyciu dronów, to obecnie jeden z istotnych elementów ukraińskiej taktyki w sytuacji, gdy frontalne uderzenia na rosyjskie umocnienia, prowadzone od początku czerwca, nie przynoszą spodziewanych efektów. Mimo niewielkich lokalnych sukcesów, na froncie trwa w gruncie rzeczy krwawy strategiczny pat.

W tę taktykę wpisuje się również atak w nocy z 16 na 17 lipca na most, który łączy okupowany Krym z Rosją. Na publikowanych w sieci nagraniach widać zerwany całkowicie fragment drogi dla samochodów na jednym z pasów. Portal Censor.net twierdzi, że most zaatakowały pływające drony.



TELEGRAM / NEXTA LIVE

KONSOLIDACJA ZACHODU | Wilno było też pokazem jedności Zachodu i zdolności do podejmowania decyzji. A te decyzje to zwłaszcza tzw. plany obronne: konkretne ustalenia, jakie wojska miałyby zostać ruszone i wedle jakiego harmonogramu, gdyby Rosja uderzyła na Litwę, przesmyk suwalski lub bramę brzeską (tj. na Warszawę).

W tym militarnym planowaniu Polska zajmuje istotne miejsce, nie tylko z racji położenia geograficznego. Z tegorocznymi wydatkami na obronę rządu 3,9 proc. PKB i z perspektywą posiadania wkrótce najsilniejszej armii lądowej wśród europejskich krajów NATO, możemy stać się najważniejszym państwem Sojuszu w Europie, gdy idzie o siły konwencjonalne. Można sądzić, że planiści z Litwy, Łotwy i Estonii w równym stopniu liczą dziś na polską armię, co na odsiecz z bardziej odległych Niemiec czy Wielkiej Brytanii.

Choć i te kraje przecież działają: minister obrony Niemiec zapowiedział, że Berlin jest gotów wysłać na Litwę kilkutyśniczną brygadę, by stacjonowała tam na stałe. Dotąd Niemcy, którzy wystawiają na Litwie trzon batalionowej grupy bojowej NATO (takie grupy stacjonują rotacyjnie w krajach bałtyckich od 2017 r.), uważali, że przypisana tam na wszelki wypadek brygada powinna

pozostawać na terenie Niemiec, by nie drażnić Kremla. Z kolei Londyn, który wystawia grupę bojową w Estonii, rozbudowuje współpracę z Tallinem (brytyjska brygada ma być tam silniej obecna; o stałym stacjonowaniu mowy – na razie? – nie było).

TROCHĘ WDZIĘCZNOŚCI | Krytykując w pierwszym odruchu decyzję NATO w kwestii członkostwa Ukrainy – tę, którą dzień później uznał za sukces (choć „nie idealny”) – Wołodymyr Zełenski chyba się zagalopował: swój wpis na Telegramie spuentował, że „Ukraina zasługuje na szacunek”.

Po 24 lutego 2022 r. zachodni politycy nie zwykli krytykować prezydenta kraju, którego obywatele codziennie cierpią i giną. Brytyjski minister obrony Ben Wallace musiał się jednak naprawdę zirytować reakcją Zełenskiego, skoro publicznie upomniał władze ukraińskie, by powstrzymały krytykę, również wobec zachodnich dostaw uzbrojenia.

„Tak, ta wojna, którą prowadzicie, jest szlachetna, i tak, uważamy, że walczyć nie tylko za siebie, ale także za naszą wolność” – mówił Wallace pod adresem władz Ukrainy w rozmowie ze Sky News. Ale po chwili dodał, iż Kijów powinien mieć świadomość, że prosi inne kraje, by oddawały mu własne zapasy uzbrojenia (tu padły słowa: „Nie jestem Amazonem” – to w kontekście listy oczekiwań, jaką Wallace miał kiedyś otrzymać podczas pobytu w Kijowie). „Ludzie chcieliby zobaczyć czasem też trochę wdzięczności” – dodał minister.

OKNO MOŻLIWOŚCI | „Nasze zaangażowanie na rzecz Ukrainy nie ustanie, będziemy stać po jej stronie w imię wolności i niepodległości, dzisiaj, jutro i jak długo to potrwa” – mówił Joe Biden w Wilnie. Ta obietnica obarczona jest jednak pewnym uwarunkowaniem: za rok w Stanach są wybory prezydenckie. Biden walczy o reelekcję. Jeśli przegra, a prezydentem zostanie Donald Trump, wiele może się zmienić.

Akurat 11 lipca wieczorem Trump wydał oświadczenie, w którym skrytykował politykę Bidena wobec Ukrainy i uznał, że osłabia ona USA. „Musimy powstrzymać to szaleństwo, natychmiast zakończyć przelew krwi na Ukrainie i powrócić do skupienia się na żywotnych interesach Ameryki” – napisał.

Być może planiści powinni już dziś prowadzić „gry wojenne” zakładające scenariusz, w którym jesienią 2024 r. Amerykanie wybierają znów Trumpa, a ten wstrzymuje militarne i finansowe wsparcie dla Ukrainy.

©P



Pół-ochrona

KRZYSZTOF STORY

12 LIPCA EUROPOSŁOWIE MINIMALNĄ WIĘKSZOŚCIĄ głosów przepchnęli Nature Restoration Law, jeden z filarów europejskiego Zielonego Ładu. Już dawno o żadne prawo nie toczono w Strasburgu takich bojów. Wszystkie głosowania były niemal remisowe, a w debacie obie strony sporu używały słów „zagłada”, „zapaść” i „kryzys”. Europejska Partia Ludowa, do której należą m.in. PO i PSL, straszyla nawet tym, że pod nowym prawem fińskie Rovaniemi zmienią się w las, i na Twitterze apelowała: „nie wykopujcie Świętego Mikołaja z jego domu!”.

Nature Restoration Law nie ma z nim wiele wspólnego. Zakłada za to, że do 2030 r. jedna piąta powierzchni Europy (zarówno lądu, jak i morza) ma być chroniona tak, by zapobiec dalszej degradacji przyrody. To oznacza m.in. przywrócenie swobodnego przepływu wody na tysiącach kilometrów biegu rzek. Do 2050 r. wszystkie zdegradowane obszary (tereny podmokłe, rzeki, lasy i ekosystemy morskie) miałyby zostać odbudowane. Komisja Europejska twierdzi, że tak ambitne cele to konieczność, skoro 81 proc. naturalnych siedlisk w Europie jest w złym stanie, 60 proc. gleb uległo zanieczyszczeniu, mamy też coraz mniej owadów i ptaków. Innymi słowy: jeśli teraz czegoś nie zrobimy, wpakujemy się w bardzo kosztowny kryzys przyrodniczy i żywnościowy. O tym, że NRL nie zostało odrzucone już na starcie, zdecydowało 12 głosów.

Ostatecznie Parlament Europejski poparł wielki plan odbudowy europejskiej przyrody. Problem w tym, że wcześniej postanowił wyrwać mu zęby.

W tej sprawie polscy eurodeputowani z PiS, PO i PSL ramię w ramię głosowali za odrzuceniem ustawy. Na ostatniej prostej dodano do ustawy serię poprawek, które łagodzą i spowalniają tempo zmian. Odtwarzanie siedlisk łądowych ograniczono do obszarów Natura 2000 – usunięto np. zapis o odtwarzaniu ekosystemów rolniczych, kluczowy dla losów europejskich torfowisk, a przede wszystkim zostawiono państwu furtkę, która pozwala zawiesić wprowadzanie NRL ze względu na przyczyny „ekonomiczne i społeczne”. To może stanowić pole do nadużyć, a nawet do sparaliżowania przepisów.

Nawet tak złagodzoną wersję ledwo przeforsowano, ale ciężko nie rozumieć obaw i oporu rolników, hodowców oraz leśników przed nowym prawem. Podobno dobry kompromis poznaje się po tym, że wszystkie strony są niezadowolone. ©©



Dokąd na tanie wakacje

MAREK RABIJ

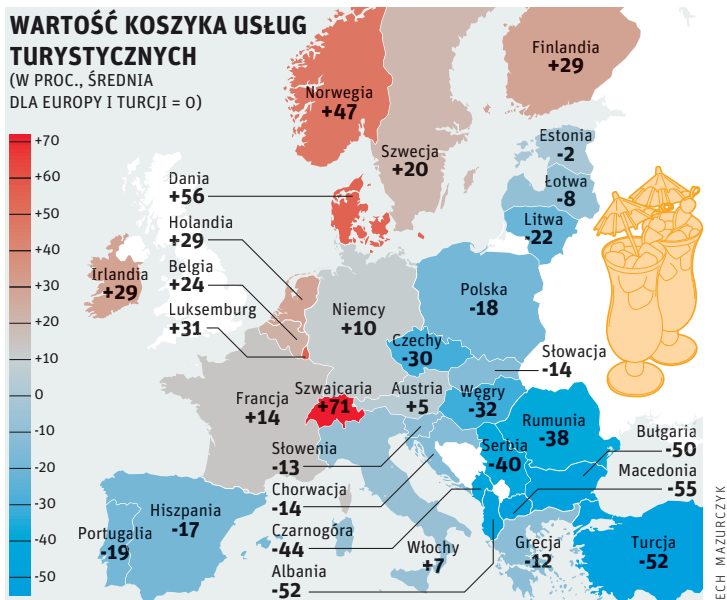
W 11 EUROPEJSKICH PAŃSTWACH turyści z Polski zapłacą dziś za wypoczynek mniej niż w swoim ojczystym kraju – wynika z zestawienia przygotowanego przez serwis Business Insider. Na najtańsze wakacje na naszym kontynencie można obecnie wybrać się do Macedonii, gdzie usługi hotelowe, gastronomia i atrakcje turystyczne są aż o 55 proc. tańsze od średniej europejskiej. Na przeciwnym biegunie tradycyjnie już plasuje się Szwajcaria; pobyt w sercu Alp kosztuje aż o 71 proc. więcej od średniej obliczonej dla 32 krajów Europy (w gronie tym jest również Turcja).

W rankingu nie brakuje niespodzianek, a jedna z nich dotyczy nas samych. Wypoczynek w Polsce w tym roku okazuje się nieco droższy od wakacji w Portugalii i już niewiele tańszy od pobytu w Hiszpanii. Natomiast Chorwacja – która od stycznia należy do strefy euro i z której polskie media dostarczają systematycznie meldunków o „porównaniach cen” – wyprzedza nas pod tym względem zaledwie o cztery punkty procentowe.

W tegorocznym zestawieniu cen usług turystycznych namieszała nie tylko inflacja. Gdyby jedynie ona

kształtowała wartość tego koszyka, ceny wypoczynku w Polsce nie byłyby zapewne wyższe od litewskich, gdzie przez wiele miesięcy drożyzna dawała się mocniej we znaki niż u nas. Od kilku miesięcy obserwujemy jednak wyraźne umocnienie kursu złotego do euro i dolara, co automatycznie przekłada się na spadek kosztów pobytu za granicą – i mniejszą atrakcyjność krajowego wypoczynku zarówno dla Polaków, jak i dla cudzoziemców, którzy chcieliby na przykład popłażować nad Bałtykiem. Euro w ciągu ostatnich 12 miesięcy potaniało w stosunku do złotego o 33 grosze. Dolar aż o 78 groszy.

Wkład branży turystycznej w PKB Polski nie przekracza aktualnie 1 proc. i pod tym względem jesteśmy w ogonie Europy (mniejszy udział tego segmentu notuje tylko Luksemburg), ale nie zmienia to faktu, że dla kilkuset tysięcy Polaków letnicy to główne źródło utrzymania. W ostatnich latach los im sprzyjał – w trakcie pandemii wyjazdy zagraniczne były wysoce kłopotliwe i kosztowne, czasem wręcz niewykonalne. Zeszłoroczne wakacje stały z kolei pod znakiem słabego złoto. © P



NA PUNKTY

POWIADOMIENIA

Nie ma ostatnio dnia bez alertów Rządowego Centrum Bezpieczeństwa: zawiadamiają albo o rekordowych upałach, albo o niebezpieczeństwie burz z gradem.

ZAPROSZENIA

Jedna z burz wybuchła wokół PZPN po tym, jak się okazało, że wśród honorowych gości na ostatnim meczu reprezentacji był człowiek skazany za korupcję. Ponieważ działacze tłumaczyli początkowo, że mężczyzna pojechał na zaproszenie jednego ze sponsorów, ci najwięksi – m.in. InPost czy Orlen – wyrazili w oświadczeniach oburzenie, że sugeruje się im związku z korupcją, a firma Tarczyński zapowiedziała wręcz zakończenie współpracy.

PORÓWNIANIA

Nawiasem mówiąc w jednej z ostatnich polemik Mateusz Morawiecki porównał Donalda Tuska do rejterującego za granicę byłego trenera reprezentacji, Paulo Sousy. Chociaż tyle, że na chwilę przestaliśmy słuchać, że lider opozycji jest Niemcem.

POSZUKIWANIA

W kolejnych ujawnianych mailach wymienianych przez premiera z min. Michałem Dworczykiem obaj panowie szukają „mega kumatej” sekretarki dla Jarosława Kaczyńskiego, narzekając przy okazji, że „ta, co kiedyś od Ciebie dostałem to so-so [taka sobie]”. ©



Aktorzy wchodzą do gry

ANITA PIOTROWSKA

TEGO JESZCZE ŚWIAT NIE WIDZIAŁ: wstrzymane i opóźnione produkcje, pikietki pod siedzibami filmowych gigantów, a do tego zawieszone kampanie reklamowe, puste czerwone dywany, festiwale pod znakiem zapytania. Oto efekt strajku amerykańskich aktorów, którzy dołączyli do scenarzystów. I chociaż przysłało do niego wiele znanych twarzy, nie jest to bunt gwiazd.

Biorą w nim udział dziesiątki tysięcy związkowców, w większości szarych wyrobników kina. Dogmagają się udziału w zyskach ze streamingu i regulacji chroniących ich wizerunki w dobie sztucznej inteligencji.

Zmęczyła ich arogancja dyktatorów rynku w rodzaju Disneya czy Netfliksa, które tłumacząc się pandemią jeszcze bardziej zabetonowały swój model biznesowy i chętnie zastąpiłyby żywych odtwórców ról (tak jak scenarzystów) technologią. Nic dziwnego, że podczas negocjacji aktorzy wywrócili stolik.

Dla widzów stroniących od „kontentu” typowego dla multipleksów i platform streamingowych może to być obojętne – przeżyjemy bez kolejnego

„Mission Impossible”. Lecz strajk odbija się nie tylko na blockbustach i serialach. Przemysł filmowy to naczynia połączone i tąpnięcie odczuje także kino artystyczne. Taka Tilda Swinton (na zdjęciu) czy Timothée Chalamet muszą konsekwentnie odmawiać wejścia na plan również twórcom niezależnym. Jednak na skutek produkcyjnego zastoju ucierpią

głównie ci mniej rozpoznawalni oraz przedstawiciele innych zawodów filmowych i okołofilmowych.

Dotyczy to nie tylko USA, bo kino jest globalne, a międzynarodowe ekipy filmowe są normą. Zresztą ten strajk mówi coś nie tylko

o branży filmowej, ale w ogóle o późnym kapitalizmie i środowiskowej solidarności. Dlatego masowe wystąpienia aktorów są rewolucją, bo chociaż większość z nich nie stanowi dla filmu lokomotywy sukcesu, to bez nich po prostu nie będzie kina. I nie ma znaczenia, czy wykorzystuje się aktora z krwi i kości, czy jego cyfrową replikę, za jego życia czy po jego śmierci. Zmiany w prawie i w zasadach rozliczeń są nieuniknione. ©



CC 4.0



Biskup rozbraja polityczną manipulację

ARTUR SPORNIAK

Stanowczo przestrzegamy przed instrumentalnym wykorzystywaniem migrantów i uchodźców do rozgrywek politycznych oraz kształtowaniem postaw ksenofobicznych. Takie działania są nie do pogodzenia z chrześcijańskim nauczaniem” – czytamy w komunikacie Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. Kierujący nią bp

Krzysztof Zadarko upomniął się o ludzi w trudnym położeniu, którymi straszy się Polaków. „Tworzone antyuchodźcze czy antyimigracyjne narracje nie tylko kształtują postawy społeczne, ale mają również wpływ na życie konkretnych osób” – wskazał. Przypomniął nauczanie Kościoła, że idee mądrej gościnności i solidarności są konstytytywne dla wiary chrześcijańskiej.

Przy okazji odniósł się krytycznie do pomysłu referendum: pomocy dla uchodźców „nie ma potrzeby czynić przedmiotem referendalnych rozstrzygnięć, lecz roztropnych działań i dialogu społecznego z uwzględnieniem możliwości i konsekwencji społecznych w przyszłości”.

To zaskoczyło PiS, który musiał publicznie przyznać, że w tej kwestii nie zgadza się

z Kościołem. Fakt, że rzecznik rządu Piotr Müller przemilczał przypisanie rządzącym w komunikacie ostrego zarzutu Franciszka wobec polityków z encykliki „Fratelli tutti” –

„Dzisiaj w wielu krajach stosowany jest polityczny mechanizm jątżenia, rozdrażniania i polaryzacji” – potwierdza to zaskoczenie.

Dla katolików, którzy z przerażeniem patrzą na bratanie się ludzi Kościoła z władzą, jest to głos nie do przecenienia.

W polskim Kościele są nie tylko ludzie, którzy tańczą na wałach jasnogórskich z politykami partii rządzącej. ©



Kamienie pamięci na Żłotej

WARSZAWA ■ 23 lipca pojawiają się tu pierwsze Stolpersteiny, czyli kamienie pamięci. Są trzy. Niewielkie betonowe kostki z metalową płytką (na zdjęciu). Na nich imiona, nazwiska i daty urodzeń i śmierci trzech kobiet zamordowanych w Warszawie w 1942 r., o których – jak mówi współinicjatorka projektu, Anna Gutkowska – pamięta już tylko rodzina. To jej babcia Maria Wygodzka i jej dwie siostry, Zofia Kabak i Katarzyna Zylberberg, nazywana w rodzinie Kazią. Wszystkie były córkami Anny i Bera Kabaków, mieszkały przy ulicy

Żłotej. Maria – nauczycielka biologii w Szkole Towarzystwa Zjednoczenia Nauczycieli przy ulicy Rymarskiej. Żona lekarza, Marka, matka Bronisławy, babcia Anny, prababcia Marka i Krzysztofa, praprababcia Janka i Zoi. Jej starsza siostra, Katarzyna, żona Grzegorza, uczyła historii w gimnazjum Cecylii Brojdo przy ulicy Dzielnej 20, gdzie przez kilka lat była również dyrektorką. Młodsza, Zofia, była filologiem klasycznym. Wszystkie trzy zginęły w getcie warszawskim, nie mają grobów, a Zagłady nie przetrwał żaden materialny ślad po nich.

Kamienie znajdują się przed ich domem, w mieście, w którym żyły i były szczęśliwe – mówi Anna Gutkowska. Niemieckie określenie „Stolpersteine”, tłumaczone zwykle właśnie jako „kamienie pamięci”, znaczy dosłownie „kostki brukowe, o które można się potknąć”. W skrócie „potykacze” albo „wyboje”. Powstały z inicjatywy urodzonego w Berlinie artysty Guntera Demniga, dla upamiętnienia ofiar Zagłady. Żydów, Romów i Sinti, homoseksualistów, dysydentów, Świadców Jehowy, wszystkich zamordowanych przez wyznawców nazistowskiej ideologii. Za motto przedsięwzięcia Demniga służy cytat z Talmudu, mówiący, że osoba zostaje zapomniana tylko wtedy, gdy zapomina się jej imię. Jest

to więc próba opowieści o wielkiej historii poprzez zwrócenie uwagi na pojedyncze losy, pamięć o konkretnym człowieku.

Pierwszą kostkę wmurował w Kolonii w 1993 r., by przypominać o losach zamordowanych Romów i Sinti. Dziś artysta przy pomocy partnerów lokalnych instaluje średnio 450 kostek miesięcznie. Przechodząc ma się potknąć emocjonalnie: zastanowić się, o co chodzi, kim był człowiek, który mieszkał kiedyś w tej okolicy, i czemu zginął. Projekt, w zamysle Demniga przeznaczony dla całej Europy, ma jeszcze jeden wymiar, szczególnie dla Niemców: kostki mają sprawiać dyskomfort, uwierać jak nierówny bruk. Ma się o nie potykać przede wszystkim pamięć sprawców Zagłady.

Do tej pory w polskich miastach powstało blisko 70 Stolpersteinów – pierwsze wmurowano we Wrocławiu przed domem Edyty Stein oraz w przygranicznych Ślubicach nad Odrą. Na całym świecie jest ich ponad 100 tysięcy. W Warszawie, mieście szczególnie dotkniętym Zagładą, nie było ani jednego.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

Śmierć mózgu: w USA toczy się debata nad definicją

MEDYCyna ■ Czy można być martwym w jednym miejscu na świecie i wciąż żywym w innym? Okazuje się, że tak – nawet w obrębie jednego państwa. W USA prawo stanowe różnie podchodzi do medycznego zagadnienia, jakim jest śmierć mózgu. Amerykańska organizacja prawnicza Uniform Law Commission (ULC) jeszcze w tym miesiącu zaproponuje ujednolicenie przepisów. Czasopismo „Nature”, informując o tych planach, przypomina historię 13-letniej Jahi McMath z Kalifornii, która w 2013 r. przeżyła operację usunięcia migdałków. Nastąpiły powikłania i u pacjentki stwierdzono śmierć mózgu.

Rodzice przetransportowali córkę do stanu New Jersey, gdzie prawo umożliwia odstąpienie od rozpoznania śmierci mózgu ze względów religijnych i utrzymanie terapii podtrzymującej.

Definicja śmierci zmieniała się wraz z rozwojem nowych technik podtrzymujących życie. Przez wieki obowiązywała definicja śmierci jako ustania czynności oddechowej i krążenia. Obecnie powszechnie człowieka uznaje się za zmarłego, gdy wystąpi śmierć mózgowa, czyli ustanie czynności mózgu jako całości, w tym pnia mózgu.

Przypadek McMath pokazuje, że definicja wymaga uściślenia – w ciągu kilku lat po stwierdzeniu śmierci mózgu pojawiło się u niej krwawienie miesięczne, co związane jest z aktywnością hormonalną przysadki mózgowej. Zatem część mózgu może dalej funkcjonować i to ma znaleźć odzwierciedlenie w nowych przepisach.

ULC proponuje, by w definicji śmierci mózgu zmieniono m.in. zwrot „nieodwracalna utrata” na „permanentna utrata” funkcji. Nieodwracalność utraty dzięki rozwojowi nauki może stać w przyszłości pod znakiem zapytania. Badacze z Yale w 2019 r. przywrócili działanie części neuronów mózgu zabitych przed kilkoma godzinami świni. To dowodzi, że definicja śmierci mózgowej musi podlegać okresowemu uaktualnianiu ze względu na postęp naukowy. Do takiego przełomu w warunkach klinicznych jednak daleko.

Pomysł ujednolicenia prawa wzbudza również kontrowersje. Katolicki portal The Pillar wskazuje, że zmiana zapisów będzie źródłem jeszcze większej niepewności i niejednoznaczności – permanentna bywa również śpiączka, a stan permanentny może wynikać nie z braku możliwości jego odwrócenia, ale z decyzji opiekunów lub lekarzy.

© BARTOSZ KABAŁA

Służby rozbiły blokadę

OCRONA PRZYRODY ■ Nad ranem 13 lipca, w obozowisku Inicjatywy Dzikie Karpaty na Pogórzu Przemyskim przebywały tylko cztery osoby. Zamocowane na drzewnych platformach namioty i barakowóz przy wjeździe do lasu między Makową a Arłamowem od ponad dwóch lat były centrum jednego z najdłuższych polskich protestów w obronie przyrody. Blokada od 25 kwietnia 2021 r. chroniła przed nadmierną wycinką część Puszczy Karpackiej, gdzie przyrodnicy domagają się powołania Turnickiego Parku Narodowego.

W czwartek o 7 rano na teren protestu przyjechał dźwięg i służby leśne oraz policja. Jak relacjonują aktywiści z Inicjatywy Dzikie Karpaty: „przy asyście mundurowych, grupa pracowników technicznych odcięła mocowania baraku piłami mechanicznymi. Osoby obecne na miejscu odmówiły opuszczenia schronienia, przez dwie godziny siedziały więc w środku otoczone stale powiększającym się tłumem policjantów i strażników leśnych”. Czworo aktywistów zostało zatrzymanych i przewiezionych na komendę w Przemyśle. W akcji brał udział nawet GOPR, ratownicy rozmontowali platformy namiotowe zbudowane na drzewach i zdjęli wysoko powieszone banery. Na nagraniach widać, jak policjanci siłą wyciągają ludzi z baraku.

Usunięcie blokady tłumaczy w oficjalnym oświadczeniu Zbigniew Kopczak, nadleśniczy w Birczy. Powodem

miała być decyzja nadzoru budowlanego, która zobowiązała Lasy Państwowe do usunięcia samowolki budowlanej stojącej „w bliskiej odległości od granicy z Ukrainą, gdzie toczą się działania wojenne, co ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Państwa”. Podczas operacji policja miała też znaleźć nielegalne substancje (aktywiści twierdzą, że narkotyki podrzuciły im służby).

Akcja na Pogórzu wygląda jak kalka sytuacji z zeszłego roku, gdy w podobny sposób usunięto leśną blokadę w Bieszczadach. Ostre środki są coraz częściej stosowane wobec aktywistów przyrodniczych, policja bardzo podobnie zareagowała kilka dni później w Warszawie, gdzie przed siedzibą Lasów Państwowych protestujący solidaryzowali się z aktywistami z Karpat. Powalony na ziemię został także Maciej Piasecki, dziennikarz relacjonujący demonstrację.

Podobne pokazy siły wyglądają na akcje motywowane politycznie. Szkoda, bo turnickie lasy według analiz PAN „są największymi zwarłymi kompleksami o wykazanej ciągłości leśnej od 1780 roku”, stanowią ostoję dziesiątek chronionych gatunków (m.in. niedźwiedzi, wilków, rysi i żbików), rosną tam tysiące pomnikowych drzew, żyje 113 gatunków ptaków. Plany utworzenia tam parku narodowego pojawiły się już ponad 30 lat temu.

© © KRZYSZTOF STORY

Pogórze Przemyskie, lasy między Makową a Arłamowem.
Służby rozbiły blokadę aktywistów z Inicjatywy Dzikie Karpaty w Puszczy Turnickiej.



INICJATYWA DZIKIE KARPATY

Paleoantropologia: rewolucja dzieje się na naszych oczach

STAROŻYTNE BIAŁKA ■ *Homo sapiens* jest bliżej spokrewniony z neandertalczykami i denisowianami niż z *Paranthropus robustus* – dwunożną małpą człowiekowatą występującą między 1-2,5 mln lat temu w Afryce. Wniosek płynący z badań Palesy Madube z Uniwersytetu w Kopenhadze i współpracowników nie może nikogo zaskoczyć. Ale i tak jest zapowiedzią rewolucji. Po raz pierwszy udało się uzyskać informację genetyczną dzięki analizie składu białek ze skamieniałości hominida żyjącego aż 2 mln lat temu.



Paranthropus robustus SK-48

Początek XXI w. to era paleogenetyki – dziedziny badań DNA zachowanego w skamieniałościach. Dzięki niej dowiedzieliśmy się, że nasi przodkowie dziesiątki tysięcy lat temu skrzyżowali się z neandertalczykami – ówczesnymi mieszkańcami Europy i Bliskiego Wschodu – oraz występującymi w Azji denisowianami. Ale DNA nie jest wieczne: w sprzyjających warunkach może przetrwać dziesiątki tysięcy lat, rzadko setki tysięcy. Białka – budowane na podstawie przepisu zawartego w DNA – są dużo trwalsze. Ich analiza (paleoproteomika) może pozwolić sięgnąć wstecz o miliony lat, do samych korzeni naszego rodzaju.

Paleoproteomika wciąż raczkuje, ale już jest przydatna. W analizowanym zębie znaleziono białko produkowane wyłącznie przez samców. Identyfikacja płci jest zaś niezbędna, jeśli chcemy zrozumieć, jak bardzo mogły różnić się między sobą osobniki należące do tego samego gatunku.

© © ŁK



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY „TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty
w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać
w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
| Warszawa 101 FM | Ostrow Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

W CO WIERZY KARDYNAŁ

Przez jednych oskarżany o nieortodoksyjność, przez innych o klerykalizm, Grzegorz Ryś wciąż opowiada o najważniejszym spotkaniu w życiu.

MICHAŁ OKOŃSKI



BYŁ MŁODYM KSIĘDZEM, CHOĆ ZDĄŻYŁ już wydać książkę o inkwizycji, i w należącej do Episkopatu zakopiańskiej „Księżówce” kończył habilitację o Husie. Akurat odbywało się tam posiedzenie jakiejś biskupiej komisji, więc w refektarzu natknął się na kilku hierarchów. „Ty jesteś albo Żyd, albo mason, albo idiota, bo się im wysługujesz” – usłyszał od jednego z nich. I jeszcze: „Jesteś jak ten twój profesor. Całe życie robisz karierę, kopiąc Kościół”.

Zdołał wydukać, że chciałby być taki jak jego profesor – historyk Kościoła, ks. Jan Kracik – ale niestety nie jest. Tak naprawdę jednak go замуrowało. Wspominał, że pomógł mu starszy brat, lekarz. „Masz jakieś poglądy? Bo jeśli tak, to nie możesz się wszystkim podobać” – usłyszał od niego.

Tylko teorie

Dziś, z papieskim listem zawiadamiającym go o kardynalskiej nominacji, Grzegorz Ryś również nie podoba się wszystkim. „Bardzo piękny, teologiczny tekst o jedności Kościoła w jego różnorodności, o której zwiększeniu papież myślał powiększając Kolegium Kardynalskie” – mówi o tym dokumencie, zaznaczając, że nie uważa nagłaśniania szczegółów za właściwe, „bo to jest osobiście napisane”. Mówi cicho, bo jest w Domu Cisy w Taizé, gdzie przyjechał z grupą młodzieży – niespodziewana dlań informacja nie wpłynęła na zmianę kalendarza, więc komentarze, jakie pojawiają się na jej temat w Polsce, do niego nie docierają. Spodziewa się, że mogą być „nieco na wyrost albo obok tego, czym ta nominacja jest”, ale z góry żadnej się nie dziwi.

Chętniej opowiada o zmieniającej się w dziejach Kościoła funkcji kardynała jako „pomocnika Piotra”. Trudno nie odnieść wrażenia, że takie kwestie interesują go dużo bardziej niż to, czy jego głos będzie teraz więcej wazył wśród wewnętrzkościelnych frakcji, ale przerywam historyczno-teologiczny wywód pytaniem o tę właśnie sprawę.

„Nie bardzo mi się podoba mówienie o Kościele w kategoriach ugrupowań, koterii, a już najbardziej zwalczających się ugrupowań i koterii” – odpowiada. „W Kościele musi być przestrzeń do róż-

nicy zdań” – dodaje wprawdzie, ale jako wzór przywołuje metodę propagowaną przez papieża podczas Synodu Biskupów, gdzie wszystko zaczyna się od modlitwy. „Jeśli to się odbywa w postawie nasłuchania w Ducha Świętego, możemy rozmawiać o wszystkim w taki sposób, który po wypowiedzeniu różnic przenosi nas na inny poziom – mówi. – Jeśli tego nie ma, próbujemy się bawić w coś, co nazywamy Kościołem, ale co Kościołem nie jest”.

To zdanie kojarzy mi się z publikowanymi w ostatnich dniach sylwetkami nowego kardynała, których autorzy podkreślają, że jego głos w Episkopacie nie wybrzmiewa tak wyraziście, jak głos abp. Jędraszewskiego. Ze jeśli postanowił zmieniać Kościół, to nie drogą otwartych polemik z upolityczniającymi ten Kościół hierarchami. Ze nawet od wywołujących fale oburzenia dokumentów Episkopatu się nie dystansował, ba: podpisywał także takie, jak ów niefortunny tekst, w którym wspomina się o terapiach reparacyjnych dla osób LGBT.

Chociaż tyle dobrze, że autorzy tych sylwetek zdają już sobie sprawę, iż zmiana koloru piuski nie będzie się wiązała ze zmianą postawy jej właściciela. Nawet jeśli efektownie brzmią frazy Ignacego Dudkiewicza o tęsknocie za kimś, kto „nazwie złem, niezależnie od tego, kto je krył i w imię czego” oraz kto „nie będzie się oglądał na korporacyjne lojalności, »dobro« instytucji, niemądra zasada, by nie dyskutować publicznie z kolegami”, to puenta płomiennego akapitu publicysty „Kontaktu” wskazuje na dwie najistotniejsze cechy Grzegorza Rysia. Mowa w niej o tęsknocie za kimś, kto będzie w stanie „nie tylko pięknie »łamać się Słowem«, ale też świadczyć o Ewangelii czynem w dynamicznych czasach”.

Zdanie Dudkiewicza ujawnia dwa paradoksy, związane z mówieniem o bohaterze tego tekstu. Po pierwsze, jest napisane językiem religijnym, od którego – jak widać – trudno uciec nawet sceptykowi. Po drugie: jeśli się przyjrzeć biografii Rysia, to przykładów, pardon, „świadczenia o Ewangelii czynem” znalazłoby się sporo.

Odwrócona piramida

O większości opinia publiczna się zresztą nie dowiaduje – ot, gdzieś na Facebooku któregoś ze znajomych wyskakuje wiadomość, że metropolita łódzki w niewielkim gronie aktywistów sprząta cmentarz

żydowski w Przysusze (i że honorarium za ostatnią książkę, „Chrześcijananie wobec Żydów”, przeznaczają na sfinansowanie powrotu na tę nekropolię rozrzuconych po mieście macew). Nagłośnienie niektórych historii budzi jego irytację – tak było, kiedy poprowadził pogrzeb bezdomnej, którą opiekowali się wolontariusze „Zupy na Plantach”, a „Tygodnik” zamieścił zdjęcie z tego wydarzenia.

Z tym pewnie nie da się wygrać w świecie, dla którego bycie osobą publiczną naraża na zarzut robienia gestów „pod publiczność” – jednym z nich w przypadku Rysia miałyby być odwiedziny po kołędzie 89-letniego mężczyzny, którego wcześniej pominął ksiądz parafialny, bo ów niemający dostępu do sieci mężczyzna nie wysłał na plebanie maila. Dzieśiątki kilometrów w ulewie i upale pierwszej pielgrzymki na Jasną Górę („W ciągu tych kilku dni ksiądz jest niesamowicie dyspozycyjny wobec ludzi, z którymi idzie” – mówi o tym; skądinąd kiedy pytam go o relację z Franciszkiem, dementuje, jakoby był u niego częstym gościem, za to pierwszym słowem, jakim określa papieża, jest właśnie „dyspozycyjność”), podobnie jak wyjazd do Taizé, nie są jednak sposobem na wykreowanie wizerunku „fajnego księdza” – wszystko to robił, zanim zaczęto o nim mówić w kategoriach kościelnej kariery.

Tego ostatniego słowa we własnym kontekście nie użył bodaj nigdy – tu znów, ryzykując popadnięciem w język, którego chciałoby się uniknąć, wypadałoby raczej odwołać się do kategorii „służby”. „Model Kościoła jest modelem odwróconej piramidy – mówił Piotrowi Sikorze w rozmowie rzece „Czy Kościół ma sens”. – Kto ma funkcję hierarchiczną, ma być tym, który jest u podstaw wspólnoty, a nie na jej szczycie”.

Ośme pytanie

Odgrywał taką rolę zresztą już we wcześniejszych latach 90., kiedy towarzyszył budującym fabrykę w Tobolsku polskim robotnikom. „Wiem, co to znaczy być samemu w święta i mieć puszkę śledzi w lodówce hotelu robotniczego” – mówił „Tygodnikowi” w 2017 r. Na Syberii, 4000 kilometrów od Polski, wypowiadał w cztery tygodnie tysiąc mężczyzn. Uważa, że bez podobnych doświadczeń nie da się być sensownym księdzem. A na nawiązujące do papieskiej metafory →

Arcybiskup Grzegorz Ryś podczas otwarcia „Areny Młodych”. Łódź, 20 marca 2018 r.

→ pytanie, co hierarcha może robić w szpitalu polowym, odpowiada, że ów hierarcha musi przede wszystkim wyjść z domu. I opowiada dziennikarzowi historię człowieka, którego dzień wcześniej spotkał w ogrzewalni Caritasu, a któremu ratowano życie po tym, jak przedawkował leki pomieszczone z alkoholem. „Nie można iść do ludzi z Ewangelią, udając, że tego świata nie ma” – puentuje krótko. To jeden z jego refrenów: za mało w Kościele polskim spotkań twarzą w twarz.

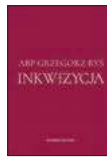
Wiele więc można o nim powiedzieć, ale nie to, że lata przebywania za kościelnymi murami stały się przyczyną odklejenia. O sekularyzacji mówią mu socjologowie, których już w Łodzi, podczas prac tutejszego Synodu, poprosił o pogłębione badania. Przekonuje się o niej także na własnej skórze. Kiedy organizował pierwsze spotkanie ewangelizacyjne w Atlas Arenie (to jeden z ciekawych rysów tego niepozornego okularnika, który długie lata spędzał między półkami kościelnych archiwów: że postawiony wobec tłumu czuje się jak ryba w wodzie i przemawia z charyzmą przypominającą Tischnera), poprosił o zrobienie ulicznej ankiety z pytaniem: „Jakie pytanie zadałbyś Bogu, gdybyś mógł?”.

Odpowiedzi ułożyły się w osiem grup, z których część można było przewidzieć – skąd się wzięło zło, dlaczego istnieje śmierć... – ale jedna sprowadzała się do stwierdzenia: „nie mam pytań do Boga”. Większość uczestników w głosowaniu esemesowym zdecydowała, że chce rozmowy na ten właśnie temat. Zaczął ją od przeprosin: „Przepraszam, bo 12 lat uczymy was religii, a w efekcie macie Boga, który jest abstrakcyjnym, teoretycznym pojęciem. Nie wierzę, że nie macie pytań – każdy człowiek je ma. Tylko że wy waszych pytań nie zadajecie Bogu, bo On nie jest w waszym życiu kimś na tyle ważnym, żeby zadać mu istotne pytania”.

Motywy nadziei

Przykładami potwierdzającymi wypowiedzianą przez niego tezę, że „nam się tylko wydaje, że żyjemy w społeczeństwie katolickim”, sypie jak z rękawa. Takim przykładem są nawet ci młodzi, z którymi przyjechał teraz do Taizé: kiedy ich pytał o oczekiwania, opowiadali mu, że boją się jechać do kościelnego miejsca, bo będzie tam dużo modlitwy i mało tolerancji. Owszem, teraz najważniejsze

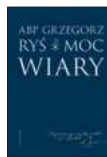
CZYTAJ RYSIA



■ INKWIZYCJA

„To nie obrona inkwizycji. To próba zrozumienia jednego z najbardziej niebezpiecznych fragmentów historii Kościoła” – pisze autor

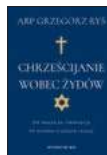
w ostatnim rozdziale książki, która, unikając popadania w mitologię, jest solidnym naukowym opracowaniem na temat Świętego Oficjum. „Zrozumienie nie przynosi usprawiedliwienia, ale raczej przestrogę” – zastrzega. W swoich wypowiedziach często podkreśla, by Kościół w głoszeniu wiary sięgał jedynie po „środk ubogie”.



■ MOC WIARY

Abp Ryś czyta Pismo Święte, sięgając nieraz po św. Hieronima czy oryginał grecki, by lepiej zrozumieć

dany passus. Jednak jego rozważania wykuwają się nie „za biurkiem”, ale w spotkaniach, rozmowach, obserwacji życia. Widać to wyraźnie m.in. w tomie zawierającym teksty pisane dla „Tygodnika” w latach 2011-17.



■ CHRZEŚCJANIE WOBEC ŻYDÓW

Chrześcijaństwo nie tylko nie chroniło przed antysemityzmem, ale wręcz

do niego prowadziło – to wniosek, który nasuwa się po lekturze najnowszej książki arcybiskupa. Przegląd pism Ojców Kościoła, wypowiedzi papieży i teologów jest lekturą szokującą. A opisy działalności inkwizycji hiszpańskiej sprawiają, że podtytuł „XV wieków trudnych relacji” brzmi jak eufemizm.



■ JEDEN, ŚWIĘTY, POWSZECHNY, APOSTOLSKI. SPOTKANIA Z HISTORIĄ KOŚCIOŁA

Idąc śladem swojego mistrza, ks. Jana Kracika, abp Ryś w centrum opowieści stawia zawsze człowieka, i to najchętniej takiego zwykłego, a nie księcia, arcybiskupa albo innego członka elity. Historia – przekonuje – to sztuka docierania do ludzi, którzy żyli przed nami. Wydana przez Znak „cegła” skutecznie tego dowodzi. © MAM

słowo, jakie wypowiadają, to „otwartość”, ale w pierwszym skojarzeniu „kościelne” oznaczało właśnie „nietolerancyjne”.

„Nasz przekaz jest tak jednostronny, że na końcu zostaje zbiór pojęć i zasady etyczne” – tłumaczy sobie źródło problemu. A w książce „Skoro jest miłość” pokazuje, że problem nie dotyczy tylko świeckich. Wspomina, że prowadził kiedyś rekolekcje dla księży. Mogli zadawać pytania na kartkach, anonimowo. Któregoś zapytał, na jakich warunkach może wyrzucić z kancelarii parę, która prosi o ślub kościelny, choć ewidentnie nie rozumie jego znaczenia. „Człowieku, masz niesamowitą szansę opowiedzieć im wiarę w Jezusa Chrystusa wychodząc właśnie od miłości, która jest między nimi. Można im powiedzieć: wy może nic nie rozumiecie z Kościoła, ale jedno wiecie, że się wzajemnie kochacie, i ta miłość między wami – to jest Bóg” – odpowiedział.

„Nie wierzę, że nie mają pytań – powtarza więc, kiedy przywołuje tamtą ankietę. – Wczoraj słyszałem taką formułę wypowiedzianą przez braci z Taizé – co ciekawe, nauczyli się jej od imama, który tłumaczył im, że muzułmanie również mają swoich apokatów. Zastanawiał się, skąd się biorą, i zamknął to zdaniem, że to ludzie, którzy u nas nie znaleźli motywów nadziei. Zapamiętałem to, bo brzmi jak cytata z ostatniego Soboru, że przyszłość należy do tych, którzy potrafią następnym pokoleniom podać motyw nadziei”.

Gdzie siedzi Bóg

Bez użycia kategorii religijnych, jak wiadać, trudno się o nim mówi i pisze. Tylko czy może jego postawę zrozumieć ktoś, dla kogo owe kategorie pozostają obce? „Józefa Hannelowa napisała celne zdanie, że dożyliśmy czasów, w których wszyscy podkreślają, że mają prawo mówić, natomiast to wcale nie oznacza, że chcą rozmowy” – powiedział w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”. Otóż w czasach, kiedy niektórzy jeszcze rozmowy chcieli, jedną z nich 43-letni wówczas Ryś odbył w „Tygodniku” z prof. Krzysztofem Michalskim.

Tematem była wydana przez tego ostatniego książka o Nietzschem i stosunek niemieckiego myśliciela do chrześcijaństwa, ale w jej trakcie odsłoniła się trudność w rozumieniu kogoś takiego jak łódzki kardynał. „Wiara nie jest tylko relacją do człowieka. Jest też relacją do Boga” – mówił ksiądz, na co filozof odpo-



GRZEGORZ GAŁĄŻKA / EAST NEWS

Podczas audyencji z papieżem Franciszkiem w auli Pawła VI. Watykan, 28 kwietnia 2022 r.

wiadał: „Ale Bóg nie siedzi przecież obok. Albo jest »w« Księdzu – w tym, co Ksiądz robi, jak żyje, czy we mnie – albo Go nie ma”. „Bóg jest np. w Eucharystii” – replikował Ryś, co Michalski uznawał za „ucieczkę w doktrynę”.

Rzecz w tym, że dla jego rozmówcy wcale nie była to doktryna. „Kwestią nie jest to, czy ja w Eucharystię wierzę, czy nie, tylko czy ja ją przyjmuję – mówił. – Dzisiaj rano odprawiałem Eucharystię i to ma wpływ na mój stosunek do człowieka”, na co Michalski replikował: „I to jest najważniejsze”. „Nie. Najważniejsza jest Eucharystia. Jeśli jest doświadczeniem spotkania z Chrystusem, to z tego jest siła do spotkania z człowiekiem” – odpowiadał Ryś i tu leży, jak sądzę, problem w rozumieniu takich jak on.

Znając ciemne karty historii Kościoła – nie tylko tej najnowszej – nie sposób się oczywiście dziwić podejrzliwości, z jaką traktowany dziś bywa język religijny. Trudno też nie zauważyć, jak zamienia się w nowomowę. A jednak dla Rysia nie jest to nowomowa, tylko właściwy wierzącym sposób myślenia, który sam opisywał na przykładzie kard. Franciszka Macharskiego. Człowiek, który w 1988 r. udzielił mu święceń kapłańskich i który w 2011 r. podarował mu biskupi krzyż, w 2000 r. opowiedział Rysiowi o swojej pierwszej reakcji na stan wojenny. Był to list do Jana Pawła II z prośbą o pomoc, którą miałyby być... kanonizacja ojca Kolbego i beatyfikacja brata Alberta. Odkle-
jony?

„Kardynałowi chodziło o jasny znak; o pokazanie ludzi, którzy zachowali swe człowieczeństwo w zderzeniu z przemocą i niesprawiedliwością, nie ulegając pokusie zemsty i agresji – tłumaczy mój rozmówca. – Komunizm musiał przegrać, ale istotne pytanie brzmiało: kim będą ludzie, którzy go przeżyją?”.

Historie z morałem

Dla niego samego konsekwencją stanu wojennego była decyzja o wstąpieniu do seminarium. Jest synem farmaceutki i pracownika MPK, wakacje spędzał w Łososinie, gdzie mieszkała babcia, u której siadywał na progu z pajądą chleba z masłem, śmietaną i cukrem. W liceum skończył klasę matematyczno-fizyczną, świetnie rysował i zapowiadało się, że pójdzie na architekturę, ale 13 maja 1982 r. ojciec zabronił mu pójścia na manifestację: zabrał jedynie brata, który oberwał milicyjną pałą. „Zacząłem szukać takiego środka zaradczego, który nie będzie polegał tylko na wychodzeniu na ulicę” – wspominał. Kilka miesięcy później tata podrzucił go syrenką pod budynek instytucji, którą kilkanaście lat później przyszło mu kierować i którą starał się uczynić bardziej ludzką. „Nigdy nie nazywałem tego domem” – cytował po latach zdanie jednego z absolwentów seminarium, a słowo „tego” wypowiedziane było z wyraźną odrazą.

O historii Kościoła pisał już maturę – na 60 stronach rozprawy opisał dzieje św. Stanisława, choć wspomina, że dziś

nie potwierdziłby żadnej z tez, których wówczas bronił. Dyrektor IV LO w Krakowie – „partyjny, ale bardzo uczciwy”, jak zaznacza – dał ją do recenzowania znajomemu księdzu profesorowi; jest w tym zdaniu skądinąd całe formujące Rysia miasto. Później trafił pod skrzydła ks. Kracika – uczył się, że mówienie o historii Kościoła w samych superlatywach trąci herezją i że antyklerykalizm bywa sposobem na powrót do korzeni. „Kościół nie urodził się w purpurze, lecz na nizinach społecznych. Apostołowie wyruszyli w świat z wieczernika bez pastorałów, mitr, złotych łańcuchów i pierścieni” – pisał Kracik na tych łamach i wypada zauważyć, że podejście jego dawnego ucznia do kościelnej biżuterii wynika z przemyślenia tych słów.

Kolejnym ważnym nauczycielem był dlań prof. Stanisław Szczur. Kiedy pisał recenzję doktoratu Rysia, stwierdził: „Wiadać, że autor to teolog, który został historykiem”, ale oceniając habilitację zauważył już: „Trzeba znać biografię autora, żeby wiedzieć, iż jest teologiem”. Znajomość standardów wymaganych w świecie nauki z pewnością ułatwia mu udział w debatach na niejednej agorze – o średniowieczu np. z będącym nie tylko symbolem polskiej lewicy, ale także mediewistą prof. Karolem Modzelewskim, o Auschwitz z kolei z prof. Barbarą Engelking, w czasach gdy razem pracowali w Międzynarodowej Radzie Oświęcimskiej.

Jako historyk Kościoła brał się za tematy, które z punktu widzenia kościelnej kariery można uznać za niebezpieczne – oprócz inkwizycji byłyby to np. dzieje celibatu, z oczywistą konkluzją, że nie jest on wpisany w naturę kapłaństwa (choć jako duchowny, a nie naukowiec Ryś uważa, że Kościół dojrzewa do rozumienia celibatu, a nie do jego odrzucenia). Albo stosunki chrześcijańsko-żydowskie, znów z oczywistą konkluzją, że trzeba uznać współodpowiedzialność Kościoła za te formy antysemityzmu, które doprowadziły do powstania gett i obozów zagłady. Efekt uboczny: wśród kardynałów nie znalazłoby się pewnie wielu, którzy po nominacji otrzymywaliby gratulacje od zaprzyjaźnionych rabinów.

Godzina dziesiąta

Zostawmy jednak Rysia-naukowca i Rysia-dialogistę (choć jego portret byłby niepełny bez wzmianki o niezliczonych →



GRAŻYNA MAKARA

Z księdzem Adamem Bonieckim w czasie Światowych Dni Młodzieży. Kraków, 31 lipca 2016 r.

→ spotkaniach i nabożeństwach ekumenicznych, np. odprowadzających w intencji uchodźców w czasie, gdy w kraju dominowała antymigracyjna histeria). Zajmijmy się jego pomysłem na Kościół, który (jak sam mówi), „gdy chodzi o gradację prawd – mówi często rzeczy trzecio- lub czwartorzędne, a o tym, co najistotniejsze, milczy”.

W rozmowie z Sikorą wspomina, jak podczas synodu o młodzieży kard. Beniamino Stella, ówczesny prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa, opowiadał, że poszedł do seminarium mając dwadzieścia kilka lat, że był przykładnym, przestrzegającym przykazań katolikiem, tylko że nie miał bladego pojęcia, kim jest Jezus. Ten brak – „leż jak po bombie atomowej” – powraca w wypowiedziach Grzegorza Rysia na rozlicznych forach wewnętrzkościelnych i dla mediów.

Kiedy teraz o to pytam, przywołuje przestrozę kard. Henriego de Lubaca – początkowo kościelnego dysydenta, który później stał się jednym z najważniejszych ekspertów Soboru Watykańskiego II – że „jak wiara nie jest relacją personalną, to się staje ideologią. A kiedy się staje ideologią, to jesteśmy gotowi w jej imię nawet pozabijać”.

Pisząc list do diecezjalnej młodzieży, zatytułował go „Godzina dziesiąta” –

chodziło o porę, którą ewangelista Jan zapamiętał jako porę pierwszego w życiu spotkania z Jezusem. „Pisał około setnego roku, a spotkali się z Jezusem w dwudziestym siódmym – przypominał w rozmowie z Sikorą. – I wciąż żył tą godziną”.

„Ja takich momentów miałem wiele – odpowiada na pytanie o własną »godzinę dziesiątą« – niektóre przełomowe, inne codzienne”. Dodaje, że przede wszystkim wiązały się ze „spotkaniem Go w Słowie”. Nawet teraz, w Taizé, gdzie modlitwa opiera się na śpiewie kanonu i cichej medytacji nad fragmentami Pisma Świętego, najpierw usłyszał tekst: „Ja, Pan, powołałem cię słusznie”, a potem: „Powiodę ich ścieżkami, których nie znają”. „Wiem, że żyje, spotkałem Go. I to, że Go spotkałem, jest dla mnie najważniejszym spotkaniem w życiu. Koniec” – mówi w książce „Czy Kościół ma sens”.

Czy milczenie jest głośne

No dobrze, ale jest jeszcze kwestia powierzonej mu instytucji. I sprawowania w niej władzy. Używam tego słowa z wahaniem, ale reaguje błyskawicznie: „Nie trzeba się bać słowa »władza«, tylko tego, w jaki sposób jest wykonywana”. Od jednej z grup łódzkiego Synodu (instytucję,

którą obecny papież uważa za modelową dla funkcjonowania Kościoła, Ryś chce przenieść nawet na poziom parafii) usłyszał, że to nie hierarchii w Kościele ludzie się boją, ale tego, że hierarchą jest ktoś, kto się nie formuje wewnętrznie i nie nawraca.

Choć spieszy się już na kolejne modlitwy, wypada porozmawiać o jego funkcjonowaniu w gronie tych, których czyny sprawiają, że rozmowa o polskim Kościele sprowadza się ostatnio do kwestii sojuszu ołtarza z tronem, tuszowania skandali pedofilskich i pozbawionego empatii języka. Kiedy jest o to pytany, podkreśla zwykle, że biskupów angażujących się w politykę jest sześcioro. „Mówię to bez dystansu do tych sześciu – mówi w rozmowie z Sikorą. – Ale chcę pokazać, że nie jest prawdą, że cały Kościół hierarchiczny jest politycznie zaangażowany, bo biskupów czynnych w Polsce jest ponad setka”. Przyznaje, że wyciągnięcie Kościoła z uwikłania w politykę jest dziś jednym z najważniejszych zadań, przypomina jednak, że każdy biskup jest indywidualnie odpowiedzialny za swoje zaangażowanie. I jeszcze, że wśród dwunastu apostołów był celnik Mateusz i zełota Szymon – czyli człowiek kolaborujący z okupantem i ktoś, kto prowadził

działalność terrorystyczną przeciwko temu okupantowi.

Nie jestem pewien, czy mój rozmówca ma rację, gdy mówi, że konsekwentne milczenie setki biskupów można uznać za wystarczającą odpowiedź na głośne wypowiedzi pozostałej szóstki. Z zaciekawieniem słucham za to opowieści o pracy nad jednym z dokumentów Rady Stałej Episkopatu (był kiedyś członkiem tego grona, później nie został wybrany na kolejną kadencję – jako kardynał znajdzie się w nim z urzędu). Efektem nie był zachwycony, ale miał poczucie wykonania ważnej pracy: biskupi słuchali się nawzajem i próbowali sformułować oświadczenie, pod którym podpiszą się wszyscy. „Pamiętam, że zostaliśmy za ten tekst rozjechani, bo nie spełniał niczyich oczekiwań” – wspomina.

Kiedy pytam o wspomniany już dokument Episkopatu na temat LGBT, przyznaje, że autorem zabrakło wyczucia i wrażliwości. Mówi, że spotykał się później z osobami, które zwróciły mu uwagę na zawarte w nim błędy, i że przekazywał to do sekretariatu Episkopatu oraz osobiście do przewodniczącego, abp. Gądeckiego. „Ułomujemy się: nie w każdym przypadku to, co piszemy, musi być od razu doskonałe. Jesteśmy ludźmi, którzy się mylą” – tłumaczy jednej stronie. „Ważne, żeby przyjąć głosy ludzi, którzy wcale nie wojują, tylko pokazują, w którym miejscu tekst domaga się erraty” – dodaje z myślą o drugiej.

Najważniejsze zdanie

„Przepraszam” – słowo skierowane do młodych w Atlas Arenie – musi wypowiadać częściej. Wśród jego oczywistych wpadek jest ujawnienie danych osoby pokrzywdzonej w odpowiedzi na zarzuty portalu OKO.Press, że nie zareagował na doniesienie o przestępstwie (fatalne wrażenie pogłębił fakt, że dane księdza, który przestępstwo popełnił, zostały anonimizowane). Wątpliwości wzbudziły też słowa wynajętego do reprezentowania kaliskiej kurii – za którą przejściowo bp Ryś odpowiadał w związku z odwołaniem uwikłanego w skandale bp. Janiaka – mecenasa: „Widzę, że pan ma misję walki z Kościołem”, pod adresem pokrzywdzonego.

Uważa, że kościelne przepisy są już zbliżone do ideału – problemem jest mentalność. „Elementem liturgii pokutnej za

RYSIOWI ŚWIĘCI BEZ AUREOLI



■ JAN HUS

Do jego śmierci „doprowadzili ludzie pragnący naprawy

Kościola, co skłania do wniosku, że w imię najszczytniejszych ideałów możemy kogoś, kto chce tego samego dobra, co my, ale inaczej, zabić” – mówił abp Ryś w jednym z wykładów. Hus czuł, iż Kościół jest tak zdegenerowany, że „jedyna możliwa reforma musiałaby polegać na powtórnym przyjściu Chrystusa”.



■ WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO

„Żałuję, że Kościół przeprowadził proces beatyfikacyjny Jądrwigi

bez Jagiełły. Powinni zostać razem wyniesieni na ołtarze” – uważa arcybiskup. „To kwestia jego głęboko chrześcijańskich zachowań”, np. w Wielki Czwartek „osobisty sekretarz króla przyprowadzał dwunastu biedaków, a Jagiełło mył im nogi”. Poza tym „żył według doprowadzonego do doskonałości etosu rycerskiego”.



■ JÓZEFA MIKOWA

„Jej życie to czysta Ewangelia” – podkreśla arcybiskup. Józefa

Mikowa była przed wojną katechetką na Orawie, za okupacji działała w podziemiu, po aresztowaniu była wiele miesięcy torturowana przez gestapo. Wrzucono jej do celi przez strażnika kawałek czarnego chleba przyjęta jako komunii duchowej. Przed śmiercią przebaczyła kobiecie, która ją wydała.



■ JERZY TUROWICZ

Abp Ryś uważa, że Turowicz krytykował Kościół „z miłością”, bo czynił to „jednocześnie się spowiadając”.

„Pan Jerzy mówił, że Kościół nie jest łodzią podwodną. Ona jest zanurzona w morzu jak żaden inny statek, ale nic nie jest bardziej oddzielone od morza niż ona. Rybak na łodzi jest naprawdę na morzu, a woda dostaje się do środka, co bywa ryzykowne. Bez tego ryzyka nie ma Kościoła”. © MAM

przestępstwa pedofilii, którą odprawialiśmy w naszej katedrze, było świadectwo osoby poszkodowanej wyświetlone z rzutnika na ekran. Poprosiłem, byśmy wysłuchali go na kolanach. Potem jeden z najlepszych, najbardziej zaangażowanych księży w mojej diecezji napisał mi list z wyrzutem: »kazał nam biskup klęczeć przed rzutnikiem« – daje wymowną ilustrację problemu.

Podkreśla, że elementem zmiany mentalności musi być wychodzenie ku osobom poszkodowanym (prosi, żebym nie używał słowa „ofiary”, bo są tacy, którzy nie życzą sobie, by nazywać ich w ten sposób). „Procedury nie wymagają, by biskup rozmawiał z taką osobą, ale ja sobie nie wyobrażam nierozmawiania – dodaje. – Te spotkania zmieniają myślenie”. Dla niego ratowanie pokrzywdzonych to jedyna forma ratowania Kościoła – to oni są w tym najważniejsi.

Pytam o wypowiedziane kiedyś zdanie, że nie wybierał kapłaństwa, by być ukrzyżowanym, ale że parę razy było ono dla niego ciężkim krzyżem – czy miało właśnie kontekst poczucia odpowiedzialności za instytucję i funkcjonujących w niej sprawców wielkiego zła? Odpowiada, że chciał wtedy powiedzieć, iż nie jesteśmy cierpiętnikami: człowiek wybiera pozytywnie, idąc za tym, co kocha, ale później wybór ten może mieć kształt krzyża. Przyznaje jednak, że za księży zawsze czuł się odpowiedzialny: że ci, których procesy prowadzi czy prowadził, zawsze mają do niego dostęp. Że bierze odpowiedzialność także za tych, którym zmienił miejsce pobytu.

Przypominam jego wypowiedź, że gdyby księża tworzyli rzeczywistą wspólnotę, mniej byłoby przypadków molestowania seksualnego – bo dochodziło do nich także na plebaniach, gdzie mieszkało kilka osób i gdzie nikt nie zapytał: „co ten młody człowiek tu robi?”. Dla mnie brzmi to nadmiernie idealistycznie, nawet jeśli to od któregoś z poszkodowanych usłyszał, że ma powiedzieć księżom, by się nauczyli wzajemnie za siebie odpowiadać. Zarzut idealizmu jednak uchyla: „Nie jestem jeszcze stary, ale już wystarczająco: 35 lat spowiadam ludzi i sam się spowiadam przeszło 50 lat. Nie znam ludzi bezgrzesznych” – mówi.

„Szawle, bracie, Pan Jezus, który ukazał ci się na drodze, którą szedłeś, przysłał mnie, abys przejrzał i został napełniony

→ Duchem Świętym” – to zdanie Ananiasza z Damaszku uważa za najpiękniejsze w całym Nowym Testamencie. Otwartą przestrzeń dla nawrócenia – „przy jasnych procedurach, przy wyrokach, które zapadają, przy karach, jakie są wymierzane, to się nie kłóci ze sobą” – widzi dla każdego przestępcy. Zdaje się, że także na tym polega chrześcijaństwo.

Gdzie błądzi Duch

Są jeszcze inne powody, dla których Ryś nie podoba się wszystkim. Jeden z nich wytłumaczył, wspominając zorganizowaną przez miesięcznik „Znak” debatę o eutanazji. „Zaproszony był też mój mistrz. Siedzieliśmy cicho i słuchaliśmy argumentów. Ale w końcu Kracik nie wytrzymał i powiedział: »Rozumiem, że chcecie wprowadzić eutanazję, ale dlaczego chcecie zmusić Kościół do stwierdzenia, że jest dobra. Chcecie ustanawiać prawa – ustanawiajcie sobie, ale zostawcie stary Kościół w spokoju i pozwólcie Kościołowi mówić ludziom, którzy się z nim utożsamiają, że to jest zło«. Mówi się o nacisku Kościoła na ustawodawstwo, ale ja dostrzegam też, że chętnie by widziano wpływ w drugą stronę: niech się Kościół dostosuje – pod presją liczb, procentów, pragnień. Ale dlaczego Kościół miałby tak zrobić? Istnieje rozwój doktryny – to stara prawda. Ale czym innym jest rozwój, a czym innym zmiana”.

Kolejny powód wiąże się z interpretacją tego „rozwoju”. Jeszcze w czasach krakowskich bibliści wytykali mu, że interpretując Pismo Święte zniekształca czasem treść oryginalnego tekstu. W Łodzi, podczas spotkania ewangelizacyjnego Arena Młodych „Reset”, pominął obrzędy wstępne mszy, za co przywołała go do porządku episkopalna Komisja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. „Powodem mojego postępowania nie było lekceważenie czy kwestionowanie przepisów liturgicznych, lecz rozeznanie (poprzedzone także długą modlitwą i konsultacjami) zarówno co do charakteru samego wydarzenia, jak i co do duchowych potrzeb, wrażliwości i pobożności biorących w nim udział młodych” – tłumaczył. Do komunii w trakcie niestandardowego nabożeństwa na stadionie przystąpiło parę tysięcy osób.

Podobnym burzom kompletnie się nie dziwi: „Sytuacja Kościoła bardzo się zmienia. Tak samo jak sposoby, w ja-

Na pytanie,
co hierarcha może robić
w szpitalu polowym,
odpowiada, że musi
przede wszystkim
wyjść z domu.

kich trzeba... powiem ładnie, ogłaszać Dobrą Nowinę. To wymaga wrażliwości i czegoś, czego nasze pokolenia nie były uczzone. Nas przygotowywano do, powiem z kolei brzydko, obsługiwania tych, którzy sami przychodzą”. A kiedy przywołuję zarzuty o zielonoświątkowy rys religijności, z którą wiążą się organizowane przez niego wielkie spotkania modlitewne, mówi, że chyba tylko w Polsce słowo „pentekostalność” ma wydźwięk negatywny.

Zdaniem Ryśa mówienie o pierwszeństwie Ducha Świętego jest dziś w Kościele kluczowe, a watykańskie dykasterie nazywają ruchy pentekostalne nową, czwartą tradycją po łacińskiej, prawosławnej i protestanckiej. Sceptykom przypomina, że podczas Vaticanum II orzeczone, iż „charyzmaty i posługi udzielane przez Ducha Świętego nie były rzeczywistością znaną jedynie pierwszym pokoleniom chrześcijan”.

To może być, podejrzewam, kolejny próg w zrozumieniu Grzegorza Ryśa: nie dość, że mówimy o człowieku wierzącym, to jeszcze takim, dla którego wiara przybiera formy niedające się sprowadzić jedynie do postawy intelektualnej: „Rozmowa byłaby łatwiejsza, gdyby uniknąć redukcji doświadczenia charyzmatycznego do przeżycia emocjonalnego – mówi. – To głęboka nieprawda, ono jest duchowe. Blachnicki zresztą nie używał pojęcia »doświadczenia emocjonalne«, tylko »personalistyczne«. Czyli takie, które obejmują całą osobę”.

Także ciało, dopowiadam, na co przytakuje, narzekając jedynie, że czasem jesteśmy zanadto skrępowani, by móc wyrazić modlitwę przez ruch, choć od razu zastrzegając, że nikogo do niczego tu zmuszać nie wolno: „Tłumacząc siostram i braciom z zespołów charyzmatycznych, że

czasami trzeba się trochę ograniczyć. Że jak są wśród ludzi, którzy nic nie wiedzą o modlitwie w językach, to mają się nie modlić językami”.

To, co stałe

Charakterystyczne, że w tym kontekście przywołał nazwisko założyciela ruchu oazowego, bo on również był oskarżany o nieortodoksyjność. Opowieści Ryśa o wspólnotach działających w oparciu o nauki ks. Franciszka Blachnickiego są malownicze: „Jesteś na oazie, jesteś nakręcony, wszystko jest” – mówi w książce „Skoro jest miłość”. Wspomina rekolekcje, na których po całym dniu ostrej gonitwy po górach szło się do kościoła, teoretycznie na trzy minuty, które jednak zamieniały się w półtorej godziny spontanicznej modlitwy. Jeśli się spojrzy na filmik z przedszkolnego pikniku, gdzie zaśpiewał piosenkę o potopie, łatwo sobie wyobrazić tamtego nakręconego chłopaka. Mówi jednak także, że dziś jego towarzysze z oazowych wyjazdów przychodzą ze słowami: „Co się stało z moją wiarą? Nic nie czuję”. „Nic się nie stało. Po prostu nic nie czujesz – uspokaja. – To znaczy, że z tamtego ubrania wyrosłeś i trzeba uszyć nowe”. Nie wszystko, co nazywają kryzysem wiary, jest nim rzeczywiście. Czasami chodzi o dorastanie.

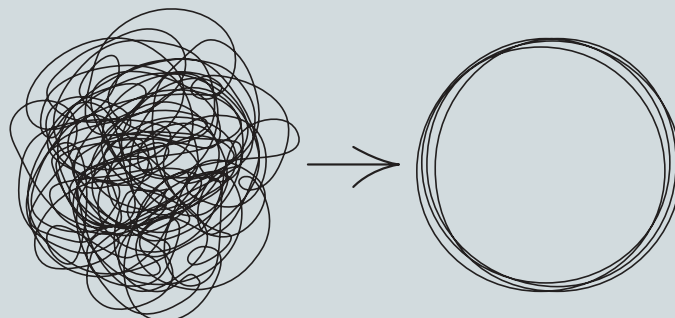
Kiedy słyszę tę historię, przypomina mi się, jak przejmował po zmarłym abp. Żyćcińskim kontynuowaną do dziś w „TP” rubrykę. W pierwszym tekście napisał o roli przewodnika, który nie mówi o sobie samym, a raczej o mieście czy górach, po których oprowadza. „Przewodnik zawsze wskazuje poza siebie. On sam nie chce być ważny. Ważne jest to, co opisuje. To, co niezmiennie” – tłumaczył, dladczego „w pełnej świadomości tego, co przygodne, i tego, co Stałe” postanowił nie zmieniać tytułu „Okruchy Słowa”.

Pytanie tylko o kolejnych przewodników: kiedy rozmawiam o nim w Łodzi, słyszę, że nie ma wśród diecezjalnego kleru kontynuatorów. „Biskup mówi ładnie, ale księża robią swoje” – streszcza to wypowiedź jednego z doświadczonych proboszczów. „Jest trochę jak Wojtyła – wynika z rozmowy z innym księdzem. – Spala się w głoszeniu Słowa, spotkaniach z ludźmi, ale zaniedbuje zarządzanie”. Faktycznie nie podoba się wszystkim, nawet tym, na których powinien polegać.

© © MICHAŁ OKOŃSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

najprościej



Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrzc w godz. 11–15
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Chmielowski w godz. 10–14
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES


Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec
(kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabiń, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoreportaż: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szuemer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.


S-NET
GRUPA TOYA

 S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

REKLAMA

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Podróże



„OTO POCHODY [HEBR. MAS'EJ] SYNÓW ISRAELA, którzy wyszli z ziemi Micraim, podług zastępów swych pod wodzą Mojżesza i Ahrona” (Lb 33; Cyilkow). Pochody? Mniemam, że większości współczesnych użytkowników polszczyzny „pochód” kojarzy się z manifestacją. Rabin Izaak Cyilkow, autor przekładu, żył w tym samym czasie, co Henryk Sienkiewicz. W bestsellerze noblisty znajdujemy takie zdanie: „Gdy nastała noc, znużeni i wyczerpani całodziennym pochodem ludzie popadali jak nieżywi, gdzie który stał” („W pustyni i w puszczy”). Zmęczeni podróżą – i takie właśnie jest znaczenie hebrajskiego słowa „mas’a”. Po otwierającym 33. rozdział Księgi Liczb powyższym zdaniu następuje jeszcze 48 wersów, w większości o identycznej strukturze: „I wyruszyli z..., i stanęli obozem w...”. Nic więc dziwnego, że nieżydowscy tłumacze – zgodnie z logiką – dokonali korekty i oddali tutaj hebrajskie „podróże” zwykle jako „miejsca postoju”/„postoje”.

42 przystanki na trasie od wymarszu z miasta Ramzes [Ramesses] w Egipcie do dotarcia nad brzeg Jordanu, który już jako jedyny oddzielał Dzieci Izraela od Ziemi Obiecanej. Wzmógł się ruch odbywał się przede wszystkim zaraz po wyjściu z Egiptu. Po odbyciu jednej trzeciej „podróży” do Kanaanu zostali wysłani wywiadowcy i reakcja na ich raport spowodowała 40 lat tułaczki. Aaron umarł w Hor ha-Har w ostatnim roku wędrówki, a potem jeszcze Izrael obozował w ośmiu miejscach. Stąd wniosek: w ciągu 38 lat na pustyni odbyło się 20 „podróży”. Oznacza to – mówi rabin Mojżesz Kaznodzieja z Narbonne – że Najwyższy okazał miłosierdzie i dawał zdrowym wytchnąć. Midrasz znajduje analogię między naszym sprawozdaniem z podróży a słowami króla, którego syn zachorował. Ojciec zabrał potomka w odległe miejsce na leczenie, a gdy wracali, wspominał: „Tutaj nocowaliśmy. A tu zmarliśmy. Tutaj bolała cię głowa”.

Kabaliści nie dają nam zapomnieć, że 42 „podróże” Dzieci Izraela to aluzja do 42-literowego Imienia Bożego, co nadaje tułaczce po pustyni głęboki sens. Chasydzi z kolei mówią o 42 „podróżach”, w które każdy musi w ciągu swojego życia wyruszyć, by dotrzeć do własnej Ziemi Obiecanej. Oczywiście nie zawsze chodzi o fizyczną zmianę miejsca, a raczej o znalezienie się w innym punkcie życia niż poprzednio. „Podróż” wynosząca nas na wyższy poziom może się dokonać w jednej lokalizacji. Na usta ciśnie się pierwsze z retorycznych pytań zadanych przez Boba Dylana w jego protest songu: „How many roads must a man walk down before you can call him a man?”. Czyli: „Jak wiele dróg człowiek wciąż musi przejść, by człowiekiem mienić się mógł?” (przeł. Filip Łobodziński), lub „Przez ile dróg musi przejść każdy z nas, by móc człowiekiem się stać?” (przeł. Andrzej Bianusz). ©

O. WACŁAW

Oszajca: Biurokratyczna teologia



ŻADEN SOBÓR, ŻADEN SYNOD, ŻADNA WŁAŹDA kościelna nie ma mocy wymyślenia kapłaństwa kobiet (...) bez wyrządzenia poważnej szkody odwiecznemu obliczu kapłana, jego sakramentalnej tożsamości, w ramach odnowionej eklezjologicznej

wizji Kościoła, tajemnicy, komunii i misji”, ogłosił kard. Robert Sarah, emerytowany prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Zgoda, wymyślanie, mówienie z głowy, czyli z niczego, nie jest najwłaściwszym podejściem do rzeczywistości, a ostrzeżenia sporo potrafią powieścić o ostrzegającym i możemy się zastanawiać, czy przypadkiem kardynał też czegoś sobie nie wymyślił. Przecież samo „posiadanie święceń” i przekonanie, że jestem *alter* Chrystus, nie zapewnia nieomyślności.

„Kapłan jest człowiekiem Bożym, który dniem i nocą przebywa w obecności Boga – mówi kard. Sarah – aby Go uwielbiać i adorować. Kapłan jest człowiekiem zanurzonym w ofierze, aby przedłużyć ofiarę Chrystusa za zbawienie świata. (...) Kapłan, który się nie modli, wkrótce umrze. Kościół, który się nie modli, jest Kościołem martwym”. Zgoda, tyle tylko, że te cechy dobrego duchownego, zgodnie z radą Pawła Apostoła, można i trzeba przypisać każdemu świeckiemu chrześcijaninowi: „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Boga czyńcie”.

Z tego wynika, że głoszenie Ewangelii nie polega jedynie na cytowaniu Biblii, ojców Kościoła, teologów czy siebie samego, ale na sprawianiu, że człowiekowi chce się żyć. Dlatego głoszeniem Ewangelii może być, choć nie musi, zarówno biskupie kazanie, jak i praca w dworcowym WC. Wszystko zależy od tego, czy to, co mówimy i robimy, budzi i umacnia w ludziach chęć przetwarzania świata na bardziej życzliwy człowiekowi i Bogu. W Księdze Mądrości czytamy: „Prócz Ciebie nie ma boga troszczącego się o wszystkich. (...) W ten sposób nauczyłeś lud swój, że człowiek prawy powinien kochać innych. Dałeś swoim synom zbawienną nadzieję, że gdy zgrzeszą, obdarzysz ich nawróceniem”.

Franciszek w liście do Victora Fernándeza, nowego szefa Dykasterii Nauki Wiary, pisze, że powinien zachęcać teologów, by wchodzili w dialog „z aktualną sytuacją, która pod wieloma względami jest bezprecedensowa w dziejach ludzkości”, i nie zadawali się „teologią uprawianą przy biurku (...) z zimną i surową logiką, która dąży do panowania nad wszystkim”. Potrzebujemy mentalności, która w przekonujący sposób przedstawi Boga miłującego, przebaczącego, zbawiającego, wyzwalającego, promującego ludzi i wzywającego ich do braterskiej służby. Niech „przepowiadanie koncentruje się na tym, co istotne, na tym, co jest piękniejsze, większe, bardziej pociągające i jednocześnie najbardziej potrzebne”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Zaproszenie na serio

Niech każdy
mimowolny trud
będzie ci nauczycielem
pamięci, a nie zabraknie
ci sposobności
do przemiany umysłu.

MAREK ASCETA



Twoje życie
jest jedyną okazją,
jaką od życia dostaniesz.

RABI'A AL-BASRI



Dziś „OKRUCH” PISZĘ z Taizé, gdzie przyjechałem w ślad za łódzką młodzieżą. Trafiliśmy na wyjątkową okazję: „Tydzień przyjaźni chrześcijańsko-muzułmańskiej”. Wśród jakichś dwóch tysięcy młodych ludzi z całego świata (katolików, chrześcijan innych denominacji, poszukujących, niewierzących) wyróżnia się grupa dwustu młodych muzułmanów, którzy przybyli tu wraz ze swoimi imamami z dalszych i bliższych miast Francji (również z Paryża). Nierzadko z przedmieść tych miast, wypełnionych w tej chwili na co dzień scenami gniewu, przemocy i zniszczenia. W Taizé weszli w dialog ze swoimi rówieśnikami. Dwa obrazy.

Pierwszy: wspólne warsztaty prowadzone przez brata Emila (wybitnego biblistę z Taizé) i jednego z imamów na temat Józefa Egipskiego. Brat Emil komentował odpowiednie rozdziały Księgi Rodzaju; imam – odpowiednie sury z Koranu. Komentarz dotyczył historii snu faraona (siedem krów tłustych i siedem krów chudych, a potem siedem kłosów zdrowych i pełnych oraz siedem kłosów pustych i zniszczonych). Józef okazał się jedynym, który potrafił objaśnić sen władcy Egiptu.

To wielka umiejętność – mówił imam – zdolność opisu tego, co się dzieje, rozeznania rzeczywistości, zwłaszcza wtedy, kiedy dzieje się zło dotyczące nie tylko poszczególnych osoby, ale również całą ludzką społeczność. Wraz z opisem nadciągającego kataklizmu Józef był w stanie propono-

wać rozwiązanie problemu, przedstawić faraonowi drogi wyjścia z dramatu. Jeśli nie znasz lub przynajmniej nie poszukujesz rozwiązania problemu – stwierdził z mocą imam – to sam jesteś jego częścią! To mocne i trafne: jak łatwo jest być przenikliwym krytykiem, któremu ostatecznie nie zależy na zmianie...

To jeszcze nie koniec. Następnym krokiem Józefa było bowiem zaproponowanie swoich usług faraonowi (w zapisie Koranu jest to o wiele bardziej wyraźne niż w Biblii) – zgłosił się do funkcji „ministra ekonomii”, gotów się podjąć działań dla przezwyciężenia kryzysu.

Nigdy wcześniej nie czytałem historii Józefa według takiego klucza.

Obraz drugi. Wieczorem tego samego dnia przechodziliśmy wraz z moim sekretarzem obok długiego, drewnianego budynku na placu przed głównym kościołem. Na budynek ten składają się przylegające do siebie większe i mniejsze sale konferencyjne. W dwóch ostatnich bracia z Taizé przygotowali dla swoich muzułmańskich gości prowizoryczny meczet. Właśnie trwała modlitwa. Stanęliśmy zaskoczeni – w pierwszej chwili samym faktem, ale zaraz potem (bardziej?) samym swoim zaskoczeniem. To przecież oczywiste! Jeśli zapraszam kogoś do relacji, którą ośmielałem się nazwać „przyjaźnią”, nie na kwadrans „dyskusji”, lecz na tydzień wspólnego życia – to muszę mu stworzyć przestrzeń, by się mógł modlić w sobie właściwy sposób. W przeciwnym przypadku nie traktuję poważnie ani jego samego, ani jego wiary. To takie oczywiste. Czy zawsze? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 VII)

16. niedziela zwykła: Mdr 12, 13. 16-19;

Ps 86; Rz 8, 26-27; Mt 13, 24-43;

Poniedziałek: Wj 14, 5-9a. 10-18;

Ps: Wj 15, 1b-6; Mt 12, 38-42;

Wtorek: 2 Kor 4, 7-15; Ps 125; Mt 20, 20-28;

Środa: Wj 16, 1-5. 9-15; Ps 78; Mt 13, 1-9;

Czwartek: Wj 19, 12. 9-11. 16-20b;

Ps: Dn 3, 52-56; Mt 13, 10-17;

Piątek: Wj 20, 1-17; Ps 19; Mt 13, 18-23;

Sobota: 1 J 4, 7-16; Ps 34; J 11, 19-27;

17. niedziela zwykła: 1 Krl 3, 5. 7-12;

Ps 119; Rz 8, 28-30; Mt 13, 44-52.

Wybrał PIOTR SIKORA

POŻEGNANIE Z NARODEM

Recepta na Polskę? Budujmy wysepki zaufania, otwierajmy stołówki i biblioteki albo zawierzmy demokrację lokalnym wspólnotom. Nawet najwięksi optymiści już nie wierzą, że jedno społeczeństwo jest możliwe.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

TRZEBA BYĆ NAPRAWDĘ OPTYMISTĄ, żeby kolejny raz się zastanawiać, co zrobić, by Polacy się dogadali. Pytanie, jak wyjść z antydemokratycznego impasu i uratować społeczeństwo, stawiają autorzy dwóch wydanych tego lata książek: socjolog Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski w „Społeczeństwie populistów” oraz zespół badaczy i intelektualistek w „Umówmy się na Polskę” (pod redakcją Macieja Kisilowskiego i Anny Wojciuk). I chwala im za to, że chce im się szukać odpowiedzi.

Badania Sadury i Sierakowskiego, prowadzone z Fundacją Pole Dialogu i Instytutem Krytyki Politycznej, trwały od lata 2019 r. do wiosny 2023 r. Obejmowały sześć sondaży z łącznym udziałem 18 tys. osób, 42 indywidualne pogłębione rozmowy i 32 wywiady grupowe. Część wyników została już ogłoszona w raportach „Polityczny cynizm Polaków”, „Koniec hegemonii 500 plus”, „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom” oraz „Wyborcy za jedną listą, liderzy przeciw”. Teraz dostajemy esencję oraz porcję nowych analiz, wspartych wiedzą z wywiadów z psychoterapeutami i ekspertami. Kryteria doboru tych ostatnich są mocno przypadkowe. Przykładowo, ekspertem od państwa i społeczeństwa był były minister Bartłomiej Sienkiewicz, a od debaty publicznej dziennikarz Grzegorz Sroczyński

– a więc osoby zaangażowane w praktykowanie tego, co miałyby chłodnym okiem analizować.

Druga książka to owoc kilkuletniej pracy warszawskiego stowarzyszenia Inkubator Umowy Społecznej (IUS), gromadzącego przeszło 130 naukowców, intelektualistów, działaczy i przedsiębiorców, którzy reprezentują różne światopoglądy, a część z nich jest ekspertami partii politycznych. Deklarują jednak, że nie chcą zakładać własnego ugrupowania ekspertów.

Plemiona wyborcze

Biało-czerwona okładka i prowokujący tytuł „Społeczeństwo populistów” nie są wyłącznie zabiegiem retorycznym. Większość badań populizmu skupiona jest na prawicy oraz radykalnej lewicy; niewielu socjologów (do wyjątków należy Francuz Michel Wieviorka) patrzy w kierunku liberałów i „oświeconego” centrum: Emmanuela Macrona czy Donalda Tuska. Tym tropem idą Sadura oraz Sierakowski i wyciągają pojęcie populizmu z szufladki z napisem „Prawica i inni radykałowie”. Przekonują, że „populizm zaraża nie tylko swoich sojuszników, lecz także przeciwników”. Populistami potrafimy być wszyscy. Zwłaszcza kiedy chcemy, żeby nasz własny interes stał się interesem ogólnym. I kiedy nie



chcemy, żeby odległość dzieląca nas od tych z dołu drabiny społecznej zmniejszyła się choćby o szczebelek.

Autorzy dzielą Polaków na pięć plemion. Neverlandowicie (40 proc. badanych) chcą lepszych usług publicznych, ale nie za cenę wyższych podatków. Izolacjoniści (24 proc.) oczekują wycofania się państwa, niskich podatków i prywatyzacji. Kosmopolici (11 proc.) uważają, że tylko podstawowe usługi, jak służba zdrowia i edukacja, powinny być finansowane z publicznych pieniędzy. Tutejsi (18 proc.) nie mają sprecyzowanych poglądów. Za to Skandynawowie (7 proc.) chcieliby zaangażowania państwa w sek-



JACEK SZYDLÓWSKI / FORUM

Obchody Święta Konstytucji 3 Maja. Warszawa, 3 maja 2023 r.

tor usług i są gotowi na wyższe podatki na ten cel. Twórcy tej mapy niewątpliwie widzą się wśród Skandynawów, z których rekrutuje się większość nielicznych wyborców Lewicy. Twierdzą, że Polacy zasadniczo popierają lewicowe idee, ale nie życzą sobie solidarnościowych kosztów.

Sadura i Sierakowski wyciskają jak cytrynę wyrafinowaną koncepcję „cynicznego rozumu” filozofa Petera Sloterdijka z lat 80. minionego wieku. I znajdują wyjaśnienie wyborczego sukcesu partii Jarosława Kaczyńskiego. Demokracja, rozwój gospodarczy, postęp technologiczny oraz wiedza o nierównościach nie skła-

nają ludzi do poparcia prospołecznych rozwiązań, ale do grania na własny interes. Badania przeprowadzone w 2019 r. oraz w maju bieżącego roku wykazały, że PiS ma dwa elektoraty, które gardzą sobą nawzajem. Pierwszy, zwany „fanatycznym” (do etykiet używanych przez autorów książki jeszcze wróć), zapewnia partii przetrwanie jako formacji ideowej, ale nie jest na tyle liczny, żeby gwarantować większość w Sejmie (daje PiS około 20, maksymalnie 30 proc. głosów). Ten elektorat przyjmuje prawicową wizję obywatelskości i świetnie racjonalizuje sobie odstępstwa od reguł, afery i skandale, które są udziałem ludzi PiS.

O władzy w rękach PiS przesądza elektorat zwany (za Sloterdijkem) cynicznym. „Jest on *de facto* byłym elektoratem opozycji – podziela jej poglądy i jest jej kulturowo bliższy, ale głosuje na PiS, ponieważ nie ufa nikomu (również opozycji), wybiera więc tego, kto aktualnie daje więcej” – tłumaczą autorzy. Cynicy popierają rządzących warunkowo, za gotówkę, która trafia do ich kieszeni, i za poczucie względnego bezpieczeństwa. Uważają, że PiS będzie bał się im odebrać dotychczasowe przywileje, chętnie dorzuci coś więcej i nie otworzy bram obcym (badanie przeprowadzono przed ostatnimi doniesieniami na temat →

→ niespójnej polityki migracyjnej rządu). Wśród wyborców warunkowych nie brakuje nawet przeciwników świadczenia 500 plus, którzy uznają je za rozdawnictwo. Ale je pobierają. Elektorat cyniczny zdaje sobie sprawę, że PiS narusza zasady ustrojowe, że afera goni za aferą, a nepotyzm i korupcja są powszechne. Wartości zawiesza jednak na kołku, a korupcję usprawiedliwia, jeśli przynosi ona korzyść stronie rządzącej. Może bowiem liczyć, że ze stołu coś mu skapnie.

Socjologowie zadali też pytanie o to, z jakich powodów niektórzy wyborcy PiS z 2019 r. kolejny raz już nie oddadzą na tę partię głosu. Pod koniec 2022 r. takich osób było w badanej próbie 12 proc. Niemal trzy czwarte ekswyborców nie wie, dlaczego odeszło od PiS-u – tłumacząc to ogólnikami o rozczarowaniu rządzącymi. Inni wskazują m.in. na inflację i pogorszenie się sytuacji materialnej (10 proc.), niewywiązywanie się rządu ze składanych obietnic (7 proc.), przywileje dla Ukraińców, przyznawane, ich zdaniem, kosztem biedniejących Polaków (6 proc.). Nielicznych mierzi styl rządzenia, korupcja i nepotyzm. Jedynie dla dwóch na stu ekswyborców Rubikonem był stosunek do praw kobiet i mniejszości seksualnych. Nikt z respondentów nie rozstał się z PiS z powodu niekonstytucyjnych zmian w sądownictwie.

Sen o samorządzie

O ile książka socjologów związanych z Krytyką Polityczną jest raportem o stanie społeczeństwa, o tyle „Umówmy się na Polskę” to plan kuracji dla elit władzy. We wprowadzeniu Antoni Dudek, Maciej Kisilowski i Anna Wojciuk wskazują, że ojcem problemów kraju jest „egocentryzm liderów politycznych” i hasło „zrobię to lepiej” (jeśli na mnie zagłosujecie). A matką – Konstytucja RP z 1997 r., uchwalona ich zdaniem „bez realnego udziału Polski konserwatywnej (...) i przy głośnym sprzeciwie Kościoła katolickiego”. Autorzy wpisują się w stary postulat nowej umowy społecznej i szukania jedności w różnorodności. Proponują „umowę o podziale władzy”, która zakłada zasadnicze wzmocnienie samorządów. Uprowadzają zarzuty sceptyków, że nie chodzi im ani o federalizację Polski, ani autonomię dla wybranych regionów. Ich plan zakłada decentralizację symetryczną – większe prawa i obowiązki

Głównym winnym populizmu i kryzysu polskiej demokracji jest brak zaufania społecznego. Bez zaufania do ludzi, instytucji i państwa **ludzie się nie znoszą, instytucje nie działają, a państwo się degeneruje.**

dla każdego województwa i lokalnego samorządu.

To na poziomie województw mieliśmy decydować m.in. o handlu w niedzielę, wieku szkolnym i emerytalnym, finansowaniu zapłodnienia *in vitro* czy o sposobie wspierania rodzin z dziećmi. Czy regionalnie można by też regulować sprawy, które dziś wywołują „wojny kulturowe”, jak dostępność aborcji i prawo do zawierania małżeństw jedнопłciowych? Temu większość członków i członkiń IUS jest przeciwna. Nie wierzą jednak w scenariusz, nazwijmy go amerykańskim, prowadzący do maksymalizacji różnic. Przykładowo: w pomorskim aborcja będzie legalna, a w podkarpackim zakazana. Podsuwają za to scenariusz australijski, gdzie awangarda pociąga za sobą resztę (pod wpływem postępowych regionów stopniowo liberalizowano prawo aborcyjne w pozostałych częściach kraju). Autorzy chyba jednak nie doceniają siły rodzimej sfery publiczno-medialnej, nastawionej na eskalowanie konfliktu interesów, zwłaszcza ekonomicznych i klasowych.

W lokalnej skali równie wielkie emocje, co kwestia prawa do aborcji, może wzbudzić dyskusja nad tym, czy utrzymać trzynastą i czternastą emeryturę, czy te środki skierować np. do rodzin wielodzietnych. Już teraz można by pisać dialogi uwłaczające jednym i drugim beneficjentom.

Pierwsza część „Umówmy się na Polskę” to ciekawy, ekspercki projekt nowego ustroju. Część druga to pouczająca baśń dla samorządowców i opozycji. Autorzy snują opowieść o tym, jak po październikowych wyborach dokonuje się poli-

tyczny cud i najważniejsze siły parlamentarne zawiązują koalicję konstytucyjną. Po świętach Bożego Narodzenia 2023 zostają uchwalone poprawki do konstytucji. Wprowadzają m.in. regulujące funkcjonowanie samorządów karty wojewódzkie (zatwierdzane w regionalnych referendach), bezpośrednie wybory wojewodów, przekształcenie Senatu w izbę wojewodów, a PIT-u i CIT-u w podatki wojewódzkie. „Finansowy kręgosłup” zapewnia tej zmianie, oprócz PIT-u i CIT-u (różnice we wpływach między województwami regulowałby Narodowy Fundusz Spójności), scedowanie na samorządy większości spółek Skarbu Państwa, a także gruntów, szkół wyższych, instytucji kulturalnych, lasów itd. Na tej podstawie możliwe stają się przeobrażenia regionów w raje dla (większości) aktywnych politycznie mieszkańców.

Końcowe rozdziały książki to fantazje na temat monokulturowych województw, które mogłyby powstać wskutek reform. Opisy sukcesu każdego z nich oraz sylwetki szczęśliwych obywateli są hybrydą propagandowej czytanki, technokratycznej ekspertyzy i powieści *political fiction*. Zaangażowanie pisarek i pisarzy (Sylvii Chutnik, Marty Kwaśnickiej, Karoliny Lewestam, Piotra Siemiona i Ziemowita Szczepka) do fabularyzacji PR-owego żargonu niewiele pomogło. Oczywiście, te „fantastyczne” województwa są typami idealnymi, które mają bardziej pobudzać wyobraźnię, niż być gotowym scenariuszem zmian. Jednak dobry model musi uwzględniać realny kontekst.

Tymczasem w książkowym województwie pomorskim Kościół milcząco przyzwala na to, żeby katechetów szkolić z komunikacji przyjaznej tęczowym rodzinom, legalne są jedнопłciowe związki partnerskie, antykoncepcja awaryjna jest refundowana i łatwo dostępna dzięki receptomatom. W podlaskim, gdzie królują wartości konserwatywne, IPN bez przeszkód upamiętnia heroiczną historię Polski, a kobiety najwyraźniej nie zachodzą w niechciane i zagrażające ich życiu ciąży. W wielkopolskim, rządzone przez Koalicję Obywatelską, mimo wprowadzenia podatku liniowego także dla rolników nikt nie zostaje wywieziony na taczkach.

Brzmi to pięknie, ale ja należę do sceptyków, którym uruchamiają się inne wizje. Na przykład masowej wewnętrznej

migracji oraz fali strategicznych prze-meldowań i przerejestrowań firm i sto-warzyszeń do województw, gdzie po-datki są niższe lub głosząca większość odpowiada „naszym” poglądom. Czy nie powstałyby jeszcze trwalsze bańki świa-topoglądowe, getta postępówców, trady-cjonalistów i innych opcji? Czy zamiast wygaszenia konfliktów opartych na ste-reotypach efektem nie byłoby ich pod-sycenie – zgodnie z regułą, że to, co od-mienne, postrzegane jest jako zagrożenie dla własnego? Wreszcie – co jeśli zmieni się opcja rządząca w województwie? Czy nadane poszczególnym grupom prawa mogą zostać odebrane? Odpowiedzi na te pytania w „Umówmy się na Polskę” nie znajdziemy.

Terapia plus

Wyrosłe na polskiej historii i kulturze społeczeństwo jest wdzięcznym pacjen-tem do diagnozowania. Jego przypadłości można opisać w rozmaitych jednostkach chorobowych. Autorzy „Umówmy się na Polskę” wskazują na dominację myśli li-beralnej w rozwiązaniach ustrojowych, co daje fałszywy obraz rozkładu poglądów Polaków i marginalizuje opcje konserwa-tywną i prawicową. Do swojego planu chcą przekonać wyborców PiS wizją sil-nego państwa, wzmocnieniem rozliczal-ności sędziów, wpływem samorządow-ców na wybór sędziów rejonowych i pa-kietem „antysitwowym”, czyli zabezpie-czeniami przed korupcją i nepotyzmem.

W świetle analiz Sadury i Sierakow-skiego to nie wystarczy, bo głównym winnym populizmu i kryzysu demokra-cji jest brak zaufania społecznego. Bez za-ufania do ludzi, instytucji i państwa lu-dzie się nie znoszą, instytucje nie dzia-lają, a państwo się degeneruje. Faktycz-nie, w międzynarodowych badaniach poziomu zaufania (np. cyklicznym Eu-ropejskim Sondażu Społecznym) Pol-ska zamyka stawkę. Ale tak jest od przy-najmniej dwóch dekad, odkąd prowa-dzone są analizy porównawcze, a Piotr Sztompka i inni uczeni wprowadzili po-jęcie zaufania społecznego do głównego słownika socjologii. Niskie zaufanie nie tłumaczy więc w sposób wystarczający dzisiejszego romansu Polaków z populi-zmem. Ważniejszą przyczyną, na którą między wierszami wskazują autorzy, wy-daje się niezakorzenie liberalizmu po-litycznego i społecznego. Odroczonym

skutkiem jest silny opór części społeczeń-stwa przed zmianami kulturowymi i po-lityką otwartą na różnorodność.

Czy istnieje coś, co łączy zwaśnione plemiona i nieznoszące się elektoraty? Tak. Z badań Sadury i Sierakowskiego wynika, że ponadpartyjne i ponadkla-sowe jest niezadowolenie ze służby zdro-wia. Może debatę ogólnospołeczną trzeba więc zacząć od planu wielkiej reformy opieki medycznej w Polsce? A najlepiej od zdrowia psychicznego Polaków? Efek-tem pandemii i nieprzeżytej żałoby po jej ofiarach, a także wojny w Ukrainie i wy-sokiej inflacji jest „skokowy wzrost zain-teresowania psychoterapią i uznanie jej za realną, ważną i uzasadnioną potrzebę”. W zeszłorocznych badaniach warszawia-ków niemal dziewięciu na dziesięciu re-spondentów zgadzało się z postulatem, aby państwo gwarantowało powszechny dostęp do psychoterapii.

Jednak źródeł polskich traum szukają głębiej, w przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowieściach o wojnie, we wciąż żywych wspomnieniach hiperin-flacji i bezrobocia z lat 90. Do tego docho-dzą nowe traumy kapitalistyczne, które wynikają z fetyszyzacji rynku i demon-izacji redystrybucji. Jedną z nich jest lęk klasy średniej przed deklasacją. Żyje w permanentnej niepewności, czy uda jej się wytrwać na pozycji „średniaka”. Wi-dzi, że różnica w poziomie życia między nią a klasą ludową zmniejsza się, a dy-stans do klasy wyższej nieubłaganie ro-śnie. Ta trauma jest nie tylko projekcją kolektywnego rozumu, ale w równym stopniu skutkiem braku politycznej oferty dla tej grupy.

Autorzy obu książek zegnają się z po-jęciem społeczeństwa jako faktycznej ca-łości, a o kategorii narodu nawet nie wspo-minają. Twórcy „Umówmy się na Pol-skę” sprawnie operują pojęciami z tech-nokratycznego języka sukcesu, jak fokus („profesjonalne, strategiczne skoncen-trowanie się na priorytetach”), rządzenie wielopoziomowe („silne, instytucjonalne więzi między gminnymi, wojewódzkimi i krajowymi szczeblami władzy”), „ko-operencja” samorządów (kooperacja po-łączona z konkurencją) – a każdy z nich to „innowacyjny złoty środek”. Do tego dochodzi optymizm wobec zdalnych re-ferendów, np. w sprawach wojewódz-kich inwestycji i wydatków socjalnych. Ignoruje się ryzyko, że będą plebiscytami

popularności, gdzie wygrywają rozwią-zania korzystniejsze dla klasy, która osią-gnie masę krytyczną.

Propozycja lewicowa wydaje się bar-dziej powściągliwa. Sadura i Sierakowski namawiają, by budować wysepki zaufa-nia, czyli małe, lokalne środowiska, które za Jackiem Kuroniem nazywają grupami ekspresyjnymi. Powtarzają też wytarte hasła o tym, że to powszechna oświata powinna być szkołą demokracji i kuźnią społecznego zaufania. Uczelnie wyższe musiałyby, jak na Harvardzie, promować pracę zespołową, a biblioteki uniwersy-teckie być otwarte całą dobę i mieć swoje stołówki, gdzie mogłyby się toczyć roz-mowy i zawiązywać komitety.

Jednak autorzy sami nie wierzą w te propozycje. Obawiają się, że doświadcze-nie nieskutecznych protestów antyrząd-owych skończy się, zwłaszcza dla mło-dych, „wyuczoną bezradnością w podej-mowaniu inicjatywy na rzecz jakiegokol-wiek zmiany”. Toż to język z poprzed-niej epoki, kiedy intelektualistów gromili „przebranych transformacji” za to, że nie dorośli do demokracji i wolnego rynku. Kontekst polityczny się zmienił, gospo-darcze postulaty też, ale retoryka ewolu-uje dość powoli.

No cóż, dyskusja się nie kończy. „Wiel-kie tematy myśli społecznej – pisał nie-gdyś Jerzy Jedlicki – mają to do siebie, że nie znajdują ostatecznych rozstrzygnięć ani w teorii, ani w praktyce”. Pytanie o to, jaki ma być ustrój Polski oraz w ja-kim kierunku zmierza jej wyboista spo-łeczna modernizacja, jest takim wielkim tematem. I będzie powracać w nowych odsłonach.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK



UMÓWMY SIĘ NA POLSKĘ
red. Maciej Kisilowski,
Anna Wojciuk,
Wydawnictwo Znak,
Kraków 2023



Przemysław Sadura,
Sławomir Sierakowski
**SPOŁECZEŃSTWO
POPULISTÓW**
Wydawnictwo Krytyki
Politycznej,
Warszawa 2023

Lekcja Kamila

JOANNA GORCZOWSKA,
PEDAGOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA:

Brytyjczycy budowali system zapobiegania przemocy wobec dzieci przez dekady, z każdej śmierci wyciągając wnioski. My jesteśmy dopiero na początku tej drogi.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Dwa miesiące temu zmarł w Częstochowie katowany przez ojczyma ośmioletni Kamil. Jego szpitalną walkę o życie, inaczej niż poprzednie podobne tragedie, Polska śledziła tygodniami, a Sejm przyjął kilka dni temu specjalną ustawę. Przełom?

JOANNA GORCZOWSKA: To się dopiero okaże. Śledziłam tę historię i jako praktyk, i jako matka, z poczuciem przerażającego smutku oraz współczucia dla tego chłopca. Potem poczułam złość – na to, jak skonstruowany jest polski system i jak od lat funkcjonuje logika przerywania się odpowiedzialnością za takie tragedie. Złość także na to, że katalog reakcji na to wydarzenie przynajmniej na początku był podobny do tego, do czego przywykliśmy: „przyjrzymy się tej sprawie”, „nie możemy dopuścić do kolejnej tragedii” itd.

Później pomyślałam, że w sumie to nie powinnam być zaskoczona: przecież takich historii i następujących po nich wzmożeń była masa i nic konstruktywnego nie przyniosły – państwo polskie na przestrzeni lat ani razu nie zareagowało na podobne zdarzenie konkretnym planem działania, który minimalizowałby ryzyko powtórzenia się tragedii, ale przede wszystkim nie zbudowało ram systemu ochrony dziecka.

Zapytam wprost, odwołując się do Pani ponad 15-letniego doświadczenia pracy w brytyjskiej służbie socjalnej: czy ten sam chłopiec,

mieszkając z tą samą rodziną na Wyspach, miałby szanse, by żyć?

Miałby większe szanse na bycie chronionym. Z bardzo prostego powodu: przemoc skutkująca śmiercią dziecka prawie nigdy nie dzieje się z dnia na dzień, bez wcześniejszych sygnałów i symptomów. Wiemy, że także w tej historii o podejrzeniu przemocy i zaniedbaniach wiedziała szkoła, lekarz, sąd rodzinny.

Który jednak nie zabezpieczył dziecka, tylko przydzielił rodzinie kuratora.

Było więcej takich momentów: np. chłopiec uciekł z domu i został odnaleziony daleko od niego, o czym służby również informowały sąd. Podobne momenty, absolutnie krytyczne, skłoniłyby brytyjski system do bardzo wnikliwej diagnozy sytuacji w rodzinie i tzw. oceny ryzyka. Ta diagnoza określa nie tylko stan faktyczny, a więc czego dziecko doświadcza, ale też prawdopodobieństwo powtórzenia wystąpienia przemocy. Jeśli ono

istnieje, następuje zabezpieczenie, tzn. umieszczenie dziecka w bezpiecznym środowisku na czas dogłębnej diagnozy wydolności rodzicielskiej i zdolności rodziców do zmiany.

W Polsce zapanowała nadzieja, iż historia Kamila to przekroczenie masy krytycznej. Zanim porozmawiamy o tym, co znajduje się w nowelizacji prawa będącej pokłosiem tej tragedii, opowiedzmy o Wielkiej Brytanii. Tam też były historie, które ruszyły wyspiarski system z posad.

W 1974 r. zmarła ośmioletnia Maria Colwell, wobec której ojczym stosował długotrwałą przemoc. Doszło do tragedii, pomimo że rodzina była od dłuższego czasu pod opieką służb społecznych. Tyle że, jak wykazała dokładna analiza, instytucje ze sobą nie współpracowały, pracownicy byli słabo przygotowani do pracy z dziećmi, a cały system bardziej się skupił na potrzebach rodziców niż dziewczynki.



VASTILEIOS KARAYILLIDIS / ADOBE STOCK

Jedną z bardziej znaczących zmian prawnych tamtego czasu było uchwalenie Ustawy o dzieciach w 1989 r. Ten akt wprowadził obowiązek podejścia skoncentrowanego na dziecku, a także tzw. próg krzywdy, po przekroczeniu którego interwencja w życie rodziny jest konieczna.

Pokłosiem m.in. tej tragedii było wpisanie do brytyjskiego prawa pojęcia „odpowiedzialności rodzicielskiej”, która zastąpiła „prawa rodzicielskie”.

Gdy w Polsce kilka lat temu poprzedni rzecznik praw dziecka chciał to pojęcie umieścić w naszym prawie, na prawicy wybuchł wrzask.

I zmiana nie przeszła, pozostała więc „władza rodzicielska”, która odzwierciedla nasze myślenie o relacji rodzic-dziecko.

A wracając do przełomowych historii, w 2000 r. brytyjską opinią publiczną wstrząsnęła historia 9-letniej Victorii Climbié. Dziewczynka zmarła wskutek trwającej bardzo długo przemocy ze strony ciotki i jej partnera. Po tej tragedii w 2004 r. znowelizowano Ustawę o dzieciach, zobowiązując władze lokalne do promowania współpracy międzyinstytucjonalnej, oraz wprowadzono regulację Every Child Matters [każde dziecko ma znaczenie – red.], wzmacniając ochronę małoletnich w obszarze edukacji oraz ochrony zdrowia.

Natomiast obowiązek przeprowadzania szczegółowej analizy każdego przypadku drastycznej przemocy wobec dziecka, istniejący na Wyspach dużo wcześniej, zyskał nazwę, którą posługujemy się często dzisiaj w Polsce, domagając się zmian – *Serious Case Review* [analiza poważnych przypadków – red.]. To prowadzona na poziomie lokalnym i centralnym analiza, co w systemie działało dobrze, a co nie, prowadząc do opóźnionej reakcji służb. Ma zupełnie inny cel niż dochodzenie karne – tu nie chodzi o winę, tylko o ustalenie, jakie lekcje należy wyciągnąć z tragedii. Proszę zauważyć, że analizy nie skupiają się tylko na uniknięciu śmierci dzieci lub uszczerbku na ich zdrowiu, ale też na poprawie działania całego systemu.

Ale dziury w nim pojawiają się zawsze. W Wielkiej Brytanii kolejna

głośna tragedia miała miejsce w 2007 r.

Znana jest do dziś jako historia „Baby P” – 17-miesięczny Peter zmarł wskutek przemocy ze strony matki i ojczyma. Dziecko było znane służbom społecznym. Analiza po śmierci „Baby P” dowiodła, że w pracy z tą rodziną praktycy w ocenie ryzyka wystąpienia przemocy skupiali się na narracji matki. Nie sprawdzili przeszłości kryminalnej jej partnera.

Mieli też uśpioną czujność, bo matka – co jest częstym zjawiskiem – zgłaszała się z każdym, nawet niewielkim problemem zdrowotnym dziecka do lekarza oraz była w stałym kontakcie ze służbami społecznymi. Na zewnątrz można by powiedzieć, że współpracowała z instytucjami, jednakże realna zmiana w funkcjonowaniu tej rodziny nie nastąpiła. Kilka dni przed śmiercią chłopczyka służba zdrowia mogła zareagować, ale tego nie zrobiła: lekarz wiedząc, że dziecko było widziane przez innego specjalistę kilka dni wcześniej, nie zbadał go. Tymczasem, jak się później okazało, chłopiec miał już wtedy złamane żebra.

Każda z tych trzech historii przynosiła nowe lekcje, ale też wszystkie posiadały punkty wspólne. Raz, że trzeba przygotowywać praktyków do rozpoznawania wszystkich kompleksowych zjawisk w rodzinach, gdzie dzieje się przemoc. Dwa, że trzeba przyglądać się przede wszystkim potrzebom dziecka poprzez rozmowę z nim, obserwacje interakcji dziecko-rodzic, a nie polegać na przekazie dorosłych. Trzy, że współpraca między instytucjami i wymiana informacji są kluczowe.

Brzmi jak katalog polskich grzechów systemowych w niemal wszystkich głośnych przypadkach zabójstw dzieci.

Bo u nas te tragedie niczego nie zmieniają. Na Wyspach tymczasem po każdej z opisanych historii – a także po wielu innych – uszczelniano system, doprecyzowywano zasady współpracy wszystkich kluczowych instytucji, szkolono kadry, a także poprawiano system wsparcia dla nich.

To fundamentalne, bo przecież praktycy – pracownicy socjalni, pedagodzy – muszą mieć poczucie bezpieczeństwa, wsparcie superwizyjne doświadczonych

specjalisty. W historiach, o których rozmawiamy, jest wiele cierpienia, często trudnego do uniesienia bez pomocy innych. To może prowadzić do rozwinięcia tzw. traumy zastępczej u praktyków, ograniczając ich zdolność do oceny ryzyka występowania przemocy wobec dzieci.

Pani, pełniąc przez wiele lat funkcję pracownika socjalnego diagnozującego zagrożone dysfunkcjami polskie rodziny na Wyspach, ale też potencjalnych opiekunów zastępczych dla dzieci z takich rodzin – również miała takie momenty?

Pamiętam współpracę z matką, niezwykle inteligentną, ale manipulującą kobietą. Jej małe dziecko miało urazy i zostało zabezpieczone. Moim zadaniem była diagnoza wydolności rodzicielskiej. Matka podczas kontaktów z dzieckiem zachowywała się wzorowo, była uważna, troskliwa. Osoby ją nadzorujące nie zgłaszały obaw, informacje ze żłobka były pozytywne. Dziecko miało urazy, które – wedle opisów matki – wynikały z jego nadmiernego temperamentu. To była bardzo trudna sprawa, właśnie z uwagi na umiejętności manipulatorskie matki, która „uwiodła” część praktyków. W dodatku zbiegło się to z moim przeciążeniem zawodowym w tamtym czasie. Dopiero wsparcie superwizyjne oraz terapeutyczne pozwoliło mi pozbyć się napięcia i skierować uwagę tam, gdzie być powinna – przy dziecku.

Uważam, że praktycy w Wielkiej Brytanii pracują w znacznie lepszym otoczeniu systemowym: są nie tylko lepiej opłacani, ale też dostają impulsy do rozwoju. A ci polscy nie mają podstawowych narzędzi, takich jak superwizja. System brytyjski ma swoje problemy, ale jest stale monitorowany i ulepszany – to jego najmocniejsza strona.

Choć ta profesja jest chyba trudna w każdym zakątku świata. Mówi się, że pracownik socjalny – przynajmniej w odniesieniu do zagrożonych rodzin – podejmuje same złe decyzje. Odbierze dziecko – „jest bezduszny”; nie odbierze – może się zdarzyć tragedia.

Nie do końca się z tym zgadzam: jeśli dziecko jest krzywdzone, to jego →

→ zabezpieczenie na czas oceny wydolności rodzicielskiej oraz pracy z nią jest decyzją słuszną.

Rozstanie z rodzicami to zawsze cios.

Tak, dlatego tak ważna jest wnikliwa diagnoza sytuacji dziecka. W tych trudnych decyzjach należy przede wszystkim myśleć o jego bezpieczeństwie, nie tylko fizycznym, ale i emocjonalnym. We wspomnianej sprawie „Baby P” analiza wykazała, że urzędnicy stosowali coś, co nazywa się „zasadą optymizmu”, czyli interpretowali wszystko na korzyść wersji, wedle której w tej rodzinie sytuacja zmieni się na lepsze, pomimo braku znaczących przesłanek. Tu trzeba się zatrzymać i zadać sobie pytanie: dlaczego zakładam, że wszystko jest i będzie OK, skoro niewiele na to wskazuje?

W naszej kulturze po prostu zakłada się, że rodzina biologiczna to najlepsze środowisko dla dziecka.

A w Wielkiej Brytanii głównym założeniem jest bezpieczeństwo dziecka. I ten paradygmat to jest jedyne słuszne założenie, bo zakłada nie tylko jego ochronę, ale też wczesne wsparcie rodziny.

U nas nie brakuje opinii, że ten paradygmat doprowadza do bezdusznego odbierania dzieci z rodzin. Tak się ocenia głównie system skandynawski.



MATERIAŁ PRASOWY

JOANNA GORCOWSKA jest pedagożką społeczną i psychoterapeutką Gestalt. Ma ponadpiętnastoletnie doświadczenie pracy w systemie zapobiegania przemocy wobec dzieci w Wielkiej Brytanii.

Nie chcę zajmować się systemem skandynawskim, bo wchodziłabym w mechanizm, który w moim przekonaniu jest szkodliwy. W takich przypadkach nasuwa mi się pytanie: „Czym nie zajmujesz się w sobie, zajmując się innymi?”. To stosowany od lat mechanizm obronny: „Pogadajmy o systemie skandynawskim, zamiast przyjrzeć się temu, co u nas nie działa”.

Coś w tym jest, nawet na poziomie popkultury. Był głośny film o polskiej rodzinie, której bezduszny szwedzki system odbiera dzieci. Historii opartej np. na dramacie zabitej w 2019 r. Blanki z Olecka nie nakręcono.

Patrząc na to zjawisko z metaperspektywy, możemy powiedzieć, że polski system wspierania rodziny jest systemem zorganizowanym przez traumę. Jest nieśpójny, chaotyczny. To rzeczywistość, w której refleksja budzi lęk, a wypieranie staje się mechanizmem obronnym. Więc ilekroć ktoś prosi mnie o rozmowę na temat „bezdusznych Skandynawów”, odpowiadam: „Hej, zajmijmy się sobą, u nas giną dzieci”. Pogadajmy o tym, że u nas nie ma wystarczającej liczby rodzin zastępczych. Że nie są one właściwie wspierane. Że wiele decyzji sądów rodzinnych retraumatyzuje dzieci. Że pracownicy socjalni są źle opłacani i słabo wspierani.

Jak ocenia Pani wspomniany już projekt, ochrzczony zresztą publicznie mianem „ustawy Kamilka”, który został przyjęty przez Sejm? Wprowadziłby on do polskiego prawa procedurę na kształt brytyjskiej Serious Case Review. Takiej analizy dokonywałby powołany przez ministra sprawiedliwości zespół ekspertów: prawnika, pediatry, psychologa, psychiatry, pedagoga i socjologa.

To bardzo ogólne zręby tego, co działa na Wyspach. Dobrze, że się taki element pojawia, bo to może być początek konstruowania czegoś ważnego. Ale warto też powiedzieć o rzeczach, których w projekcie nie ma, albo które są, ale budzą niepokój.

Po pierwsze, raport będący analizą przypadku ma powstać w ciągu czterech miesięcy. Uważam, że to za mało.

Po drugie, nie bardzo z tego projektu wiadomo, co się z tym raportem będzie później działo, jak te odmiennie przez wszystkie przypadki „wnioski” będą się przekładać na zmiany prawne oraz strukturalne. Kto – i do kogo – będzie wysyłać rekomendacje? Jaki jest czas na ich realizację? Kogo mamy z tego rozliczać? Ważna jest metodologia prowadzenia takiej analizy. Nie widziałam w projekcie informacji na ten temat.

I zastrzeżenie najogólniejsze, a zarazem najbardziej fundamentalne: brakuje mi w tym projekcie założeń – po co my to wszystko robimy? Chciałabym zobaczyć jakieś *credo*, do którego można by się odwołać.

Projekt pojawia się na kilka miesięcy przed wyborami.

Co też rodzi pytanie: jak to jest, że przez lata nie zajmowało to głów polityków? Stawiam to pytanie ponadpolitycznie, bo ten temat nie był na agendzie nigdy.

Jednego ten projekt nie zmieni: w sprawach o ograniczenie bądź odebranie praw rodzicielskich dziecko – jak chciało wielu ekspertów – nie będzie miało przedstawiciela w sądzie. Okazało się, że jeszcze w PRL Sąd Najwyższy orzekł, iż taki przedstawiciel godziłby we wspomnianą „władzę rodzicielską”...

W Polsce – co brzmi niewiarygodnie – dziecko nie ma w systemie pomoco-

OGŁOSZENIE



Bydgoszcz
klubtygodnika.pl

Zapraszamy do współtworzenia przestrzeni Klubu „Tygodnika Powszechnego” w Bydgoszczy

Kontakt do koordynatora:
Piotr Jarecki,
bydgoszcz@klubtygodnika.pl

więcej o klubach „TP”
na stronie klubtygodnika.pl



Stowarzyszenie
IM. JERZEGO TUROWICZA

wym nikogo, z kim miałoby relację na wyłączność.

Jest pracownik socjalny i pomagający w codziennym funkcjonowaniu asystent rodziny, ale oni wspierają całą rodzinę.

I to jest istota różnicy, o której rozmawiamy. W Anglii jest *child social worker*, czyli pracownik socjalny na rzecz dziecka, oraz przedstawiciel dziecka w sądzie. To jego „głos” w systemie. Niejedyny: nawet akty prawne, ustawy, jak Children Act albo Every Child Matters chronią dzieci, a nie dorosłych.

U nas nazwy zawierają inne słowo: rodzina. Jest nawet ministerstwo rodziny.

To bardzo symptomatyczne dla myślenia o potrzebach dzieci w Polsce. Mamy Rzecznika Praw Dziecka, który jednak na rzecz ochrony dzieci robi realnie niewiele. Dość powiedzieć, że nie usłyszeliśmy od Mikołaja Pawlaka żadnego mocnego wystąpienia czy inicjatywy po tragicznej śmierci Kamila. To mnie zasmuca.

A co się przez ostatnie dekady zmieniło w Polsce na lepsze?

Świadomość, mentalność. Choć na Wyspach to właśnie od polskich rodziców, gdzie był problem alkoholowy, imprezy i awantury zgłaszane przez sąsiadów, zdarzało mi się słyszeć podsyte niedowierzaniem pytanie: „Pani nigdy nie wypila piwa przy dziecku?”. Bywało, że rodzice w czasie takich imprez robili sobie, „dla żartu”, zdjęcia dzieci trzymających puszkę z piwem. A potem mówili: „W Polsce to by nie był żaden problem, a tutaj nas niepokoić”. Pamiętam kilka takich przypadków, występowały one wraz z innymi czynnikami ryzyka w tych rodzinach.

Co nie zmienia faktu, że przemiany świadomościowe są widoczne. Dostrzegam je w swojej pracy terapeutycznej z rodzicami, ale też wokół siebie. Obserwuję większą wrażliwość i rozumienie, że przemoc skutkuje długofalowymi negatywnymi konsekwencjami rozwojowymi.

To jest energia, na której warto budować zmiany.

©© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Instrukcja obsługi „Resetu”

JAKUB SZUMSKI, ANDRZEJ TURKOWSKI

Pomimo niewyczerpanych pokładów propagandy serial TVP dotyka istotnych wyzwań polskiej polityki zagranicznej. Trudno jednak o nich dyskutować, gdy każdy błąd traktowany jest jak narodowa zdrada.

EMITOWANY OD POŁOWY CZERWCA w telewizji publicznej „Reset” ukazuje rzekomy przewrót, jakiego w 2007 r. dokonał Donald Tusk w stosunku do Rosji i Ukrainy. Wykazać się miał przy tym uległością wobec imperialnych zapędów Kremla, czego skutki obserwujemy dziś, w postaci ataku Rosji na Ukrainę. Tusk, dając zielone światło dla współpracy Unii Europejskiej z Rosją i blokując amerykańską tarczę antyrakietową, narażał wręcz polską rację stanu i europejski ład. To główne tezy dziennikarza Michała Rachonia i historyka Sławomira Cenckiewicza, podróżujących po świecie i rozmawiających z ekspertami oraz świadkami różnych wydarzeń. Aby je uwiarygodnić, autorzy ujawniają m. in. dokumenty z archiwum polskiej dyplomacji.

Dyskredytacja Tuska jest nieukrywaną intencją serialu, której trudno nie łączyć z powołaną w czerwcu komisją do spraw rosyjskich wpływów. Jej przewodniczącym, wedle doniesień mediów i sugestii szefa klubu PiS, prof. Ryszarda Terleckiego, miał zostać współautor serialu, dr hab. Sławomir Cenckiewicz (on sam temu zaprzecza). Ale nawet jeśli uznamy, że ten jednostronny i tendencyjny dokument to oręż wyłącznie na potrzeby kampanii wyborczej, mimowolnie dotyka on ważnych pytań. W jaki sposób należy realizować politykę wschodnią? Jak, biorąc pod uwagę słabszą pozycję w relacjach z głównymi państwami Zachodu, forsować nasze racje i interesy?

„Reset” ujawnia symptomatyczne cechy polskiej debaty publicznej, które nie sprzyjają rzeczowej dyskusji o polityce.

W przypadku strategii wschodniej PiS i PO walczą o monopol reprezentowania prometejskiej wizji polityki zagranicznej, która wspiera narody oraz państwa Europy Środkowej i Wschodniej przeciwko imperialistycznej Rosji. W rzeczywistości jest to tradycja – co serial i debata wokół niego nieintencjonalnie pokazują – w którą wpisuje się zdecydowana większość środowisk intelektualnych i politycznych w Polsce. Nie przeszkadza im to jednak we wzajemnym oskarżaniu się o zdradę.

Brukselski dylemat

Tytułowy reset, a więc gotowość do drobnych ustępstw wobec Moskwy na rzecz pragmatycznego ułożenia z nią stosunków, faktycznie był elementem nowego otwarcia w polityce zagranicznej rządu Tuska po zwycięstwie w wyborach 2007 r. Jednak produkcja TVP, krytykująca szefa ówczesnego rządu za pojednawcze gesty i lekceważenie zagrożeń, czerpie swą moc z ahistoryzmu, czyli oceniania dawnych zdarzeń z perspektywy znanych dopiero dziś faktów. W tym przypadku – skutków pełnoskalowej, brutalnej napaści na Ukrainę w lutym 2022 r.

Pomimo wysokiego budżetu i międzynarodowego szlifu produkcji stosunki polsko-rosyjskie analizowane są przez autorów w izolacji od europejskiego i światowego kontekstu. A jest on kluczowy. Paradoksalnie bowiem głównym adresatem deklaracji Donalda Tuska o chęci dialogu z Moskwą nie był Kreml, lecz Bruksela. Mówił to otwarcie, wskazując w swoim *exposé* z 2007 r., że konflikt z Rosją psuje →

→ „interesy i reputację obu krajów na arenie międzynarodowej”. W wystąpieniu tym nie odszedł zarazem od krytyki poczynań Kremla, którą podzielały właściwie wszystkie znaczące siły polityczne w Polsce po 1989 r. Na sytuację w Rosji „mamy swoje poglądy”, dodawał Tusk, uznając te poglądy za oczywiste i niewymagające uszczegółowienia, gdyż takimi generalnie były. Tak odbierali to również zewnątrzni obserwatorzy. W wysłanej miesiąc później depeszy, ujawnionej przez portal WikiLeaks, amerykański dyplomata pisał, że postawa Tuska nie oznacza zmiany kierunku, lecz jedynie „praktyczne wysiłki na rzecz osłabienia konfliktu”. Zresztą jeszcze wcześniej, bo w 2006 r., sam prezydent Lech Kaczyński podkreślał – pod pewnymi warunkami – potrzebę „normalnego ułożenia stosunków z Rosją”, także dlatego, że ułatwią nam one relacje z innymi państwami.

Znaki zapytania pojawiały się w momencie, gdy polskie stanowisko trzeba było prezentować na zewnątrz. Kluczowym doświadczeniem polskich elit przed wejściem i w pierwszych latach członkostwa w UE były duże ambicje i równie duże rozczarowania. Polski głos na temat Rosji nie był słuchany. Co prawda apetyt na odegranie podmiotowej roli wobec wschodnich sąsiadów rozbudziła w 2004 r. pomarańczowa rewolucja na Ukrainie, ale później było już tylko gorzej. Próby przekonania kluczowych graczy wewnątrz Unii do izolowania Rosji i zapewniania Ukrainie perspektywy członkostwa spotykały się z nikłym odzewem.

Różne drogi, wspólny cel

Czy wobec rozbieżności interesów między Warszawą a głównymi krajami Europy należało forsować nieprzejednaną

postawę, czy też próbować wpisać się w szerszą politykę Unii? Ku temu pierwszemu skłaniał się obóz Lecha Kaczyńskiego, który postawił na budowanie koalicji państw Międzymorza. Jednak łagodzenie napięć z Rosją, którego podjął się Tusk jeszcze w 2007 r., także mogło mieć sens – miało zwiększyć znaczenie Polski w Unii i ułatwić realizację naszych interesów w innych obszarach.

W tym sporze odbijały się dwie strategię. Z jednej strony byli „szanowani Europejczycy” – stawiający na kompromis, wysuwający na pierwszy plan to, co łączy Polskę z Zachodem. Z drugiej dowartościowujący to, co nasze, „romantyczni patrioci”, odwołujący się do buntowniczej części duszy Polaka.

Tych dwóch wzorców i postaw nie należy jednak absolutyzować. Rząd Tuska nie był pierwszym, który grał na Wschodzie tak, jak pozwalała mu na to sytuacja na Zachodzie. Tak było w latach 90. XX wieku, kiedy polskie władze, zabiegając o rozszerzenie NATO, unikały dawania Rosjanom pretekstów do oskarżeń o awanturnictwo i rusofobię. Także Lech Kaczyński, którego twarda antyrosyjska postawa przeciwstawiana jest w serialu miękkiemu Tuskowi, przyznawał, że realizowana przez niego bardziej ekspansywna polityka wschodnia była nastawiona na wzmocnienie naszej pozycji w Unii, którą uznawał za słabą.

Strategia obu obozów przyniosła Polsce korzyści. Radosław Sikorski przeforsował minimalistyczne Partnerstwo Wschodnie (miało zbliżyć z UE kraje wyzwolone spod kurateli Moskwy po upadku ZSRR), Lech Kaczyński zaś swoją maksymalistyczną wizytą w Tbilisi w 2008 r. zwrócił uwagę na Polskę i pozyskał przychylność elit regionu.

Był to czas, gdy USA i Rosja miały wspólne interesy na Bliskim Wschodzie, toczyły się negocjacje rozbrojeniowe, a Polska była tylko jednym z elementów tej wielkiej gry. Jednak w serialu TVP USA, a w szczególności przedstawiciele Partii Republikańskiej, okazują się tymi, którzy jako jedyni oprócz PiS realistycznie oceniali zamiary Rosji. Polityka Republikanów, w przeciwieństwie do tej prowadzonej później w latach 2008-2016 przez Baracka Obamę, miała być w pełni zgodna z polskim interesem. Projektowana przez administrację George'a W. Busha tarcza antyrakietowa jawi się w tym kontekście jako Święty Graal. W jednym z odcinków pada nawet sugestia, że tarcza miała „zapewnić bezpieczeństwo wszystkim państwom naszego kontynentu”.

Autorzy serialu wypowiadają się o tarczy dość ogólnie, łącząc ją z projektem „gwiazdnych wojen” Ronalda Reagana z lat 80. i licząc na pozytywne skojarzenia z wspierającym Solidarność prezydentem. Na jej temat w roli eksperta wypowiada się lobbysta zbrojeniowy Riki Ellison, który opowiada o zaletach produktu sprzedawanego przez jego klientów. Twórcy serialu nawet nie próbują naświetlić kontekstu rozgrywki między skompromitowanymi wojną w Iraku Republikanami a szykującymi się do przejęcia Białego Domu Demokratami, nie wspominając o kwestiach technicznych.

Można dyskutować, czy w tej rozgrywce polskie władze podjęły wtedy optymalne decyzje. Jednak historyk czasów najnowszych oraz dziennikarz śledczy nie zaprzatają sobie głów mozolnym ustalaniem faktów i ważeniem racji – w ich opinii to będący pod wpływem Putina Tusk miał zablokować globalny projekt tarczy.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach pod sygn. I Ns 956/22 toczy się postępowanie z wniosku Tomasza Szydło o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Motykiewicz z domu Bialic, zmarłej w dniu 9.09.2022 r. w Gliwicach, ostatnio stale zamieszkałej w Gliwicach. W skład spadku wchodzi prawo własności lokalu położonego w Gliwicach przy ulicy Poniatowskiego 13/4.

Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 172/23 toczy się sprawa z wniosku Kazimierza Piaseckiego o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Bogumile Domachowskiej, z domu Perlińskiej, urodzonej 1 sierpnia 1965 r., córce Stanisława i Bogumiły z domu Śliwińskiej, zmarłej 8 grudnia 2018 r. w Toruniu, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu we Trzemesznie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Annie Bogumile Domachowskiej.



KONRAD FALECKI / GAZETA POLSKA / FORUM

Panel poświęcony serialowi dokumentalnemu „Reset” na zjeździe Klubów „Gazety Polskiej”.
Od lewej: Michał Rachoń, Mateusz Matyszkowicz, Sławomir Cenckiewicz
i Katarzyna Gójska. Spała, 1 lipca 2023 r.

Współczesna targowica

W „Resecie” przejawia się charakterystyczna dla publicznej debaty w Polsce tendencja do prezentowania konfliktów politycznych jako wyborów moralnych. Dlatego sama krytyka polityki poprzedników to za mało. Nad serialem unosi się zarzut zdrady narodowych interesów i moralnej kompromitacji. Autorzy sugerują to na różne sposoby, skupiając się na budowaniu czarnej legendy wokół spotkania Tusk–Putin na Kremlu w lutym 2008 r. Cenckiewicz i Rachoń poświęcają prawie pięć minut pierwszego odcinka teżom przygotowanym w MSZ na potrzeby spotkania Radosława Sikorskiego z Siergiejem Ławrowem. W dokumencie tym, we wstępie szkicującym historię polsko-rosyjskich stosunków, wspomniano m.in., że w 1815 r. car Aleksander I nadał Królestwu Polskiemu konstytucję „wzorowaną na liberalnej napoleońskiej Konstytucji Księstwa Warszawskiego”.

Ten *passus* o „liberalnej konstytucji”, niemalże dokładny cytat z emigracyjnego historyka Oskara Haleckiego, daje autorom i zaproszonym ekspertom pole do najróżniejszych interpretacji. Cenckiewicz powtarza, jakoby konstytucja Królestwa Polskiego nazywana była w owym dokumencie „demokratyczną” (choć takie sformułowanie w nim nie pada). Twierdzi, że prawdziwe narodowe dziedzictwo to „pierwsza konstytucja demokratyczna” z 3 maja, zwalczana przez Rosję. Z kolei historyk prof. Andrzej Nowak sugeruje, by w tym kontekście „z badać stopień infiltracji agentury rosyjskiej

wśród urzędników ministerstwa spraw zagranicznych” rządu Tuska.

W rzeczywistości ani jedna, ani druga konstytucja z demokracją w dzisiejszym rozumieniu nie miała wiele wspólnego. Jeżeli brać pod uwagę prawa wyborcze, to niestety – konstytucja 1815 r. była formalnie bardziej demokratyczna niż ta z 3 maja, która ograniczała prawa szlachty na rzecz silnej władzy króla.

Badacz dziejów Polski, Amerykanin John Connolly, pisze: „W większości kultur politycznych obrzucanie się kalumniami jest powszechne, gdyż zapewnić ma przyspieszone dojście do władzy. Ale tylko w nielicznych stawka jest tak wysoka, jak w przypadku oskarżenia o zdradę w Polsce. Oskarżeni muszą odeprzeć zarzuty o kontynuowanie długiej tradycji wrogów wewnętrznych, którzy zagrażają samej egzystencji państwa”. Jedno skojarzenie jest tu oczywiste: targowica.

Zamazany konsensus

Co ciekawe, szermujący tym oskarżeniem muszą mierzyć się z odwetem; liberałowie i lewica nie pozostają takim atakom dłużni. W odpowiedzi na obelgi wycelowane w rząd i ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego (nazywanego często „Komoruskim”) oponenti od lat próbują tworzyć własną „Russia-gate” i za jej pomocą kompromitować liderów prawicy. Zgodnie z tymi teoriami środowisko PiS, a zwłaszcza Antoni Macierewicz (były szef kontrwywiadu i minister obrony), poprzez uwikłania agen-

turalne, związki finansowe, osłabianie struktur wojskowych, sympatię do putinowskiego modelu państwa oraz nieustanne generowanie konfliktów wewnętrznych – sterowani są *de facto* przez wschodniego sąsiada. Radosław Sikorski, jeden z oskarżonych w serialu, sugerował w 2022 r., że sprzymierzony z PiS Viktor Orbán również otrzymał od Putina ofertę rozbioru Ukrainy. „Pozostaje do ustalenia, czy rozmawiał o tym z Kaczyńskim podczas biesiad proputinowskiej międzynarodówki” – puszczał oko do swoich zwolenników na Twitterze były szef MSZ. Ogólnie zarzuty o zdradę nie mają tak centralnego charakteru w liberalnym dyskursie jak na prawicy, jednak podobieństwa są uderzające.

Gdy przyjrzymy się treści tych wzajemnych oskarżeń, zauważymy, że Rosja odgrywa w nich tę samą rolę. Przez obie strony jest traktowana jako egzystencjalne zagrożenie, więc flirtowanie z nią staje się czymś kompromitującym nie tylko politycznie, ale i moralnie. Najlepiej widać to w zestawieniu ze sporami dotyczącymi relacji Polski z UE. Politycy związani z Platformą na zarzut „chodzenia na pasku Berlina i Brukseli” nie odpowiadają przecież tym samym, lecz wskazują na jego absurdalność. Lepsze kontakty z europejskim mainstreamem to wręcz ich atut. W kwestii polityki wobec Unii nie ma zgody, jeśli natomiast chodzi o generalny kierunek polityki wobec Rosji, osłabianie jej ambicji i wspieranie zagrożonych państw w regionie – panuje w Polsce cichy konsensus.

Serial ten konsensus zamazuje. Bieżąca krajowa polityka wymaga przecież odróżniania się, aż do określania politycznych przeciwników mianem zdrajców narodowych. Reset jako element polsko-polskiej wojny umożliwia rzucanie takich oskarżeń, ale poza tym niewiele tłumaczy.

Na pytanie portalu „Press” o liczbę planowanych odcinków „Resetu” Telewizja Polska odpowiedzi nie udzieliła. Możliwe, że potrwa on do wyborów.

© JAKUB SZUMSKI, ANDRZEJ TURKOWSKI

JAKUB SZUMSKI jest historykiem, pracuje w Imre Kertész Kolleg na Uniwersytecie w Jenie.

ANDRZEJ TURKOWSKI jest socjologiem i politologiem, pracuje w Instytucie Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

UŻYTECZNA FIKCJA

Kim są kardynałowie?
Jakie mają obowiązki i przywileje oprócz prawa wyboru papieża?
I jakie nadzieje pokłada w nich Franciszek?

EDWARD AUGUSTYN



INSTRUKCJA PROTOKOŁU EPISTOLARNEGO”, wydana przez szwajcarskie ministerstwo spraw zagranicznych, to kilka naciąganych stron informacji, jak zwracać się w korespondencji oficjalnej i zwyczajnej do głów koronowanych, prezydentów, szefów rządów, ministrów, przedstawicieli Kościołów i związków wyznaniowych. Dostałem ją w pierwszych dniach mojego pobytu w Watykanie od starszego kolegi z Sala Stampa, którego zaprzytałem, jakich grzecznościowych tytułów używa w korespondencji z urzędnikami kurii. Nazwiska kardynałów były tam zawsze poprzedzone tytułem: „Jego Eminencja Najczcigodniejsza”, a zalecany apelatyw brzmiał: „Panie Kardynale”, ewentualnie „Wasza Eminencjo”.

Są w Watykanie hierarchowie, którzy wciąż takiego oficjalnego tytułowania oczekują i je lubią. Są i tacy, których naciągane formy śmieszą lub irytują. Tuż po swej nominacji kard. Konrad Krajewski zapowiedział, że za każde nazwanie go „eminencją” będzie pobierał 10 euro, które przekaże biednym. Papież Franciszek kilkakrotnie przestrzegał nowo mianowanych kardynałów, by nie przywiązali się do tytułów, nie ulegali pokusie „bycia eminencją” i „księciem Kościoła”. Choć w oficjalnych sytuacjach sam używa zwrotu „Panowie Kardynałowie”, to częściej zwraca się do nich słowem „Bracia”. Co dowodzi, że i w tej kościelnej materii stare mierzy się z nowym.

Kim są kardynałowie Świętego Kościoła Rzymskiego?

Następca tronu

– Kardynałat to fikcja – mówi prof. Massimo Faggioli, wykładowca historii Kościoła na katolickim uniwersytecie w Filadelfii. – Zresztą nie tylko dziś. Stał się nią bardzo szybko.

To stara prawda. Słowo „kardynał” ma złożoną etymologię, ale niewątpliwie używano go już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa na określenie kleru diecezji rzymskiej, który posługiwał w głównych (kardynałnych) kościołach i diakoniach miasta. Nazywano tak również biskupów podrzymskich diecezji, którzy przyjeżdżali do Rzymu, by pomagać w obsłudze licznych pielgrzymów w największych bazylikach – na ten czas byli wcielani (inkardynowani) do stołecznej diecezji.

W XI w. przyjął się zwyczaj, że to właśnie kler rzymski – kardynałowie – wybiera papieża (wcześniej wyboru dokonywał lud, zwykle za poduszczeniem cesarza). Sto lat później zwyczaj stał się prawem, usankcjonowanym decyzją Soboru Laterańskiego III (1179 r.), a objęcie rzymskiego probostwa (których było 28), diakonii (18) czy podmiejskiej diecezji (7) oznaczało osiągnięcie realnych korzyści, bynajmniej nie duchowych, i wpływów – papież był przecież władcą potężnego państwa, w dodatku miał prawo koronowania europejskich monarchów. O włączenie w poczet rzymskiego kleru zaczęli więc zabiegać przedstawiciele królewskich dworów i największych rodów,

skłonni o ten przywilej zaciekle walczyć lub sporo za niego zapłacić. W taki sposób kardynałskie kolegium stało się najważniejszym ciałem politycznym Europy, podzielonym na stronnictwa i frakcje, które nie zawsze miały ochotę na kompromis, co czasem kończyło się wyborem dwóch, a nawet trzech „własnych papieży”.

Fikcyjną przynależność kardynałów do kleru rzymskiego utrzymano do dziś, uznając ją za cenną tradycję. Każdy z hierarchów, bez względu na to, skąd pochodzi i gdzie mieszka, w pakiecie z najwyższym kościelnym tytułem dostaje więc rzymski kościół, diakonię lub podmiejską, od wieków nieistniejącą diecezję. Symbolicznie, bo żadnej władzy nad nimi nie sprawuje.

Był czas, gdy większość w kardynałskim kolegium stanowili Francuzi, potem Niemcy, Hiszpanie, Włosi. W drugiej połowie XIX w. pojawili się pierwsi kardynałowie spoza Europy – Gwatemalczyk (1868 r.) i Amerykanin (1875 r.), a po II wojnie światowej przyszedł czas na kardynałów z odległych kręgów kulturowych: Chin (1946 r.), Indii (1952 r.) i Afryki (1959 r.). Dziś Kościół ma 243 kardynałów (wliczając 21 nominatów, którzy czerwony biret otrzymają 30 września), pochodzących z 87 krajów.

– Kardynałat nie jest już rzymski, ale międzynarodowy – tłumaczy Faggioli. – Co w zglobalizowanym świecie ma sens, bo nie było dobrze, gdy kolegium tworzyli w większości Włosi. To wypaczało obraz Kościoła. Ale dziś pojawia się inne ryzyko: kardynałowie pochodzący z całego świata w ogóle się nie znają i rzadko widują. W ciągu 10 lat pontyfikatu Franciszka spotkali się na nadzwyczajnych konsystorzach, gdzie dyskutuje się o najważniejszych problemach Kościoła, jedynie dwa razy, a i tak nie wszyscy byli obecni. Nie tworzą kolegium, ale grupę nieznaną się osób. Gdy któregoś dnia spotkają się, by wybrać papieża, będzie problem. Myślę, że nie przypadkiem konsystorz kreujący nowych kardynałów odbędzie się w przeddzień synodu. Jego miesięczne obrady to rzadka okazja dla starych i nowych kardynałów, by się spotkać, poznać i wspólnie pracować. Takie pierwsze prekonklawe.

W świetle prawa

O tym, że wybór papieża to najważniejsza prerogatywa kardynała, mówi również Kodeks Prawa Kanonicznego, stawiając →



Konsystorz publiczny, Bazylika św. Piotra w Watykanie, 27 sierpnia 2022 r.

→ ją na pierwszym miejscu pośród innych praw i obowiązków, opisanych zresztą dość mgliście.

Z przepisów wynika jedynie, że kardynał ma „być do dyspozycji” papieża – mieszkać w Rzymie i uczestniczyć w konsystorzach – co jednak nie dotyczy hierarchów, którzy pozostają biskupami swoich diecezji i mają obowiązek przyjeżdżać tylko na konsystorze nadzwyczajne albo osobiste wezwanie papieża. W składanej podczas nominacji przysiędze każdy kardynał zobowiązuje się do posłuszeństwa Kościołowi i papieżowi (aktualnemu i jego następcom), lojalności wobec instytucji i jej tajemnic, dbania o jedność Kościoła i jego dobre imię, starannego wypełniania powierzonych zadań. Czerwony kolor szat jest symbolem krwi, którą ma być gotowy przelać „dla Świętego Kościoła Rzymskiego”.

Kodeks stanowi, że z ukończeniem 80. roku życia kardynałowie tracą czynne prawo wyborcze, a gdy osiągną lat 75, mają złożyć dymisję z zajmowanego urzędu (papież nie musi jej przyjąć).

Są podporządkowani tylko Biskupowi Rzymu – jedynie on może wydawać im polecenia i ich sądzić. Gdy przebywają poza Wiecznym Miastem, nie podlegają władzy biskupa diecezji, na terenie której się znajdują (dotyczy to także emerytów, dlatego kard. Stanisław Dziwisz nie podlega jurysdykcji arcybiskupa krakowskiego).

Za „bycie do dyspozycji” papieża otrzymują comiesięczne wynagrodzenie (do marca 2021 r. było to 5 tys. euro, później – w związku ze złą sytuacją finansową Watykanu – pobory obniżono o 10 proc.). Po odejściu z zajmowanego urzędu uzyskują prawo do emerytury.

Tak kardynałom kurialnym, jak i rezydentnym (czyli przebywającym w swoich diecezjach) przysługuje obywatelstwo watykańskie, co oznacza, że podlegają tamtejszemu prawu. Przepis ten przez lata pozostawał martwy – nikomu do głowy nie przyszło, że kardynałowi można postawić zarzuty karne i że będzie za nie odpowiadał przed watykańskim sądem (przed wymiarem sprawiedliwości innych krajów miał go chronić skutecznie watykański paszport).

Wydarzenia ostatnich lat – oskarżenie amerykańskiego kard. Theodore’a McCarricka o seksualne wykorzystywanie podwładnych, zakończone pozbawieniem go tytułu kardynalskiego i wydaleniem

ze stanu duchownego, postawienie kard. George’a Pella przed australijskim sądem, zakończone wyrokiem skazującym i uwięzieniem (a po roku uniewinnieniem), trwający wciąż proces kard. Angela Becciu, oskarżonego o korupcję i nepotyzm – pokazują, że skończyły się czasy specjalnego traktowania kardynałów. Nie są już „książętami Kościoła”, którym przysługuje szczególny immunitet.

Papież się nie krępuje

Prawo kanoniczne mówi też, że „Biskup Rzymu ustanawia kardynałów w sposób nieskrępowany”.

Nie trzeba sięgać daleko w historię, by zauważyć, że „nieskrępowana” wola papieża kruszała nie tylko pod presją władców i możnowładców, domagających się zwiększenia wpływów w kardynalskim kolegium według klucza rodowego czy politycznego, ale dostosowywała się także do wielu tradycji, zwyczajów i zmieniających się przepisów.

W ciągu wieków wytworzyły się więc mechanizmy pozwalające przewidzieć, kto prędzej czy później otrzyma kapelusze kardynalski. XIX-wieczny „Słownik erudycji historyczno-kościelnej” Gaetana Moroniego wymienia kilkadziesiąt urzędów, z którymi związana jest godność kardynalska – od archiprezbiterów bazylik rzymskich, poprzez wikariusza Rzymu, legatów papieskich w ważniejszych miastach, po szefów instytucji Stolicy Apostolskiej i prefektów kongregacji.

O tzw. stolicach kardynalskich nie ma w nim mowy, choć objęcie jednej z największych metropolii we Włoszech, Francji, Hiszpanii, Niemczech czy Polsce dawało niemal pewność uzyskania nominacji na pierwszym możliwym konsystorzu. Jednak odstąpienie od tego zwyczaju było w historii tak wiele, że trudno mówić o jakiegokolwiek, choćby i niepisanej, regule.

Bez wątplenia obecny papież z zasady „nieskrępowania” korzysta wyjątkowo chętnie. Od początku używa konsystorzy do przemodelowania kardynalskiego kolegium według własnych kryteriów, spośród których najbardziej widoczne jest „wyjście na peryferie”: kardynałów elektorów, którzy będą wpływać na losy Kościoła, mają kraje małe, ubogie lub o słabą liczbę katolików, jak Sudan Południowy, Tonga, Papua-Nowa Gwinea, Burkina Faso, Wyspy Zielonego Przylądka, Timor Wschodni czy Laos, a nie

mają niektóre „odwieczne katolickie”, jak Irlandia, Litwa, Słowacja, Boliwia czy Ekwador.

– Kryterium geograficzne, o którym wszyscy mówią, ma znaczenie, ale tylko do pewnego stopnia – zauważa Faggioli. – Ogranicza się tylko do tych krajów, które z jakichś powodów zainteresowały Franciszka. Można przecież powiedzieć, że Australia też leży na peryferiach, a jednak nie ma ani jednego kardynała.

Za pontyfikatu Franciszka dwukrotnie spadła liczba elektorów w Niemczech (z 6 do 3), nie ma swojego kardynała Ukraina, choć tradycyjnie zostawali nimi rzymskokatolicki metropolita Lwowa i greckokatolicki Kijów. Za to po wrześniowym konsystorzu dwóch elektorów będzie miało jedno miasto – Lizbona.

– Ważniejsze od geograficznego jest kryterium osobiste – mówi Faggioli. – Jeśli mielibyśmy szukać czegoś, co spaja ostatnie kardynalskie nominacje, to jest nim sympatia papieża. Z nominatami łączy go osobista więź. Zawsze tak było, ale w czasach Jana Pawła II czy Benedykta XVI te „osobiste powody” były mocno krytykowane. Teraz się o tym nie mówi, bo Franciszek jest kochany przez media, które są skłonne mu wiele wybaczyć.

Upodobanie do prowokacji

Innych reguł nie widać, być może ich nie ma. Nie ulega wątpliwości, że Franciszek szuka ludzi, którzy będą podzielać jego wizję Kościoła. W pierwszych latach pontyfikatu popełnił kilka błędów, kierując się kurialną tradycją, która nakazywała nadać tytuł kardynała szefom ważnych kongregacji, mianowanym na stanowisko jeszcze przez poprzednika. Potem kierował się już wyłącznie własnym zdaniem.

Nie byłoby w tym niczego dziwnego – w końcu mówimy o doborze najbliższych współpracowników (choćby tylko w teorii). Można jedynie pytać, czy różnicowanie kolegium, które papież tak często chwali, ma się odnosić jedynie do geografii czy może również do poglądów. I gdzie jest tej różnorodności granica.

Nieskrępowana wola papieża pozwala mu promować ludzi po jednym spotkaniu, rozmowie, przeczytanej książce czy rekomendacji osoby, z której zdaniem się liczy. Wystarczy intuicyjne przekonanie o spotkaniu bratniej duszy.

Dochodzi do nietypowych sytuacji, gdy kardynałem zostaje biskup pomocniczy,

a nie jego ordynariusz (jak było do niedawna w Salwadorze), albo biskup wielkiej diecezji (Como), a nie obejmującą ją metropolię (Mediolan).

Pięć lat temu zaskoczeniem była nominacja papieskiego jałmużnika, Konrada Krajewskiego, podczas gdy wieloma innymi dykasteriami w kurii wciąż wciąż biskupi. Rok temu taką niespodzianką był kardynalski kapelus dla administratora apostolskiego Mongolii, kard. Gorgia Marenga (najmłodszego w kolegium), którego – jeśli wierzyć watykańskim plotkom – papież widział pierwszy raz dzień przed ogłoszeniem nominacji.

– Franciszek korzysta z przysługującej mu swobody bardziej niż poprzednicy, bo ma upodobanie do prowokacji – uważa Faggioli. – Taki jest cały jego pontyfikat. Najchętniej kieruje się swoim zdaniem. Nie przejmie się zbyt tym, co napisze prasa ani co powiedzą konferencje episkopatów. Szczególnie widać to w decyzjach personalnych. To są zawsze jego własne nominacje. Nawet jeśli niektóre nazwiska podpowiadają mu inni, choćby kardynałowie Krajewski czy Czerny.

Kardynalskie nominacje są zaskoczeniem nie tylko dla kandydatów, ale też służb i urzędów Watykanu. O ostatnich, ogłoszonych 9 lipca, wiedziało tylko kilka osób z najbliższego otoczenia papieża. Biuro Prasowe Watykanu pierwszą in-

formację o konsystorzu przesłało dziennikarzom godzinę po jego publicznym ogłoszeniu przez Franciszka.

– Jeśli komuś się wydaje, że te decyzje poprzedzone są jakimiś poważnymi konsultacjami albo tym bardziej skrupulatnym badaniem kandydatów, niech wreszcie zjeżdż na ziemię – mówi mi anonimowo jeden z pracowników dykasterii. – Kandydaci na kardynałów nie muszą być opiniowani ani sprawdzani przez watykańskie instytucje, jak to jest w przypadku nominacji biskupich. Papież uważa, że ten etap już przeszli, więc nikogo nie musi pytać o zdanie. Chciałbym wierzyć, że o swych decyzjach informuje przynajmniej Sekretariat Stanu.

Spośród 243 żyjących kardynałów 142 zostało wybranych przez Franciszka (w tym 113 z 137 elektorów). O tym, czego od nich oczekuje, papież mówił podczas każdego z ośmiu dotychczasowych konsystorzy. Padały tam słowa o komunii, równości w różnorodności, pokorze i służeniu ubogim, cierpliwości, wierności i oddaniu. Franciszek widzi ich nie tylko jako swoich współpracowników albo agentów do zadań specjalnych, np. pokojowych czy charytatywnych misji na terenach objętych wojną lub katastrofą (to także ważna zmiana). Mają być przede wszystkim znakiem jedności – z nim i rzymskim Kościołem – w najodleglejszych miejscach świata.

Różnie z tym bywało. Ostatnia dekada pokazała, że fikcją są nie tylko starodawne atrybuty kardynałów, ale także ich wspólnota, wierność i lojalność, słubowana Biskupowi Rzymu. Obecny pontyfikat przyniósł niewidziany od wieków bunt kardynałów wobec urzędującego papieża – czterech z nich oficjalnie podało w wątpliwość nauczanie Franciszka, inni pozwalali sobie na publiczną krytykę jego decyzji.

Z roku na rok, z konsystorza na konsystorz, Franciszek zmienia więc kardynalskie kolegium i nie chodzi tu jedynie o jego strukturę narodowościową. Zmienia jego wizerunek, znaczenie oraz sposób myślenia o nim – przez świat, papieża i samych kardynałów.

To jeszcze jedna instytucja Kościoła, w której stare trzeszczy pod naporem nowego. Obrosła przez wieki fikcją i manierą, starannie ukrywanymi pod maską zwyczajów i tradycji. Franciszek próbuje nadać jej ludzką twarz, uchronić przed zamknięciem w muzealnej gablocie albo ośmieszeniem. Chce zmienić symbol czasów dawnych – dla wielu słusznie minionych – w znak nowego, które powoli, ale nieuchronnie nadchodzi.

Pozostaje tylko pytanie, czy nie jest to przyszywanie nowych łatek do starego ubrania i wlewanie nowego wina do starych bukłaków. © © EDWARD AUGUSTYN

Lista kardynałów nominatów na konsystorz 30 września 2023 r.

Z PRAWEM GŁOSU:

■ Robert Francis Prevost z USA – augustianin, prefekt Dykasterii ds. Biskupów, 68 lat.

■ Claudio Gugerotti z Włoch – prefekt Dykasterii ds. Kościołów Wschodnich, 68 lat.

■ Víctor Manuel Fernández z Argentyny – prefekt Dykasterii Nauki Wiary, 61 lat.

■ Emil Paul Tscherig z Szwajcarii – nuncjusz apostolski we Włoszech, 76 lat.

■ Christophe Louis Yves Georges Pierre z Francji – nuncjusz apostolski w USA, 77 lat.

■ Pierbattista Pizzaballa z Włoch – franciszkanin, łaciński patriarcha Jerozolimy, 58 lat.

■ Stephen Brislin z RPA – arcybiskup Kapsztadu, 67 lat.

■ Ángel Sixto Rossi z Argentyny – jezuita, arcybiskup Kordoby, 65 lat.

■ Luis José Rueda Aparicio z Kolumbii – arcybiskup Bogoty, 61 lat.

■ Grzegorz Ryś z Polski – arcybiskup Łódzki, 59 lat.

■ Stephen Ameyu Martin Mulla z Sudanu Południowego – arcybiskup Dżuby, 59 lat.

■ José Cobo Cano z Hiszpanii – arcybiskup Madrytu, 58 lat.

■ Protase Rugambwa z Tanzanii – arcybiskup koadiutor Taboru, 63 lata.

■ Sebastian Francis z Malezji – biskup Penang, 72 lata.

■ Stephen Chow Sau-Yan z Chin – jezuita, biskup Hongkongu, 64 lata.

■ François-Xavier Bustillo z Hiszpanii – franciszkanin konwentualny, biskup Ajaccio na Korsyce, autor książki „Świadkowie, nie urzędnicy”, często chwalony przez papieża. Ma 55 lat.

■ Américo Manuel Alves Aguiar z Portugalii – biskup pomocniczy Lizbony, 50 lat.

■ Ángel Fernández Artime z Hiszpanii – przełożony generalny salezjanów, 63 lata.

BEZ PRAWA GŁOSU:

■ Agostino Marchetto z Włoch – b. nuncjusz, historyk Soboru Watykańskiego II, 83 lata.

■ Diego Rafael Padrón Sánchez z Wenezueli – emerytowany arcybiskup Cumaná, 84 lata.

■ Luis Pascual Dri z Argentyny – kapucyn, spowiednik z Buenos Aires, 96 lat.

Ulsteru w Wiśle nie będzie

TEKST I ZDJĘCIE: **ANDRZEJ OTCZYK**

Ludzie należący do kilkunastu Kościołów żyją bez wrogości w jednym miejscu, a często w tych samych rodzinach. To jedyne takie miejsce w Polsce.

GRAŻYNA I JANUSZ NOGOWCZYKOWIE są małżeństwem od 45 lat. Poznali się w czasie studiów na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. On ewangelik z Wiśły, ona katoliczka z jednego z miast na Podkarpaciu. Miłość okazała się silniejsza niż różnice religijne. – Zanim zaczęłam spotykać się z moim przyszłym mężem, na temat jego wiary nie wiedziałam praktycznie nic – przyznaje pani Grażyna. Rozmawiamy na tarasie ich domu w Wiśle, z pięknym widokiem na skocznię im. Adama Małysza. – Małżeństwa mieszane w tamtym czasie nie były dobrze widziane, zwłaszcza w Kościele katolickim. Dlatego postanowiliśmy wziąć ślub cywilny. Dalszej rodziny nawet nie poinformowałam o tym, że mój narzeczony jest luteraninem – wspomina.

W jej rodzinnym mieście mieszkali co prawda różnowiercy, ale byli tak nieliczni, że nikt się nimi nie interesował. To, że są w Polsce miejscowości takie jak Wisła, w których większość stanowią protestanci, było dla pani Grażyny zaskoczeniem. – Mąż jednak nigdy nie próbował namawiać mnie do zmiany wyznania – zaznacza. – Zgodziliśmy się co do tego, że wyznanie wiary to indywidualna sprawa każdego z nas, że nie może być czymś wymuszonym przez okoliczności czy przez otoczenie. Tak więc nigdy nie mieliśmy z tym problemu – podkreśla pan Janusz.



Grażyna i Janusz Nogowczykowie, Wisła, lipiec 2023 r.

Nie mieli problemu z tym, by obaj ich synowie byli ochrzczeni w Kościele katolickim, a później przystąpili do konfirmacji w Kościele ewangelickim i ukończyli ewangelickie liceum w Cieszyń. Chłopcy uczyli się modlitw ewangelickich i katolickich, ku oburzeniu jednej z ciotek pana Janusza, rodzinnej „strażniczki wiary”, która, gdy usłyszała, jak dziecko modli się do Maryi, omal nie zeszła na zawal. Taki typ babki Czyżowej ze wspomnień Jerzego Pilcha.

Wisła to jednak nie tylko ewangelicy i katolicy. – Różnicowanie religijne to istotnie nasz „znak szczególny” – uśmiecha się burmistrz Tomasz Bujok, wywodzący się z ewangelickiej od pokoleń rodziny. – W mieście istnieje kilkanaście wspólnot wyznaniowych. 55-60 proc. mieszkańców stanowią ewangelicy, niespełna 30 proc. katolicy, pozostali to członkowie innych wyznań i osoby bezwyznaniowe.

Te „inne wyznania” skupiają głównie wyznawców chrześcijaństwa ewangelikalnego: zielonoświątkowców, adwentytów, Chrześcijan Dnia Sobotniego, baptystów, metodystów, wolnych chrześcijan. I świadków Jehowy, których w jedenastotysięcznej Wiśle jest ponad pięćset, a którzy – chociaż ich związek wyznaniowy korzenie ma protestanckie – ideowo lokują się jednak dość daleko, przede wszystkim dlatego, że negują dogmat o Trójcy Świętej.

Jak wiara luterska pod Cieszyńem

Skąd pod Baranią Górą tak wielu luteran? Sprawcą głównym religijnego zamieszania był panujący w XVI w. książę Wacław Adam, który, gdy tylko objął rządy w Księstwie Cieszyńskim, wprowadził w 1545 r. ewangelicyzm jako religię panującą. Gorliwie wyznawał nową wiarę, napisał nawet „Porządek kościelny dla księży”, oczywiście luterskich. Ale był władcą tolerancyjnym. W czasach, gdy obowiązywała zasada *cuius regio, eius religio* (czyja władza, tego wyznanie), pozostawił katolicyzm jako drugą religię, obok panującej. Jego następcy już tacy tolerancyjni nie byli: w pierwszej połowie XVII w. Księstwo Cieszyńskie dostało się pod panowanie austriackie, co równało się rozpoczęciu kontrreformacji. W roku 1654 ewangelikom zabrano wszystkie kościoły, wprowadzono zakaz odprawiania nabożeństw, skonfiskowano Biblię i inne książki religijne. Jak pierwotni chrześcijanie zbierali się odtąd na nabożeństwach po kryjomu, w lasach. Do dziś zachowały się w Beskidach pamiątkowe miejsca po owych „leśnych kościołach”, w okolicach Bielska, na Równicy w Ustroniu, w Lesznej. A także na Bukowej w Wiśle.

Władze austriackie z biegiem czasu luzowały obostrzenia, w roku 1781 cesarz Józef II wydał „patent tolerancyjny”, a Franciszek Józef 80 lat później – „patent protestancki”. Dla ewangelików skończył się czas heroicznej walki o wiarę.

Ale nie odszedł w zapomnienie etos niezłomności wobec religijnych prześladowań. Nie tylko w tych stronach znane jest powiedzenie: dzierży jak lutersko wiara kole Cieszyna (trzyma się jak luterska wiara pod Cieszynem). – Może rzeczywiście rację miał biskup Wantuła, który mawiał, że miejscowi górale zawsze byli bardzo uparci? – zastanawia się ks. Leszek Czyż, proboszcz ewangelickiej parafii w Wiśle-Malince, jednej z pięciu w mieście.

– Czy jednak byliśmy wychowywani w kulcie religijnej martyrologii Kościoła w dawnych wiekach? Oczywiście nie. W każdym razie nie było dla młodzieży ewangelickiej specjalnych wycieczek na Bukową, chociaż do dziś odbywają się tam pamiątkowe nabożeństwa – mówi Janusz Nogowczyk.

Kto nasz, a kto nie nasz

Aż do końca XIX w., kiedy to jej walory letniskowe odkryli etnograf Bogumił Hoff i warszawski psycholog Julian Ochorowicz, a rozpropagowali wypoczywający tu Bolesław Prus, Maria Konopnicka i inni, Wisła była nieznaną górską wsią na końcu świata. Przełom stuleci przewietrzył zamknięte dotąd szczelnie beskidzkie doliny, co dla miejscowych ewangelików oznaczało nowe kłopoty. Wraz z letnikami i powracającymi z emigracji za chlebem góralami pod Baranią Górą pojawili się bowiem religijni „nowinkarze”: adwentyści, metodyści, baptyści, Badacze Pisma Świętego. Ewangelickie duchowieństwo nie bez powodu widziało w tym wzmożeniu religijnym zagrożenie dla tradycyjnego Kościoła protestanckiego.

Dr Renata Czyż, współautorka (z krakowskim religioznawcą prof. Zbigniewem Paskiem) jednego z pięciu tomów monumentalnej monografii miasta, zatytułowanego „Kościoły i wspólnoty religijne Wisły”, przytacza pochodzący z roku 1952 zapis w kronice zborowej, pióra ówczesnego proboszcza, a późniejszego biskupa Kościoła ewangelicko-augsburskiego, Andrzeja Wantuły (wuję pochodzącego z Wisły Jerzego Pilcha). Proboszcz uskarżał się na zielonoświątkową wspólnotę stanowczych chrześcijan, którzy rozsadzali od wewnątrz ewangelicki zbor: „Przez wyraźne odszczepienie się od naszego zboru gromadki niezadowolonych oczyści się i przejaśni położenie. Naresz-

cie będziemy wiedzieć, kto nasz, a kto nie nasz, kto z nami, a kto przeciwko nam”.

Niepokój duchownych związany z działalnością „obcych” wyznań udzielał się wiernym Kościoła ewangelickiego. Jerzy Pilch w „Autobiografii w sensie ścisłym, a nawet umownym” tak o tym pisał: „Chmiele byli ewangeliki, ale z pręchylem baptystycznym. Chylili się ku baptyzmowi, chylili; niczym stare drzewo w bok rośli, środek ciężkości (sedno wiary?) poza obręb podstawy wyprowadzali, aż w sekciarską czeluść runęli”. Ale w przypisie dodał: „Powiadam »sekciarską«, bo mówię ówczesnym językiem. Nie tylko nie mieliśmy zielonego pojęcia o światowej sile i liczebności Kościoła Chrześcijan Baptystów – wszystko, co nie nasze i niekatolickie, mieliśmy za sektę. Sekta sekcie nierówna: najgorsi byli – trzymając się nauk babki Czyżowej – badacze i sabaciorze (Badacze Pisma Świętego i Chrześcijanie Dnia Sobotniego). Najgorsi, bo ludzi bałamucili i od Kościoła odciągali. Snadź mniej skuteczni zielonoświątkowcy (świątkorze) i baptyści byli do przyjęcia”.

Skomplikowana parafia

Napływ osadników z głębi Polski sprzyjał też zwiększaniu się populacji ludności katolickiej we wsi (prawa miejskie Wisła zyskała dopiero w 1962 r.). Aż do roku 1957 nie było tu jednak samodzielnej parafii katolickiej, istniał tylko filiał parafii w sąsiednim Ustroniu. Renata Czyż pisze o przybyłych w góry wiernych pochodzących z dawnych zaborów: „Wiślański katolicyzm wydawał im się słaby, a Kościół upośledzony w swych prawach w ewangelickiej osadzie”. Miejscowi z kolei nie godzili się z „dominacją katolickiej symboliki w państwowym rytuale międzywojennej Polski”, jak to ujmuje prof. Pasek.

Ekumeniczna współpraca obu Kościołów – ewangelickiego i katolickiego – w okresie międzywojennym i pierwszych powojennych dekadach praktycznie w Wiśle nie istniała. W dekrete biskupim z 1952 r., podsumowującym trzy dotychczasowe wizyty, stwierdzono, że „Wisła należy bezsprzecznie do parafii najbardziej skomplikowanych w Diecezji” – pisze Renata Czyż. Jeszcze w 1963 r. biskup katowicki Herbert Bednorz ostrzegł przed małżeństwami mieszanymi, katolicko-protestanckimi, podobnie jak przed „działającymi w Wiśle sektami”.

Skłócania sobie nie życzymy

Druga fala religijnego ożywienia nadeszła w mieście w latach 80. Powstał wówczas zbor Syloe w Wiśle-Czarnem, który – podobnie jak istniejący wcześniej zbor Dobra Nowina w Nowej Osadzie – jest ideowym kontynuatorem zielonoświątkowego zgromadzenia stanowczych chrześcijan w Malince. – Mówi się, że duchowe odrodzenie możliwe jest w tym środowisku i tym Kościele, w którym człowiek wyrósł. Na swoim przykładzie widzę jednak, że bez gruntownej zmiany, oznaczającej nieraz zerwanie dotychczasowych więzi z rodziną, Kościołem i przyjaciółmi, takie odrodzenie do nowego życia jest bardzo trudne – opowiada Tadeusz Chraścina, pastor zboru Dobra Nowina. Podobny pogląd ma Władysław Pilch, pastor zboru Syloe. – Byłem alkoholikiem – mówi. – Sam już widziałem, że jest bardzo źle. Poszedłem na nabożeństwo i Pan Bóg mnie dotknął. Takich jak ja było w Czarnem wielu. Zaczęliśmy się więc spotykać i spotykamy się do dziś.

Przez długie lata księży piętnowali z ambon odstępców od ewangelickiej wiary, ale Janusz Nogowczyk wie o tym już tylko z opowiadań starszych osób.

Ks. Czyż opowiada o innych wydarzeniach z lat 80. – Po tym, jak w wyborach do rady miasta większość zdobyli ewangelicy, w prasie pojawiły się tytuły w rodzaju „Wiślański Ulster?”. Wybrzmiało to tak, jakby wkrótce miało dojść tutaj do walk między protestantami a katolikami. Był nawet w katolickiej parafii taki ksiądz, który prowadząc katechazę w liceum próbował antagonizować młodzież na tle wyznaniowym. Jednak rodzice powiedzieli mu wówczas: „Nasze dzieci mają dobre kontakty z młodzieżą z innych Kościołów i nie życzymy sobie skłócania ich z powodów religijnych”.

Co łączy, co dzieli

W 2000 r. ukazała się deklaracja „Dominus Iesus”, opracowana pod kierunkiem kard. Josepha Ratzingera. Głosiła ona m.in., że „istnieje jeden Kościół Chrystusowy, który trwa w Kościele katolickim rządzonego przez następcę Piotra i przez biskupów”. W Wiśle jednak duchowni obu Kościołów wolą mówić o innych dokumentach. Ks. Waldemar Szajthauer, proboszcz parafii

→ ewangelickiej w Wiśle-Centrum, przywołuje „Wspólną deklarację w sprawie nauki o usprawiedliwieniu” z roku 1999 i „Wzajemne uznanie chrztu przez Kościoły katolicki w Polsce i Kościoły zrzeszone w Polskiej Radzie Ekumenicznej” z 2000 r. – Są one pewnym ułatwieniem w lokalnym ekumenizmie – podkreśla.

– Najwięcej kontaktów, spotkań mamy ze wspólnotą ewangelicko-augsburską – potwierdza ks. Wiesław Firlej, proboszcz katolickiej parafii Wniebowzięcia NMP w Wiśle-Centrum. – Są to nabożeństwa ekumeniczne, Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, wspólne modlitwy z okazji świąt państwowych, dożynek itp. Razem organizujemy konkursy biblijne dla szkół podstawowych, młodzież obu wyznań bierze udział w Międzynarodowym Ekumenicznym Konkursie Wiedzy Biblijnej „Jonasz”. Prowadzimy też wspólne akcje charytatywne.

Ks. Szajthauer wspomina dodatkowo o wspólnych modlitwach w szczególnych – zwłaszcza losowych – okolicznościach. Tak było np. po katastrofie smoleńskiej, gdy ewangelicy i katolicy spontanicznie zbrali się na modlitwę w intencji ofiar tragedii i ich rodzin. To modlitewne spotkanie wzruszało tym bardziej, że zaledwie cztery miesiące wcześniej, w grudniu 2009 r., przedstawiciele wiślańskich parafii katolickich i ewangelickich brali udział w ceremonii przekazania przez Marię Kaczyńską tabernakulum do kaplicy w rezydencji Prezydenta RP na Zadnim Groniu. – Raz powody do modlitwy są radosne, innym razem dramatyczne – mówi ewangelicki proboszcz. A na pytanie, czy jego zdaniem ów wiślański ekumenizm polega rzeczywiście na „jedności ducha”, czy jest raczej

Dziś w Wiśle nie padają już z ambon nazwiska tych, którzy odeszli z jednego Kościoła do innego.

Ale też nie ma – jak mówią miejscowi księża – agresywnego nawracania.

formalny, odpowiada: – Zapewne, w zależności od okoliczności, można mówić o jednym i drugim, jednak zdecydowanie ze wskazaniem na ten pierwszy.

Pozostałe Kościoły i związki wyznaniowe działające w Wiśle do idei ekumenicznego zbliżenia podchodzą jednak z rezerwą. – Podejmowaliśmy co prawda próby zaangażowania wszystkich wyznań we wspólną misję ewangelizacyjną, miał temu służyć organizowany na wzór amerykański Festiwal Życia. Były seminaria, wykłady, spektakle teatralne, koncerty, zawody sportowe, gościli tu nawet koszykarze NBA. Uczyliśmy się od siebie różnych form przeżywania relacji z Bogiem. Skończyło się jednak na dwóch edycjach festiwalu, który w naszych warunkach okazał się przedsięwzięciem zbyt kosztownym i skomplikowanym logistycznie – mówi Henryk Król z ewangelickiego Stowarzyszenia Deorecordings, inicjator i główny organizator imprezy. – Dziś każdy zajęty jest raczej tym, co sam robi, w naszym przypadku jest to głównie praca z wykorzystaniem internetu. Ale w kontaktach z innymi wyznaniem nie ma wrogości, jest otwartość.

– Nie angażujemy się w ekumenizm, ale też nie odmawiamy jakiejkolwiek współpracy z innymi denominacjami. Współpracujemy np. na polu charytatywnym, urządzamy koncerty wspólnie z Kościołem ewangelickim. Jednak w ruchu ekumenicznym nie ma swobody, by mówić o różnicach, podkreśla się tylko to, co łączy poszczególne wyznania. A takie podejście może prowadzić do ztracenia religijnej tożsamości – zaznacza Marcin Knapik, pastor Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Podobnego zdania są duchowni Kościoła zielonoświątkowego.

Sztuka bycia razem

Dziś nie padają już z ambon nazwiska tych, którzy odeszli z Kościoła, ale też, jak podkreślają księża Szajthauer i Firlej, praktycznie ustało zjawisko prozelityzmu, agresywnego nawracania na „prawdziwą” wiarę. Nie ma zakazu zawierania mieszanych małżeństw. Wiodące Kościoły uznają wzajemnie sakrament chrztu. – Nauczaliśmy się szanować siebie nawzajem. Widać to na przykładzie sposobu obchodzenia różnych świąt – mówi burmistrz Tomasz Bujok. – Dla ewangelików najważniejszym świętem w roku jest Wielki Piątek. I katolicy to szanują. Podobnie my staramy się nie narządzać dachu czy wozić różnego rodzaju rzeczy w gospodarstwie rolnym podczas Bożego Ciała. Gdy w mieście mamy wydarzenia religijne, kulturalne czy sportowe, jesteśmy razem. Nie usłyszałem jeszcze od przedstawicieli jakiegoś wyznania, że z tymi albo z tamtymi na pewno nie usiadziemy obok siebie.

– W rodzinach, w relacjach sąsiedzkich, w miejscu pracy od dawna nikt tu nie pyta, z jakiego jesteś Kościoła – dopowiada ks. Leszek Czyż.

W rodzinie Grażyny i Janusza Nogowczyków Wielki Piątek obchodzony jest skromnie, w nastroju powagi. – W tym dniu obowiązkowo idę do kościoła, niekiedy wybiera się ze mną żona – opowiada pan Janusz. – Atmosferę święta tworzymy razem. Z kolei Boże Narodzenie to u nas święto rodzinne, z choinką, z kolędami śpiewanymi przy akompaniamencie instrumentów, na których grają nasi synowie. Również są w mieszanych związkach małżeńskich, przyjeżdżają do nas co roku z rodzinami. Jest wesoło i gwarno.

© ANDRZEJ OTCZYK

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 153/23 wszczęto postępowanie z wniosku Mieczysława Kowalskiego, zam. os. Pułaskiego 2/5, 37-500 Jarosław, o uznanie za zmarłego Ludwika Krapel, s. Antoniego i Anny. Z dokumentów znajdujących się w aktach sprawy wynika, iż Ludwik Krapel urodził się w dniu 24 sierpnia 1889 roku. Dnia 1 września 1889 roku został ochrzczony w Zakliczynie. W dniu 7 stycznia 1920 roku zawarł związek małżeński z Bronisławą Norek. Jak wynika ze złożonych dokumentów, Ludwik Krapel był żołnierzem zawodowym w stopniu starszego majstra wojskowego. Ostatnie jego znane miejsce stałego pobytu to: Jarosław, ul. 29 Listopada 3. Dalsze losy Ludwika Krapel nie są znane.

Wzywa się Ludwika Krapel, aby w terminie sześciu miesięcy zgłosił się, gdy w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Wzywa się również wszystkie osoby, które mogą udzielić informacji o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

Kamienny kompromis

MARCIN CHODUŃ

W krypcie katedry w Paderborn zawisła tablica z informacją o zaniedbaniach dwóch zmarłych biskupów w kwestii nadużyć seksualnych. Głosi, że przedłożyli oni reputację instytucji oraz sprawców nad cierpienie poszkodowanych.

CHODZI O KARDYNAŁÓW LORENZA JAEGERA, sprawującego urząd w latach 1941-1973, i Johannesa-Joachima Degenhardta (1973-2002). Wkrótce ma zostać udostępniony kod QR przekierowujący do szczegółowych informacji o nadużyciach duchownych w archidiecezji.

– Domagaliśmy się tej tablicy – mówi Reinhold Harnisch, rzecznik osób pokrzywdzonych molestowaniem seksualnym – bo milczenie i zaprzeczanie takim czynom przez całe dziesięciolecie musi się wreszcie skończyć.

Napis na umieszczonej w krypcie katedry tablicy brzmi: „Z dzisiejszej perspektywy, pochowani tutaj arcybiskupi popełnili poważne błędy w radzeniu sobie z nadużyciami seksualnymi podczas sprawowania urzędu. Zbyt często przedkładali ochronę i reputację instytucji oraz sprawców nad cierpienie poszkodowanych”.

Piekło za murami

Mury katedry w Paderborn skrywają koszmary, które Reinholda Harnischa (67 lat) prześladowały przez całe życie. Wystarczy, że spojrzy w katedralne okna, a natychmiast wraca do niego piekło, które się za nimi rozgrywało.

W latach 60. XX w. mały Reinhold po przesłuchaniu przez chórmistrza, prof. Huberta Göbla, został przyjęty do chóru katedralnego. Pekał z dumy, uwielbiał śpiewać. Wszystko zmieniło się, gdy Göbl zachorował, a na stanowisku zastąpił go w 1964 r. katedralny wikariusz



Katedra i pałac cesarski w Paderborn. Niemcy, czerwiec 2022 r.

Walter Salmen. Jak się wkrótce okazało – seryjny pedofil. Reinhold Harnisch był przez niego przez dwa lata wykorzystywany seksualnie i maltretowany. Miał wtedy 9-10 lat.

– Lata w chórze katedralnym były dla mnie prawdziwą torturą – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem”. – Bałem się śmierci, a czasami myślałem, że naprawdę umieram. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Zajęło mi 25 lat, aby dotrzeć do miejsca, w którym znalazłbym się znacznie szybciej, gdyby moja edukacja mogła być prostą ścieżką. To, co przed laty spotkało mnie w katedralnych murach, zepełniło moje życie z właściwego toru.

O tym, co się wydarzyło, Harnisch nie chce opowiadać. Mówi tylko, że zdarzyło się wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, kiedy słyszymy o molestowaniu seksualnym dziecka.

Milczał o tym przez całe życie – nic nie powiedział ani rodzicom, ani żonie.

Gdy dowiedział się jednak, że uniwersytet w Paderborn poszukuje osób, które doświadczyły molestowania seksualnego do projektu naukowego badającego takie zdarzenia, postanowił się zgłosić. – Uznałem, że nie mogę już dłużej milczeć, ponieważ zbyt wielu wciąż milczy, ukrywa coś i kłamie – tłumaczy.

Projekt badawczy Uniwersytetu Paderborn prowadzi od 2019 r. na zlecenie (i z pieniędzy) archidiecezji w Katedrze Historii Kościoła i Religii. Pierwotnie badanie miało obejmować jedynie kadencje kardynałów Jaegera i Degenhardta, jednak wiosną 2023 r. rozszerzono zakres badań o okres urzędowania abp. Hansa-Josefa Beckera (kadencja 2003-2022).

W chwili gdy Reinhold Harnisch dowiedział się, że archidiecezja podjęła działania mające na celu uznanie cierpienia osób molestowanych przez duchownych, zdecydował się na ponowny kontakt z Kościołem. Choć, jak mówi, wcześniej

→ w ogóle by mu to nie przyszło do głowy. Po wydarzeniach z dzieciństwa odciął się całkowicie od instytucjonalnego Kościoła. Z pomocą biura interwencyjnego utworzonego w archidiecezji udało mu się nawiązać kontakt z innymi poszkodowanymi i zorganizować spotkanie.

Wyraz dialogu

Odbyło się ono przy wsparciu arcybiskupstwa Paderborn w lutym 2022 r. Wzięło w nim udział ponad dwadzieścioro kobiet i mężczyzn. Wybrano Reprezentację Osób Pokrzywdzonych, a jednym z jej rzeczników został Reinhold Harnisch.

– Tworząc Reprezentację, archidiecezja wcieliła w życie porozumienie niemieckich biskupów i federalnego komisarza ds. nadużyć wobec dzieci – mówi Thomas Throenle z Wydziału ds. Komunikacji Arcybiskupstwa Paderborn. Była to też realizacja podjętego w 2020 r. zobowiązania biskupów do strukturalnego zaangażowania osób dotkniętych przemocą seksualną w Kościele w proces ponownej oceny przypadków przestępstw duchowieństwa. Reprezentacja Osób Pokrzywdzonych działa niezależnie, ale przy wsparciu archidiecezji Paderborn, która zapewnia infrastrukturę i pozostaje w kontakcie z zainteresowanymi osobami.

Jednym z pierwszych działań Reprezentacji było wystąpienie do arcybiskupstwa z żądaniem (nie wnioskiem, jak podkreśla Reinhold Harnisch) o wmurowanie tablicy w krypcie katedralnej. Tekst inskrypcji został ostatecznie sfor-

mułowany przez Kapitułę Metropolitalną i przedłożony Reprezentacji do akceptacji.

Thomas Throenle: – Tablica i tworzona strona internetowa jest według arcybiskupstwa odpowiednią formą reakcji na zaistniałe wykroczenia. Archidiecezja Paderborn uważa porozumienie w sprawie tablicy informacyjnej w krypcie za wyraz udanego dialogu.

Reinhold Harnisch: – Zażądaliśmy tej tablicy, bo chcieliśmy wywołać wśród duchownych pewien proces myślowy. Wielu z nich nadal wołałoby raczej ukrywać kwestie nadużyć na tle seksualnym, niż je badać i nagłaśniać. Wśród księży należy wytworzyć odpowiednią świadomość, aby takie czyny nigdy w przyszłości się nie powtórzyły.

Nadal także jego zdaniem widać brak rzeczywistej woli uznania prawdy historycznej. – Podczas prac Reprezentacji spotkałem pracowników archidiecezji, którzy sprawiają wrażenie, że nie chcą kontynuować dawnego sposobu postępowania – mówi Harnisch. – Jednak wielu duchownych, pomimo iż zaistniałe wydarzenia były znane wszystkim odpowiedzialnym przez wiele lat, nadal ma trudności z przyznaniem, że Kościół jako instytucja ponosi za nie winę. Do tej pory nikt nie skierował do nas prośby o przebaczenie za doznane cierpienia.

Nie dla jałmużny

Reprezentacja Osób Pokrzywdzonych chce – według własnych deklaracji – roz-

liczyć zaistniałe w przeszłości akty przemocy seksualnej, uzyskać uznanie dla cierpienia doznanego przez ofiary oraz udzielać wsparcia osobom potrzebującym pomocy psychologicznej i finansowej.

Zdaniem Reinholda Harnischa obowiązek niesienia pomocy spoczywa jednak głównie na Kościele. – Kwestia uznania szkód nie może być rozpatrywana w odezwaniu od rekompensaty finansowej – tłumaczy. – Kościół w Niemczech ma obowiązek wypłaty odszkodowań, ale dotychczas wypłacone kwoty nie oddają nawet w przybliżeniu rozmiaru cierpienia. Czas skończyć z jałmużną.

Jak tę kwestię rozwiązuje arcybiskupstwo Paderborn?

Thomas Throenle: – Dokonuje dobrowolnych wypłat zadośćuczynienia na rzecz osób dotkniętych nadużyciami zgodnie z procedurą przyjętą przez biskupów niemieckich. Kwota jest ustalana przez niezależną komisję.

Reinhold Harnisch: – Jako Reprezentacja Osób Pokrzywdzonych mamy do Kościoła stosunek jednocześnie wymagający i raczej neutralny. Jesteśmy gotowi prowadzić z osobami odpowiedzialnymi w Kościele konstruktywny dialog. Wyznajemy zasadę, że bez znajomości przeszłości nie można kształtować przyszłości. Kościół musi ostatecznie rozprawić się z tematem przypadków molestowania seksualnego i ich tuszowania przez duchownych, bo on samoistnie nie zniknie.

© MARCIN CHODUŃ

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

LATO Z „TYGODNIKIEM”

Teraz tylko
~~56 zł~~ **40 zł**

Cyfrowy „Tygodnik”, gdziekolwiek będziesz,
natychmiastowy dostęp do nowych wydań.
Kup na powszech.net/lato i rośnij z nami!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJCIECH

Bonowicz: *Spokój*



WYCHODZĘ NA SPACER, ZANIM TEMPERATURA stanie się trudna do zniesienia. W bloku naprzeciwko trwa remont balkonów, słychać na przemian radyjko i wizg maszyny do cięcia płytek. Robotnicy zaczynają wcześnie, bo im też upał

daje się we znaki. Koło pierwszej-drugiej chowają się w cieniu, piją wodę albo kawę, palą papierosy. Potem jednak znów muszą wrócić do pracy.

Na ławce siedzą dwie dziewczyny i jedzą czeresnie. Dziewczyny mają w uszach białe słuchawki i rozmawiają przez telefony. Po owoce sięgają bezwiednie, a pestki wypływają w dłoń, nie przed siebie. Obie mają długie ciemne włosy i krótkie spodenki, jedna czerwone, druga granatowe. Poszczególne ruchy wykonują tak, jakby miały je już wielokrotnie przećwiczone i zsynchronizowane. Ich dłonie nie stykają się, tylko mijają. Czeresnie są drogie, więc w woreczku jest ich niewiele. Czekam na moment, kiedy zostanie tylko jedna i dziewczyny popatrzą sobie w oczy – której się należy? Ale nie, dziewczyna w czerwonych spodenkach wyjmuję ją, zjada, a potem wrzuca do woreczka ogonki i pestki. To samo robi druga, cały czas z kimś rozmawiając.

Kilka ławek dalej odpoczywa starsza para, mężczyzna i kobieta. Między nogami leży mały piesek, sznauzer, jeśli dobrze rozpoznaję rasę. Mężczyzna jest duży, wydaje się, jakby trzymał na kolanach drugą osobę. Ma na głowie siatkowany kapelusz, twarz zaczerwienioną i zmęczoną. Kobieta przy nim robi wrażenie drobnej, choć tak naprawdę nie jest mała i to ona, zanim przysiedli, niosła torby z zaku-

pami. W dłoni trzyma butelkę z wodą, ale nie podnosi jej do ust, bo cały czas mówi. Chciałbym usłyszeć co, ale barwa jej głosu sprawia, że słyszę tylko pojedyncze sylaby: „Ba... ma... że... by... go...”. Układają się zresztą w interesującą melodię. Kiedy na moment się zatrzymuję, żeby ją zapamiętać, kobieta milknie.

Nadjeżdża mama z dzieckiem w wózku. Dziecko jest ru-chliwe, nogi wystawiło w górę, więc nie widzę jego twarzy. Łapie się za stópki rączkami i pokrzykuje. Mama ma na sobie cienką sukienkę w podłużne pasy i płócienne pantofle. Ona również rozmawia przez telefon, ale położony na gondoli. Przez moment nie mogę sobie przypomnieć, jak właściwie nazywa się ta część, ale w końcu słowo wyłania się z ciemności i wskakuje na właściwe miejsce.

Przed budynkiem poczty stoi kilka osób. Latem poczta otwiera się o godzinę później. Czekają wyłącznie starsi, mają w rękach rachunki, które chcą opłacić. Kobieta w średnim wieku przygląda się kolejce, ale w końcu kręci głową i odchodzi. Na poczcie jest chłodno, więc kiedy drzwi się otwierają, wszyscy szybko wpychają się do środka. Jeden pan pospiesznie zakłada maseczkę.

Spokój. Niezwykły spokój upalnego dnia. Wczoraj była ulewa. Woda spływała szybko chodnikami i ulicami, ale deszcz był obfity i drzewa dostały drugie życie. W upalne dni nikt nie mówi głośno, chyba że akurat rozmawia przez telefon. A i to niekoniecznie, bo mikrofony są coraz czulsze i można mówić cicho, tak żeby inni spacerujący nie słyszeli. Nawet w tramwajach jest teraz ciszej. Wczoraj jakaś pani nagle krzyknęła na cały tramwaj coś po ukraińsku. Chyba zasnęła i nagle się obudziła, bo siedzący obok zaczęli ją uspokajać.

Na niebie nic się nie dzieje. Pojedyncze chmurki omijają słońce, jak ludzie ostatnie kałuże. ©

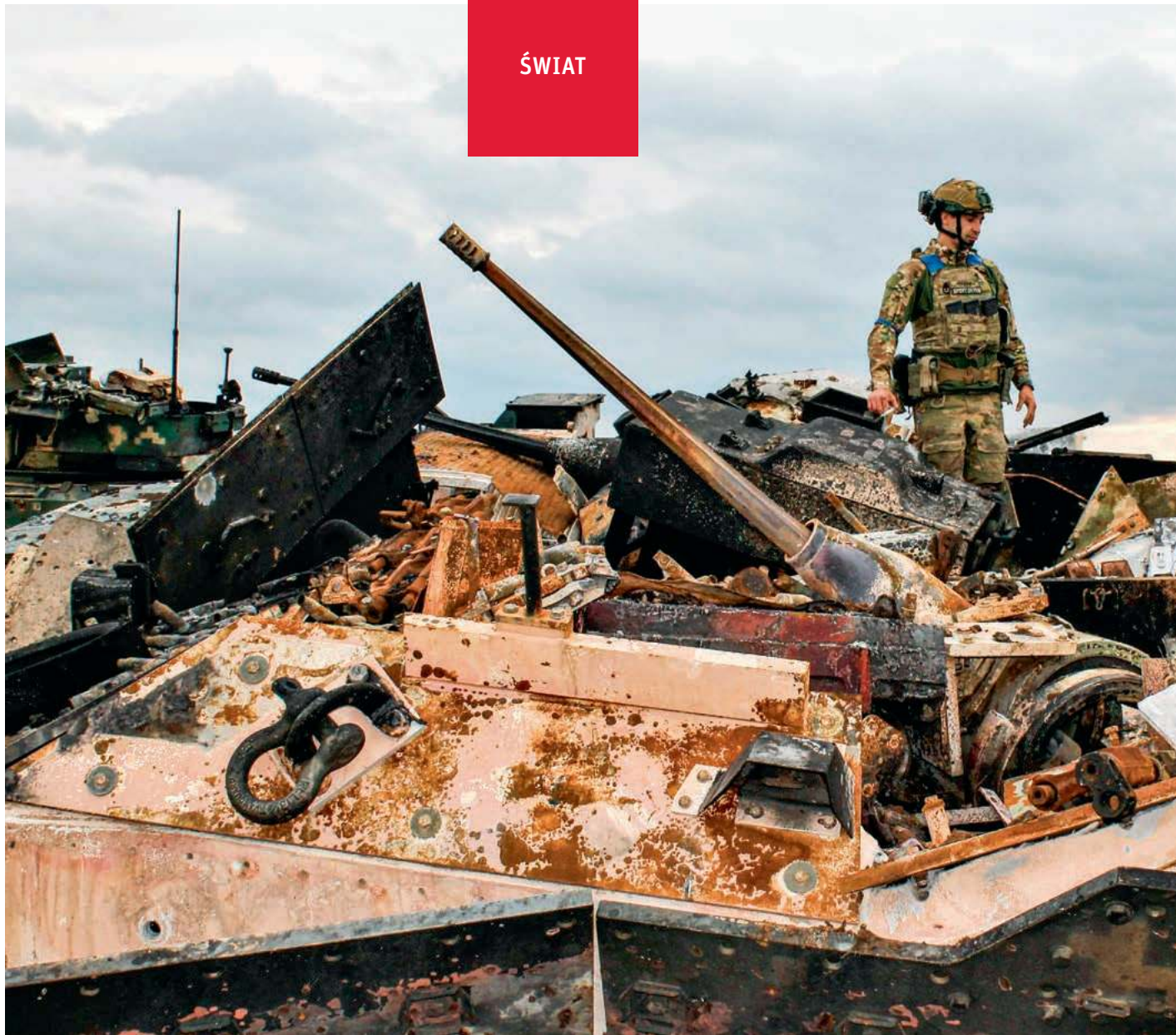
OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 178/23 toczy się postępowanie z wniosku Józefa Pytel o stwierdzenie nabycia przez małżonków Józefa Pytel i Józefę Pytel w drodze zasiedzenia własności następujących nieruchomości położonych w Gorzkowie: działki nr 246 powstałej z części p.gr. I.kat. 105/10 objętej LWH 139, działki nr 251 powstałej z części p.gr. I.kat. 103/1 objętej LWH 42, części działki nr 26 powstałej z p.gr. I.kat. 74/2, 75/2, 76, 77, 78, 79, 82/2, 84 i 85 objętych LWH 194.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych Wiktorii ze Stachurów voto Kaczmarczyk voto Pytlowej, Jana Mętel, Anny z Chlebdów voto Piątkowej voto Mętlowej, Franciszka Mętel, Marii z Chlebdów Mendlowej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi uwłaszczenie, o ile zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 122/23 toczy się sprawa z wniosku Trzemeszeńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej o stwierdzenie nabycia spadku po: Marii Magdalenie Jankowskiej, z domu Maciejewskiej, zmarłej 17.04.2010 r. w Poznaniu, urodzonej 8.06.1952 r., córce Zenona i Gabrieli z domu Toda, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Trzemesznie przy ul. 22 Stycznia 1863 r. 3/29 oraz po Jerzym Stanisławie Jankowskim, zmarłym 6.08.2019 r. w Trzemesznie, urodzonym 24.04.1951 r., synu Wojciecha i Marty z domu Zbieg, mającego ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Trzemesznie przy ul. 22 Stycznia 1863 r. 3/29.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Marii Magdalenie Jankowskiej i Jerzym Stanisławie Jankowskim.



Zniszczone ukraińskie pojazdy – prawdopodobnie dostarczone przez USA bojowe wozy piechoty bradley – na froncie zaporoskim, lipiec 2023 r.

MINY, WSZĘDZIE MINY

Oddział, którym dowodzi młody oficer o pseudonimie „Komisarz”,
ma wytyczyć ścieżki przez pola minowe.

One są największą przeszkodą spowalniającą ukraińską ofensywę.

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK Z ORICHIWA** (FRONT ZAPOROSKI, UKRAINA)



PRZEJAZD SAMOCHODU PODRYWA z ulicznego pyłu stado psów. Bezpańskich być może dopiero od niedawna – odkąd na początku czerwca rozpoczęła się długo wyczekiwana ukraińska kontrofensywa, i odkąd codzienny ostrzał miasta przez rosyjską artylerię oraz lotnictwo nasilił się na tyle, aby przegnać z Orichiwa – kiedyś kilkunastotysięcznego miasteczka, godzinę drogi autem od Zaporozża – kolejnych mieszkańców. Tych i tak już nielicznych, których wcześniej życie przez półtora roku w bliskości frontu nie skłoniło do ucieczki.

Przebijanie się wysłużonym busem przez opustoszałe miasteczko nastre-

cza problemów. Kolejne przecznice okazują się zawalone świeżymi gruzami po ostrzale. Najwyraźniej na tyle niedawnym, żeby droga wciąż była nieprzejezdna – tutaj, w strefie frontowej, wojsko szybko je udrażnia i naprawia.

– Taką dziurę robi bomba KAB, półtonówka – Petro wskazuje na mijaną wyrwę w ziemi. Po czym dodaje ponuro: – Tam trochę dalej spadła taka sama, zabiła ośmiu naszych chłopaków na kwaterze.

Gdy mówi o wojsku, tym, jak podkreśla, zwykłym wojsku, Petro jest sceptyczny. – Nie ryzykowałbym służby w regularnej armii. Nie chcę, żeby ktoś podjął za mnie pochopną decyzję i wysłał na śmierć. Dlatego od roku walczę jako „dobrowolec” – tłumaczy zza kierownicy wysłużonego busa. Jest żołnierzem jednostki ochotniczej. – Racja, wiąże się to z brakiem wypłaty, nie każdy może sobie na to pozwolić, więc cenię sobie tę możliwość. Ale chcę mieć wybór, a nie usłyszeć z góry rozkaz, żeby iść przed siebie.

– **DO „KOMISARZA”,** do „Komisarza”! – Petro przeciska się przez grupę wojskowych, którzy stoją, stłoczeni ciasno, w ciemnym korytarzu jednej z piwnic.

Dotarliśmy na miejsce, gdzie urządzona została, jak tutaj mówią, baza. Czyli punkt dowodzenia i zakwaterowania w jednym. Jak wszystko, co ma wolę utrzymania się przy życiu, i ona zeszła do podziemia.

W jednym z zaadaptowanych pomieszczeń młodzi żołnierze marszczą brwi przed ekranami. Wsłuchują się w trzeszczące komunikaty płynące przez radio. W drugim pomieszczeniu, korzystając z chwili oddechu, wylegują się na pryczach. Właśnie do nich kieruje się Petro.

– Widziałem, co wy wszyscy wyprawiacie w Zaporozżu! Boże drogi, do frontu pięćdziesiąt kilometrów, a w mieście jedna wielka impreza, tylu ludzi się bawi! Ta wojna skończyłaby się w miesiąc, gdyby każdy facet wziął automat i poszedł walczyć. A tam co znów się dzieje? – Głową wskazuje ścianę, zza której dobiegają wesołe okrzyki. Odpowiada mu jeden z żołnierzy, gestem uderzania kantem dłoni w szyję.

Petro jest rozdrażniony. – Wszyscy mają już dosyć wojny. I ja też. Chcę nad morze, chociaż na miesiąc. – Unosi brew. – Zasunąć nogi w piasek, pić koktajl i gapić się na wodę.

– Nad Morze Czarne? – pyta ktoś.

– Nieee, na Teneryfę. Albo najlepiej tam, gdzie nie ma ludzi. Ostatni raz, kiedy była możliwość wrócić na kilka dni odpoczynku do domu, pod Bachmutem trafił mnie odłamek i tyle było z powrotu.

PRZED BAZĄ trwają szybkie przygotowania do wyjazdu na pozycje – te znajdują się w niedużej odległości od miasta – i szybki zwład. Żołnierze wrzucają do terenowych samochodów dodatkowe puste plecaki, dopinają kamizelki.

Nad wszystkim trzyma komendę „Komisarz” – młody oficer o mało wdzięcznym pseudonimie, który nadali mu współtowarzysze.

„Komisarz” dowodzi kilkunastoosobową grupą żołnierzy z brygady Gwardii Narodowej. Jest dumny, że od początku trwania kontrofensywy nie stracił żadnego z nich. Nikt nie został też ranny. Każde działanie przemysła dziesięć razy. – Nie chce pozwolić sobie na najmniejszy błąd – z uznaniem mówi o nim Petro.

„Komisarz” wspina się na pakę terenówki, daje znak do odjazdu.

Obok dowódcy na ubłoconej zapasowej oponie sadowi się Timur, który tutaj nosi pseudonim „Cudak”. Timur prowadzi w Zaporozżu dla żołnierzy siłownię i treningi kick-boxingu, w którym sam był swego czasu pięciokrotnym mistrzem świata. Od niedawna służy też jako ochotnik na froncie w obwodzie zaporoskim.

SAMOCHÓD RUSZA. Za nim druga terenówka, na absurdalnie cienkich oponach. Siedzące na naszej pace chłopaki pokładają się ze śmiechu za każdym razem, kiedy towarzyszące nam auto wychyla się zza zakrętu.

– Pół roku czekaliśmy na samochód terenowy i dostaliśmy coś takiego. A miały być bradleye – mówi z krzywym uśmiechem „Komisarz”. Przerywa mu kolejny wybuch wesołości.

Timur wali pięścią w tylną szybę szoferki, żeby kierowca zwolnił. Czekamy, aż obiekt drwin pojawi się znowu w zasięgu wzroku. Trzymamy się kurczowo burt samochodu, gdy ten dusi się i niepewnie kołysze, przemierzając wielką kałużę błota.

Stopniowo nasila się huk artylerii. W mijanych przydrożnych zaroślach coraz więcej żołnierzy – odpoczywają w zaimprovizowanych naprędcie schronieniach. Zarośla, każde drzewo są tu ważne: →

→ dają trochę schronienia przed „ptaszkami”, wszechobecnymi dronami. Albo iluzję schronienia.

Do najbardziej wysuniętych pozycji – w żargonie zwanych „zerówką” – jest jeszcze daleko. Decyzją „Komisarza” oddział zostawia oba pojazdy w zaroślach. Dalej trzeba iść na piechotę.

„ZERÓWKA”. Zejście do okopu. Minąć go nie można – wzrok każdego kolejnego członka naszej grupy, która porusza się teraz w rozciągniętej pojedynczej linii, musi prześlizgnąć się po worku z ciałem, które złożono bezładnie na mokrej ziemi. Najwyraźniej już od dłuższego czasu czeka na zabranie w godniejsze miejsce, bo roztacza charakterystyczny odór.

Wyostrajają się zmysły węchu i słuchu. W gorącym letnim powietrzu ten kompleks leśny na Zaporozżu jakby zastępnym w bezruchu. Choć nie siedzi cicho. Niczym ukryte w gęstym lesie dzikie zwierzęta najróżniejszych gatunków, każde wydające swój dźwięk, odzywa się artyleria.

Doświadczone ucho bezbłędnie rozróżnia gatunki, a także charakter zagrożenia. „Wychod” (wystzał) – świst – i „prichod” (przyłot). Wzrok kieruje się na prawo w pole, gdzie podrywa się chmura pyłu i kurzu, o charakterystycznym brudno-szarym kolorze.

BEZPIECZNA ŚCIEŻKA kluczy między starannie oznakowanymi minami – te są własne, ukraińskie, znaczone chorągiewkami z kolorowej taśmy. Tak samo znaczone są gałązki, na wysokości twarzy.

Jednym z zadań oddziału „Komisarza” jest wytyczanie bezpiecznych ścieżek. Najpierw przez własne pola minowe, które zabezpieczają dostęp do ukraińskich pozycji. Potem przez rosyjskie pola minowe.

Te drugie są wszechobecne. I to przede wszystkim one – wraz ze wstrzelaną w poszczególne odcinki frontu artylerią, kierowaną przez drony – skutecznie spowalniają posuwanie się naprzód ukraińskich pojazdów bojowych. Żołnierz piechoty ma trochę lepiej, jemu łatwiej się prześlizgnąć.

W miarę, jak posuwamy się naprzód, letni las zmienia swój kolor, stopniowo czernieje. Zdrowe zielone drzewa ustępują rozerwanym przez pociski kikutom ukazującym swoje białe wnętrza.



W okopach: żołnierze z 47. Brygady, która od początku uczestniczy w ofensywie.



Rosyjskie miny przeciwpancerne są wszędzie w zasięgu wzroku.

Mijani w okopowym labiryncie żołnierze z 47. Brygady Zmechanizowanej „Mazur”, która trzyma pozycje na tym odcinku, wysuwają na przywitanie dłonie spod folii. Folia osłania wykopane w brunatnej ziemi legowiska, w których leżą skuleni w śpiworach.

– To ruskie norki, wykopane przez nich, a teraz zaanektowane – tłumaczy żołnierz Nacgwardii.

– Jak to ruskie, nasze, nasze! – odpowiada mu oburzony głos ze śpiwora.

– **SIEMA, SIEMA**, jak się żyje? – „Komisarz” wsuwa głowę do wnęki, gdzie urządzone jest stanowisko strzelnicze. Jeden z żoł-

nierzy, opartych o wymoszczoną workami budowlanymi ścianę okopu, uśmiecha się niemrawo i odpowiada w niecenzuralny sposób.

– Życie z minuty na minutę, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt szans – dodaje drugi.

– Eeee, nawet nie wydaje mi się, czy aż tyle.

– Najgorsze to ciągle czekanie. Niepewność.

W tle „wychod” – świst – i „prichod”.

„**KOMISARZ**” **SPOGLĄDA** po podkomendnych. Stoją ciasnym rzędem w okopie.

– Iliusza, co ty dzisiaj bez kominiarki? – zagaja. Stara się rozluźnić atmosferę, gdy przeciąga się chwila oczekiwania.

– Kto ma wodę? – pada pytanie. Wyjęta z plecaka butelka z mineralną wędruje z ręki do ręki.

– Ile żeście schudli, mówicie?

– Z plecakiem i amunicją to chyba ważę z setkę.

– Patrz, jaki ładny zachód słońca, zrobię ci zdjęcie.

– I będę stał tak zapatrzonny w dal, na straży porządku.

– Mama wie, że palisz?

– Mama nie wie, że jestem na wojnie – odpowiada zaczepiony. Chóralny wybuch śmiechu.



Ścieżka przez pole minowe. W oddali zniszczone lub uszkodzone ukraińskie pojazdy: czołg leopard 2A6 oraz bojowe wozy piechoty bradley.

„Komisarz” odwraca się nagle. – A ty od teraz będziesz Jana. Rozumiesz? Tak się teraz nazywasz. Jana! – Żołnierskiemu przywiązaniu do nadawania wszystkim pseudonimów musiało stać się zadość.

ZMIERZCHA. Ze stanowiska strzelniczego jak na dłoni widać zniszczony ukraiński sprzęt.

Jest go wiele. Wraki stoją obok siebie, gęsto stłoczone – tam, gdzie zatrzymały je miny, a potem dobił ogień artylerii. Czołgi i bojowe wozy piechoty zachodniej produkcji.

„Komisarz” daje znak. Ruszamy w stronę tego smutnego widoku jak sarny – znowu długim szeregiem, ostrożnie, zachowując odstęp jeden od drugiego.

Ścieżka jest wyjątkowo wąska, trzeba uważnie stawiać kroki. Rosyjskie miny przeciwpancerne – masywne krążki, leżące jakby niedbale wszędzie w zasięgu wzroku – nie są zakopane czy choćby w najmniejszym stopniu ukryte.

Od wielu miesięcy Rosjanie minowali się na wiele kilometrów w głąb okupowanych terenów na Zaporozżu – one już wtedy były spodziewanym kierunkiem uderzenia ukraińskiej kontrofensywy. Mija półtora miesiąca od jej rozpoczęcia,

a tutaj front przesunął się z trudem zaledwie o kilka kilometrów.

Nikt tu nie wątpi, że na zajętych terenach Rosjanie zakładają kolejne pola minowe.

CHOĆ NACISK odpowiadający wadze ludzkiego ciała nie wystarczy, aby zdetonować minę przeciwpancerną, oczy pozostają szeroko otwarte. Każdemu krążkowi wypełnionemu trotylem, jaki zostaje zauważony kątem oka, towarzyszy myśl o ewentualnym nieopatrzonym kroku.

Docieramy do celu. Przypomina jedno z wielu miejsc, których zdjęcia z pierwszych dni kontrofensywy obiegały świat: grupa zniszczonych pojazdów bojowych, które przybyły z Zachodu i dokonały żywota na zaporoskim polu minowym.

To miejsce jest na tyle świeże, że nikt nie zdążył oczyścić go z przydatnych do czegoś pozostałości – jesteśmy tutaj chyba pierwsi. Ze spalonego wnętrza pierwszego z mijanych bojowych wozów piechoty rozchodzi się znajomy słodkawy zapach.

– Lepiej za mocno nie wciągać tego powietrza w płuca – radzi jeden z chłopaków i pochyla się nad skrzynią, którą siła eksplozji wyrzuciła z wnętrza czołgu.

STĄPAJĄC OSTROŻNIE, żołnierze rozchodzą się po pogorzelisku. Szukają nadającej się do odratowania amunicji.

Dwóch kłeka przy dziurawym pojemniku. Garściami przekładają z niego dzwięczące naboje małego kalibru do przygotowanych plecaków.

Gdzieś z wysoka dobiega brzęczenie jednego lub dwóch dronów, które, jak zwinne małe owady, patrolują niebo.

Znalezioną na ziemi siekierką Timur mocuje się z wgniecionymi ściankami schowka w jednym z uszkodzonych pojazdów, próbuje wyciągnąć z niego nieknięte skrzynię.

– **DAWAJCIE**, jeszcze maksymalnie dziesięć minut, bo nas namierzą – głos „Komisarza” jest natarczywy. Dowódca wychodzi z wnętrza osmalonego wozu pancernego, wsłuchuje się w głos z krótkofalówki.

– Teraz zacznie się wojna – mówi w przestrzeń. – Teraz będziemy strzelać.

Chwilę później, jakby w odpowiedzi, rozlega się pierwsza od naszego przyjaciela długa seria z karabinu automatycznego. Po niej kolejne, które podłapały zawołanie. Wymiana ognia nasila się wraz z nadchodzącą nocą.

© ANTONINA PALARCZYK

Gry o tron

ANNA ŁABUSZEWSKA

Na zwierciadle putinizmu, okopconym dymami wojny, pojawiają się kolejne rysy. Bunt Prigożyna i towarzyszące mu dziwne turbulencje to oznaki kryzysu systemu. W Rosji nastał czas niepewności.

NA DOBRĄ SPRAWĘ DO DZIŚ NIE wiemy, czym były wydarzenia z 23 i 24 czerwca ani co stało się potem. Zwroty akcji następują cały czas, co kilka dni, a ich interpretacja zmienia się jak w kalejdoskopie.

Zaraz po zakończeniu buntu pojawia się komunikat, że wagnerowcy będą stacjonować na Białorusi. Główny sprawca zamieszania gdzieś znika. Władca natomiast, ni z tego, ni z owego, nagradza za wierność ludzi w mundurach, którzy nie drgnęli, gdy jego tron się chwia.

Potem następuje przymiarka maszyny propagandowej do zniszczenia Jewgienija Prigożyna – buntowuszczyk nazywany jest draniem, jego imperium pada pod ciosami siepaczy, kompromitujące materiały o bogactwach wyciekają szeroką strugą do internetu. Chodzi zapewne o to, aby w ten sposób odebrać Prigożynowi społeczne poparcie (w notowaniach popularności polityków miał on przed swoim „marszem sprawiedliwości” 58 proc., prawie tyle samo co minister obrony Siergiej Szojgu, przeciwko któremu wzniecił bunt).

I znowu następuje zwrot akcji: widzowie dowiadują się poniewczasie o spotkaniu władcy z draniem. O relokacji wagnerowców na Białoruś już nie ma mowy. Ale gdzie się podzieją – nie wiadomo. Wiadomo za to, że swoją ciężką broń przekazują regularnej armii.

Po spotkaniu na Kremlu wyglądało na to, że Putin i Prigożyn znów mają sztamę. Ale potem ponownie wkradają się wątpliwości: czy na pewno uczestnikom gry udało się „podzielić bazar”, czyli znaleźć zadowalające rozwiązanie?



Władca blisko ludzi: Władimir Putin rozmawia z 8-letnią Raisą, która wraz z rodzicami przyjechała z Dagestanu do Moskwy. 4 lipca 2023 r.

Echa buntu Prigożyna wciąż pobrzmiewają nad Rosją. Pospieszne zaspachlowanie pęknięć w systemie może wystarczyć tylko na jakiś czas – Putin utrzymał władzę, ale stracił pozycję arbitra i gwaranta stabilności.

Rendez-vous z buntownikami

To jeden z najdziwniejszych obrotów sfer kremłowskich. W poniedziałek 10 lipca we francuskiej prasie pojawia się przeciek danych wywiadowczych o tym, że kilkanaście dni wcześniej, 29 czerwca, na Kremlu odbyło się spotkanie Putina z Prigożynem oraz z grupą 35 dowódców z Grupy Wagnera. Rewelacje te nieoczekiwanie potwierdza rzecznik prasowy Kremla, który wcześniej powtarzał, że nie wie, gdzie jest Prigożyn i co się z nim dzieje. Nawet tamtego 29 czerwca ogłaszał, że nic o nim nie wie.

Z pierwszych enuncjacji prasowych wynika, że na spotkaniu zawarte zostało przymierze Putin–Prigożyn. Wagnerowcy mieli zapewniać, iż są zdeklarowanymi zwolennikami głównodowodzącego Władimira Władimirowicza Putina i zgłaszają gotowość dalszej walki za ojczyznę. Narrację wybielającą Grupę Wagnera i jej szefa podejmują oficjalne media, które jeszcze w przeddzień odsądzały Prigożyna od czci i wiary.

Czy rzeczywiście takie spotkanie na Kremlu się odbyło? Czy Prigożyn obronił swoje prawo do życia i majątku? Czy został kimś w rodzaju dowódcy batalionu karnego, który krwią ma dowieść swej przydatności dla systemu? Są tylko przecieki, pogłoski i słowa rzecznika prasowego, który kłamie, jak oddycha.

Nadal nie wiemy nic pewnego. Zwłaszcza po wypowiedzi Putina z 13 lipca dla ga-

zety „Kommiersant”. Prezydent zapewnił, że podczas spotkania zaproponował dowódcom wagnerowców nowe możliwości pracy: „Nic by się dla nich nie zmieniło, pozostaliby pod rozkazami tego samego dowódcy, »Siwego«, który dowodził nimi cały czas. Wielu kiwało głowami, kiedy to mówiłem. A Prigożyn, który siedział z przodu i tego nie widział, powiedział: »Nie, chłopaki, nie ma na to zgody«”.

Na pytanie dziennikarza, co dalej z Grupą Wagnera, Putin udzielił dwuznacznej odpowiedzi: „W Rosji nie ma ustawy o prywatnych firmach militarnych. Grupa jest, ale pod względem prawnym jej nie ma. To oddzielna sprawa związana z realną legalizacją”. A zatem – nic dalej nie wiemy.

Zbrodnia bez kary

Pozostajemy przy Putinie. Co dla niego oznacza ten bunt i jak rozegra swoją partię w dalszej grze o władzę?

Jego wzmoczona aktywność w środku lata ma dowodzić, że władca trzyma wszystko pod kontrolą, o wszystkim wie i nadal o wszystkim decyduje. Czasami przyjmuje ona kabaretowe formy – jak nagła wizyta w mieście Derbent w Dagestanie, nazajutrz po uspokojeniu buntu. Oto Putin, który od pandemii demonstruje strach przed wirusem, trzyma się z daleka od ludzi, zmusza otoczenie do odbywania dwutygodniowej kwarantanny, teraz nagle doznaje wzmoczenia ciepłych uczuć, rzuca się w wiwatujący tłum, a nawet przytula i całuje zgromadzonych.

Po nadaniu przez telewizję reportażu z tej wizyty powróciły stare rozważania o sobowtórach prezydenta – Putin w Derbencie nie przypominał zdystansowanego Putina z Kremla (obserwatorzy spekulowali, że był wyższy od oryginału i miał inny kształt czaszki).

Tak czy inaczej – kompulsywne działania Putina wyglądają jak zespół stresu pourazowego. Bo też w dniach, gdy Prigożyn brał Rostów, a potem jak na bal maszerował na Moskwę, prezydentowi najwyraźniej puściły ze strachu nerwy. Pierwszą zaprezentowaną światu reakcją na akt nielojalności herszta wagnerowców było orędzie, w którym nazwał on buntowników zdrajcami. Kilka godzin później, po dogadaniu się z Prigożynem, wycofał się z oskarżeń. Zrezygnował z kija na rzecz marchewki.

To nietypowe zachowanie – Putin dotąd karał tych, których uznał za nielojalnych. Tym razem jawna zbrodnia pozostała bez kary, a to kolejne złamanie monopolu państwa na przemoc (po zeszłorocznym zezwoleniu na udział w wojnie prywatnych firm wojskowych). A skoro za bunt władza nie ściga, to czyż nie będzie to zachętą do kolejnych rokoszy? Wojskowy establishment ma wiele powodów do niezadowolenia.

Zwycięzca weźmie wszystko

Ludzie w mundurach zachowali się podczas „marszu sprawiedliwości” Prigożyna co najmniej wstrzemięźliwie. Federalna Służba Bezpieczeństwa i Rosgwardia – powołane po to, aby zapobiegać wszelkim przejawom społecznego niezadowolenia, a już tym bardziej buntom uzbrojonych ludzi – wykazały się niezdolnością do działania.

Czy Putin może w takim razie liczyć na służby? Podczas narady z szefami resortów siłowych na Kremlu 27 czerwca prezydent wyawnie podziękował organom mundurowym za postawę w obliczu niebezpieczeństwa, za niedopuszczenie do wojny domowej, do smuty i rozlewu krwi. Nikomu nie zmył głowy za zaniebdania i dopuszczenie do zadymy, którą z zapartym tchem obserwował cały świat. Zamiast pokazowej chłosty było pokazowe poklepywanie po ramieniu.

Zdaniem politologa Andrieja Kolesnikowa to kolejne świadectwo choroby systemu. Putin nie został obalony, pisze Kolesnikow, ale „jak tylko pojawi się ktoś silny, kto zechce pretendować do objęcia władzy, nikt Putina bronić nie będzie, a większość społeczeństwa będzie obserwować wydarzenia jak zawody sportowe, tak jak śledziła wydarzenia związane z buntem Prigożyna. Kto wygra te zawody, temu się podporządkują. Elity i biurokratyczne klany, zwłaszcza te, które z ostrożności nie wezmą udziału w turbulencjach, też staną po stronie nowego lidera. Zwycięzca bierze wszystko. Putin wie o tym doskonale”.

Przypadek generała Popowa

Zaraz po buncie wagnerowców w mediach zaroilo się od doniesień na temat domniemanych aresztowań i czystek w wojsku.

Najczęściej spekulowano o losie generała armii Siergieja Surowikina (do stycz-

nia 2023 r. dowódcy sił rosyjskich na froncie ukraińskim), blisko związanego z Prigożynem. Od czasu buntu, gdy generał nagrał filmik z apelem dla wagnerowców, aby podporządkowali się armii, nie pojawiał się publicznie. Z przecieków wynikało, że został aresztowany za wspieranie buntowników. Deputowany Dumy Państwowej Andriej Kartapołow (w przeszłości zawodowy wojskowy w randze generała) zapewniał, że Surowikin wypoczywa i dlatego jest niedostępny. Innych źródeł informacji o Surowikinie – brak.

Dziwne zawirowania mają miejsce wokół dowództwa 58. Armii w Południowym Okręgu Wojskowym. Odwołany ze stanowiska jej dowódca, generał major Iwan Popow, chętnie używający pseudonimu „Spartakus”, publikuje nagranie na Telegramie (i to na koncie przewodniczącego komitetu ds. obronności Andrieja Gurulowa, generała w stanie spoczynku). W nagraniu opowiada, że został zdymisjonowany ze stanowiska po tym, jak „na samej górze” przedstawił problemy, z jakimi boryka się wojsko.

„Powstała trudna sytuacja z wyższym dowództwem, musiałem wybrać: albo milczeć i ukrywać to, czego nie chcieli usłyszeć, albo nazwać rzeczy po imieniu” – powiedział Popow. A te rzeczy to braki w wyposażeniu, broni i amunicji. Oraz to, że w bój bez rozpoznania rzuca się mięso armatnie, ludzie giną masowo. W raporcie złożonym naczelnikowi sztabu generalnego Walerijowi Gierasimowowi Popow miał domagać się pilnej rotacji w walczących na froncie jednostkach.

Frustracja postępuje

Przypadek Popowa jest ciekawy nie dlatego, że zawiadziony dowódca składa pełne grozy raporty i jest za to odwoływany ze stanowiska, ale ze względu na upublicznienie sporu. Generał podważa decyzje góry i pokazuje światu, jak wyglądają bebechy „operacji specjalnej”. Kolejny bunt? „Spartakus” na czele powstania gladiatorów? Czy za Popowem pójda inni? Czy Putin także im wybaczy niesubordynację?

Frustracja postępuje i fermentuje. To nie są wymarzone okoliczności dla przeprowadzenia wyborów prezydenckich, zaplanowanych na marzec 2024 r., w których Putin ma szczerzy zamiar zawalczyć o kolejną kadencję. Ale czy zdoła? ©

Pomoc wybiórcza

MARTA ZDIEBORSKA

Orzeczenie Sądu Najwyższego USA kończy tzw. akcję afirmatywną – trwającą od kilkudziesięciu lat politykę wyrównywania szans mniejszości etnicznych na uczelniach.

JOE BIDEN BYŁ WYRAŹNIE PORUSZONY. „To nie jest normalny sąd” – takimi słowami prezydent podsumował decyzję Sądu Najwyższego. Orzeczenie – wydane przez sześciu konserwatywnych sędziów, w tym trzech mianowanych przez Donalda Trumpa – stawia sprawę jasno: tzw. polityka afirmatywna, która umożliwiała uczelniom kierowanie się w rekrutacji także pochodzeniem etnicznym kandydata, jest niekonstytucyjna.

Indeks dla kadeta

Sędziowie rozstrzygali w sprawach dotyczących rekrutacji na Harvard i Uniwersytet Karoliny Północnej, ale ich decyzja dotyczy całego kraju. Przedstawiając opinię większości, sędzia John Roberts oznajmił, że takie wyrównanie szans głównie

studentów afroamerykańskich i latynoskich, co od lat 60. XX w. miało być zażośćczynieniem za segregację rasową, dyskryminuje studentów białych i azjatyckich (ci zwykle pochodzą z rodzin lepiej sytuowanych).

Sąd zrobił wyjątek: nowymi regulacjami nie objął akademii wojskowych, za czym, jak ujął to sędzia Roberts, mają przemawiać „interesy innego rodzaju”. Jeśli spojrzeć na statystyki, właśnie w tych placówkach przybywa zróżnicowanych etnicznie kadetów: w ciągu 20 lat liczba niebiałych studentów na kampusie Akademii Wojskowej w West Point wzrosła z 20 do 36 proc., a w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis z 19 do 37 proc.

Stosowanie podwójnych standardów wytknęli sędziom politycy Partii Demokratycznej, argumentując, że wspieranie mniejszości etnicznych na uczelniach cywilnych ma być niekonstytucyjne, ale już ułatwianie im kariery wojskowej w przyszłości być może okupionej śmiercią za ojczyznę – już nie.

Jak obejść zakaz

Orzeczenie z 29 czerwca potępiło rektory prestiżowych uczelni: Harvardu, Yale, Princeton czy Amherst College. Dla nich polityka afirmatywna była sposobem, by przyciągać na kampusy nie tylko białych studentów z zamożnych rodzin. Jak wynika z analizy dziennika „New York Times” z 2017 r., na najlepszych uczelniach w USA Afroamerykanie stanowią tylko 6 proc. studentów pierwszego roku.

Niepokoją statystyki z dziewięciu stanów, gdzie już przed laty zakazano

(w drodze referendum) uczelnianej polityki afirmatywnej: w wyniku zmiany przepisów aż o 23 proc. spadła tam liczba przyjmowanych studentów z mniejszości etnicznych. W Kalifornii, gdzie politykę afirmatywną wyrzucono do kosza 27 lat temu, największym wzięciem wśród Latynosów cieszą się uczelnie techniczne, oferujące dwuletnie studia licencjackie. Choć Latynosi stanowią niemal 40 proc. mieszkańców tego stanu, tylko 5-6 proc. ma szansę na indeks na najbardziej prestiżowych uczelniach.

Teraz, gdy zakaz polityki afirmatywnej objął cały kraj, eksperci oceniają, że jedynym sposobem na obejście nowych przepisów przez uczelnie prywatne może być rezygnacja z funduszy federalnych. Orzeczenie Sądu Najwyższego jest bowiem wiążące dla nich tylko wtedy, gdy są dofinansowywane przez rząd USA.

Kwestia strategii

Koniec polityki afirmatywnej może wpłynąć na rynek pracy. Orzeczenie może wystraszyć korporacje, które ostatnio mocniej stawiały na zatrudnianie pracowników z mniejszości etnicznych. Trudniejszy dostęp do prestiżowych uczelni dla Latynosów i Afroamerykanów zmniejszy ich szanse na dobre wykształcenie i zajmowanie w przyszłości wyższych i lepiej płatnych stanowisk. Z analizy agencji Associated Press wynika, że tylko co dziesiąty menedżer to osoba czarnoskóra; z kolei wśród prawników tylko 5 proc. to Afroamerykanie.

Obecna decyzja Sądu Najwyższego nie budzi takich emocji jak zeszłoroczne zniesienie przez ten sąd federalnego prawa do aborcji. Z badania cytowanego przez „New York Times” wynika, że aż 74 proc. respondentów uważa, iż publiczne uczelnie nie powinny kierować się w rekrutacji pochodzeniem etnicznym kandydatów. Tego samego zdania w odniesieniu do uczelni prywatnych jest 69 proc. ankietowanych.

Społeczne nastroje mają przełożenie na strategię Demokratów: wprowadzie krytykują decyzję Sądu Najwyższego, ale nie zanoszą się, aby wykorzystali ten temat przed wyborami prezydenckimi w 2024 r. Z ich perspektywy lepiej sprzedaje się walka o prawo do aborcji. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Przeciwnicy akcji afirmatywnej świętują orzeczenie Sądu Najwyższego, który właśnie uznał ją za sprzeczną z konstytucją. Waszyngton, 29 czerwca 2023 r.



ALLISON BAILEY / AFP / EAST NEWS



PIERRE-PHILIPPE MARCOU / AFP / EAST NEWS

Pedro Sánchez (z lewej) i Alberto Núñez Feijóo przed debatą telewizyjną. Madryt, 10 lipca 2023 r.

Hiszpania skręca w prawo

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ALMERII (HISZPANIA)

Skutki pandemii, inflacja, rosnące podatki, susza, ustawy forsowane przez Ministerstwo Równości: to powody, dla których lewica może utracić władzę w Madrycie.

GDYBY OD JEDNEJ DEBATY POLITYCZNEJ miał zależeć wynik najbliższych wyborów parlamentarnych, zwycięstwo prawdopodobnie należałoby już do konserwatywnej Partii Ludowej (PP). W poniedziałek 10 lipca naprzeciw siebie usiedli liderzy dwóch największych hiszpańskich ugrupowań: socjalistycznej PSOE i konserwatywnej PP. Obecny premier, socjalista Pedro Sánchez, nie miał łatwego zadania, bo od pierwszych minut był atakowany i rozliczany za ostatnią kadencję przez swojego politycznego oponenta.

W zachowaniu Sáncheza widoczna była nerwowość i rozkojarzenie. Momentami nie wiedział, czy spoglądać na swojego rywala, czy do kamery. Alberto Núñez Feijóo był z kolei bardziej skuteczny i narzucał tematy w dyskusji, umiejętnie omijając te, których komentować nie chciał, jak np. perspektywy koalicji ze skrajną prawicą. Twitter na bieżąco zapewniał komentarze o jego coraz to nowych kłamstwach i manipulacjach, na które nie reagowali prowadzący debatę.

PODCZAS STU MINUT, jak wyliczyli dziennikarze radia SER, Feijóo mógł minąć się z prawdą nawet osiem razy. Oskarżył m.in. Sáncheza, że jest „trzecim premie-

rem, który stworzył najmniej nowych miejsc pracy zaraz po Mariano Rajoyu”, choć za Sáncheza powstało ponad 300 tys. miejsc pracy więcej niż za rządów Rajoya. Ponadto Feijóo skłamał, mówiąc o spadku liczby samozatrudnionych czy czterokrotnie wyższych cenach prądu w Hiszpanii niż średnia unijna. Lider socjalistów nie potrafił jednak sformułować riposty, a jedynie powtarzał: „Proszę pozwolić mi powiedzieć” albo: „To kłamstwo”.

Socjalista punktował za to odpieraniem zarzutów wobec ustawy „tylko tak oznacza tak” (*solo si es sí*), mówiąc, że „błąd prawny się poprawia, ale świadome i homofobiczne wypowiedzi to coś innego”. Sánchez nawiązał tak do jednego z kluczowych tematów w tej kampanii: przemocy wobec kobiet. Prawica zarzuca rządzącym błędy we wspomnianej ustawie, która od października 2022 r. miała chronić kobiety i dzieci przed przemocą seksualną, ale przez lukę prawną spowodowała zmniejszenie wyroków dla niektórych skazanych za takie przestępstwa.

Z kolei PSOE przy każdej okazji podkreśla, że PP blisko współpracuje ze skrajnie prawicową partią Vox i nie potępia poczynań jej polityków, dla których przemoc ze względu na płeć nie istnieje.

DWA MIESIĄCE TEMU, 28 maja, w Hiszpanii odbyły się wybory regionalne i lokalne. Socjaliści ponieśli w nich porażkę, a Sánchez ogłosił – niespodziewanie także dla samych koalicjantów – przedterminowe wybory do centralnego parlamentu na 23 lipca. To głosowanie sprzed dwóch miesięcy pokazało wyraźnie, że w kraju rośnie poparcie dla prawicy: Partii Ludowej i Vox (liberalno-prawicowa partia Ciudadanos ogłosiła, że nie wystąpi w tych wyborach).

Partia Ludowa rządzi obecnie w siedmiu z dziesięciu największych hiszpańskich miast. W kilku, gdzie ludowcy i Vox zdecydowali się na koalicję, dochodzi do zgrzytów, co stało się jednym z tematów obecnej kampanii. Prawicowi koalicjanci sprzeczekali się np., czy w czerwcowym „miesiącu dumy” wieszać na lokalnych parlamentach tęczowe flagi LGBT, albo czy odwołać premierę sztuki teatralnej Virginii Woolf o homoseksualizmie (to w mieście Valdemorillo).

KRAJ ZACZĄŁ SKRĘCAĆ w prawo już wcześniej. Rok po wyborach z 2019 r. nadeszła pandemia, która doprowadziła do polaryzacji. Następnie inwazja Rosji na Ukrainę nadwyrężyła światową gospodarkę i spowodowała inflację, ta natomiast doprowadziła hiszpańskie budżety rodzinne do granic możliwości. Sytuacji nie poprawia susza, która niszczy plony. Na niekorzyść rządu Sáncheza w oczach wyborców może wpływać też wzrost podatków i seria ustaw przeprowadzonych przez Ministerstwo Równości, przez co, jak pisze dziennik „El Mundo”, PSOE mogła stracić prawie milion głosów wśród mężczyzn. Dla ministerstwa równości Irene Montero nie było miejsca na żadnej liście partyjnej.

W sondażu z początku lipca dla dziennika „La Vanguardia” prowadzi PP (35 proc. poparcia) przed PSOE (28 proc.), a na trzecim miejscu plasują się – z podobnym poparciem rządu 13 proc. – skrajnie lewicowa Sumar (nowa partia Yolandy Díaza, która do wyborów idzie w koalicji z mniejszymi formacjami lewicowymi, w tym z dołączającą dziś partią Podemos, koalicjantem Sáncheza) i skrajnie prawicowa Vox. Gdyby taki był wynik, ludowcy nie uzyskaliby samodzielnej większości – aby rządzić, byłiby zdani na współpracę z Vox.

Na wyniki trzeba będzie być może poczekać. Wybory są w środku wakacji i nawet kilka milionów z 35 mln uprawnionych może oddać głos listownie. ©

Orkady, wyspy szczęśliwe

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Na archipelagu u północnych brzegów Szkocji dyskutuje się o secesji. Jednak orxit – opuszczenie Wielkiej Brytanii przez Orkady – jest mało realny.

OROZJUSZ, HISTORYK Z V WIEKU, PISAŁ: „Za Brytanią, gdzie bezkresny ocean się otwiera, leżą Orkady”. Dziś powiemy, że to 40 minut promem z John o’Groats w północnej Szkocji. Tyle trwa podróż do Burwick, najbliższego portu położonego na wyspie South Ronaldsay, oddalonego od szkockich wybrzeży tylko o siedem mil. W pogodny dzień brzegi orkadiańskiej wyspy Hoy widać gołym okiem z Dunnet Head, najbardziej wysuniętego na północ punktu „stałego lądu”.

Orkady – archipelag 70 wysp, z których 20 jest zamieszkałych przez 22 tys. ludzi – często pojawiają się w czołówce zestawień najszczęśliwszych miejsc w Zjednoczonym Królestwie. Przyciągają tu niska przestępczość i bezrobocie, niewygórowane ceny domów, przestrzeń i krajobrazy. Choć nie każdy odnajdzie się na wyspach, gdzie hula wiatr i niemal nie ma drzew, a każda dostawa ze stałego lądu trwa dłużej i kosztuje więcej.

BYĆ JAK JERSEY | Jednak na początku lipca Orkady znalazły się w centrum uwagi z innego powodu niż ranking szczęśliwości: samorządowcy z Rady Orkadów postanowili rozważyć możliwości zmiany statusu wysp, biorąc też pod uwagę „nordyckie powiązania” (*nordic connections*). Przed wiekami Orkady rzeczywiście należały do Norwegii i Danii. Jednak wizja orxitu jest tyleż medialna, co mało realna.

We wniosku przedstawionym przez Jamesa Stockana, przewodniczącego Rady Orkadów, wymienione są też inne opcje:

model brytyjskich terytoriów zależnych (jak wyspy Man i Jersey) albo terytoriów zamorskich (jak Falklandy). Wniosek poparło 15 radnych, przeciw było sześciu.

Nie stoi za nim jednak poryw lokalnego patriotyzmu, ale pragmatyzm: chodzi o to, by zapewnić wyspom „większe bezpieczeństwo fiskalne i możliwości gospodarcze”. Stockan podkreślał, że Orkady otrzymują mniejsze fundusze w przeliczeniu na mieszkańca niż inne wyspy północne, Szetlandy czy Hebridy, a dywidendy z wydobywania ropy w Morzu Północnym są niewystarczające.

Orkady od dłuższego czasu zabiegają o większy wpływ na gospodarowanie swoimi zasobami, w tym dnem morskim wokół wysp. Dałoby im to kontrolę nad inwestycjami w akwakulturę czy odnawialne źródła energii, jak farmy wiatrowe. Obecna sytuacja nie jest przy tym czymś nowym – poprzednio radni zajmowali się podobnym wnioskiem dotyczącym statusu wyspy w 2017 r. Wtedy poparli możliwość autonomii, ale nie niepodległości.

NASZE WYSPY | W 2013 r. Orkadyjczycy zawiązali wraz z sąsiednimi Szetlandami oraz Hebrydami Zewnętrzny sojusz i rozpoczęli wspólną kampanię „Nasze Wyspy Nasza Przyszłość” („Our Islands Our Future”). Data jest tu istotna: impulsem było ogłoszenie referendum w sprawie niepodległości Szkocji, które miało się odbyć rok później.

– Tamta kampania była sukcesem – mówi „Tygodnikowi” prof. James

Mitchell z Uniwersytetu w Edynburgu. – Z powodzeniem wykorzystano wtedy nadchodzące referendum, by rozegrać dwie wizje przeciwko sobie. Rządy Szkocji i Wielkiej Brytanii zareagowały i poszły na ustępstwa.

Szkocki parlament przyjął w 2018 r. Ustawę o Wyspach, która zobowiązuje władze centralne, by mocniej wspierały wyspiarskie społeczności i brały pod uwagę ich wyjątkowe położenie przy podejmowaniu decyzji. Zgodzono się też, że władze lokalne mogą wnioskować o przekazanie im części uprawnień, dotyczących zarządzania wodami wokół wysp.

Samorządowcy z Orkadów – a także Szetlandów, które podobną dyskusję o swoim statusie odbyły w 2020 r. – uważają jednak, że te ustalenia nie zmieniły wystarczająco ich sytuacji.

SILNIEJSZY GŁOS | Prof. Mitchell podkreśla, że kampania „Nasze Wyspy Nasza Przyszłość” dała Orkadom głos. On może być zagłuszany przez inne, głośniejsze czy bardziej centralne, ale to i tak lepsze niż brak głosu. – Wtedy wyspy zostały zauważone z powodu referendum. Teraz to trudniejsze. Jednak wspomnienie o Norwegii z pewnością przyciągnęło uwagę do Orkadów, choć wątpię, aby była to poważna propozycja. Również dlatego, że musiałyby zgodzić się na to Norwegia. Niemniej Orkady trafiły do głównego wydania wiadomości, a to już sukces – mówi Mitchell.

Co istotne, Orkadyjczycy odnoszą się sceptycznie do szkockich dążeń niepod-



IAN RUTHERFORD / ALAMY / B&W



Port w Stromness, Orkady, 2022 r.

ległościowych. W 2014 r. w referendum aż 67 proc. głosów na Orkadach oddano za pozostaniem Szkocji w Wielkiej Brytanii – znacznie więcej niż średnia krajowa (55 proc.). Z kolei szkocki rząd sceptycznie patrzy na pomysły poluzowania związków Orkadów z Edynburgiem.

Wracając do obecnych działań orkadyjskich radnych: wywołana do tablicy, norweska ambasada stwierdziła dyplomatycznie, że to wewnętrzna sprawa Wielkiej Brytanii i Norwegii nie mają „żadnego poglądu” odnośnie do wniosku Rady Orkadów. Jednak, jak podkreślał przed głosowaniem radny Stockan, „nie chodzi o przyłączenie się do Norwegii”, lecz o to, by wyspiarze byli traktowani przez rządy centralne z pełną powagą.

– Nie ma idealnego modelu rządzenia, ale rozpoznanie odrębnego statusu wysp to pierwszy ważny krok – mówi Mitchell. – I rząd brytyjski, i rząd szkocki są centralistyczne i nie doceniają różnorodności. Oba zmniejszyły finansową autonomię i dotacje dla władz lokalnych. To nie nowy trend, ale w ostatnich latach się nasilił.

Rzeczywiście ze względu na położenie i demografię szkockie wyspy mają szczególne potrzeby, ale te zbyt rzadko są dostrzegane z gabinetów w Edynburgu i Londynie.

HISTORIA JEDNEGO DŁUGU | Przywołanie „nordyckich powiązań” miało tylko zwrócić uwagę na problemy wyspiarzy. Ale faktem jest, że z Orkadów – nie mówiąc już o Szetlandach – rzeczywiście bli-

żej do norweskiego Oslo niż do Londynu. Śladów nordyckich, kulturowych i materialnych, jest też na wyspach mnóstwo.

Wikingowie władali archipelagiem od końca VIII aż do XV w. Nie ma pewnością, w jaki sposób zniknęli stąd rdzenni mieszkańcy, zapewne Piktowie – w każdym razie nordyccy przybysze zagospodarowali wyspy, wprowadzili swoje prawa i język. Tak rozpoczął się kilkusetletni okres w historii Orkadów określany czasami przez mieszkańców jako „złota era” – to też jeden z przykładów na żywy nordycki sentyment, zakorzeniony w upięk-szonej i romantycznej wizji wikingów.

W 1469 r. Orkady oraz Szetlandy zostały przekazane Szkocji jako zabezpieczenie posagu ślubnego księżniczki Małgorzaty, córki władcy Danii i Norwegii Chrystiana I, która poślubiła króla Szkocji. Posag miał wynieść 60 tys. florenów, z czego Orkady wyceniono na 50 tys. Resztę król miał nadzieję pokryć w gotówce, ale udało mu się zebrać tylko dwa tysiące i w rezultacie dorzucił jeszcze do zastawu Szetlandy.

Czasy były jednak trudne, sytuacja finansowa Chrystiana I nie poprawiła się i w 1472 r. wyspy stały się częścią królestwa Szkotów. W kolejnych stuleciach nie tylko rządili oni Orkadami, ale też się tam osiedlali, wprowadzając swoje zwyczaje, prawa i język. A kiedy w 1707 r. Szkocja przystąpiła do unii z Anglią, Orkady stały się częścią Królestwa Wielkiej Brytanii. Po wikingach pozostała „Saga o Orkadach” oraz katedra św. Magnusa z XII w.

MIJSCOWI I PRZYBYSZE | Pozostało też trochę słów. – Ze staronordyjskiego języka zachowały się niektóre wyrazy, np. „gouster”, co oznacza silny podmuch wiatru, a także nazwy miejsc, np. wyspy Westray, Eday, Stronsay, Sanday. Końcówka „ay” pochodzi z nordyjskiego i oznaczała właśnie „wyspę” – opowiada „Tygodnikowi” dr Tom Rendall, specjalista od dialektu orkadyjskiego, związany z Muzeum Orkadów.

– Dziś dialekt orkadyjski się zmienia, bo osiedlają się tu ludzie spoza wysp. Wciąż jednak się nim mówi, i to nawet w grupie ludzi młodych, tych 16-, 25-letnich – dodaje Rendall.

Tom Rendall urodził się i wychował na farmie na wyspie Sanday. – Wiele się od

tego czasu na Orkadach zmieniło. Dość powiedzieć, że wtedy nie mieliśmy nawet elektryczności, a dziś rano brałem udział w konferencji online w Brukseli – uśmiecha się Rendall. – Oceniam, że na mojej rodzinnej wyspie 60 proc. mieszkańców to rodziny żyjące tam od pokoleń, a 40 proc. to osoby przybyłe spoza Orkadów. Na całych Orkadach proporcje będą podobne. Ale dla nas to dobrze, gdy osiedlają się tu ludzie młodzi, młode rodziny.

Skoro jednak obecność przybyszów wpływa na dialekt, to co z orkadyjską tożsamością? – Podstawą jest oczywiście język. Ale to też coś więcej: to sposób życia charakterystyczny dla tych wysp. Podstawą jest wzajemne zaufanie i współpraca – mówi Rendall. – Ludzie pozdrawiają się tu na ulicy, a to coś, czego nie zobaczy się w Glasgow czy Edynburgu.

– W Kirkwall, naszym największym mieście, mieszka kilka tysięcy ludzi, więc nie mogę znać wszystkich. Ale na mojej rodzinnej Sanday znałem prawie wszystkich. Tu po prostu nie można żyć jak pustelnik, nie żyje się z ludźmi i przybysze szybko to rozumieją. Choć np. zwyczaj wieczornych spotkań i snucia opowieści o fokach i trows już osłabł... A właśnie, skoro mówimy o wpływach nordyckich: trow to norweski troll – dodaje Rendall.

BRYTYJCZYKOM WSZYSTKO JEDNO | Jeśli przyjmiemy, że wniosek Rady Orkadów w sprawie statusu wysp miał zainteresować polityków w Edynburgu i Londynie archipelagiem, to być może się udało. Jednak gdy idzie o resztę Brytyjczyków, ich zainteresowanie Orkadami jest małe. W sondażu YouGov, prowadzonym już po rewolucyjnych zapowiedziach wyspiarzy, aż 39 proc. ankietowanych – pytanych, co powinno się stać z archipelagiem w takiej sytuacji – odpowiedziało: „Nie wiem”. Kolejne 37 proc. chciałoby Orkady zatrzymać w Zjednoczonym Królestwie, a 17 proc. uważa, iż status terytorium zależnego to dobre rozwiązanie. Co ciekawe: 6 proc. byłoby skłonne oddać Orkady Norwegom. Jednocześnie ponad połowa, bo aż 54 proc. Brytyjczyków, deklaruje, że secesja wysp byłaby im całkowicie obojętna.

Wygląda na to, że nawet utrata na prawdę odległych Falklandów, o które Brytyjczycy stoczyli w 1982 r. wojnę z Argentyną, zdenerwowałaby ich znacznie bardziej. Nie mówiąc już o wybicciu się na niepodległość przez Szkocję. ©



MONEY SHARMA / AFP / EAST NEWS

Dekadę po brutalnym gwałcie i morderstwie 23-letniej dziewczyny w autobusie nadal wiele kobiet w Indiach boi się jeździć nocą komunikacją miejską. Delhi, 13 grudnia 2022 r.

Larki znaczy przekleństwo

MAREK RABIJ

Najludniejszy kraj świata, a wkrótce też trzecia gospodarka globu wciąż szuka sposobu na powstrzymanie fali przemocy wobec kobiet. W Indiach co 16 minut dochodzi do gwałtu.

MIESZKANIE NUMER DWADZIEŚCIA w Domu Mandali opodal bazy wojskowej w Barrackpore wyglądało na miejsce suto zakrapianej imprezy. Na stole stały jeszcze szklanki z niedopitym alkoholem. Po podłodze walały się puszki po napojach i puste butelki whisky, pobrudzone resztkami jedzenia i zmieszane z rzeczami, które ktoś powyrzucał z szafy.

Zwłoki denatki wisiały w kącie pokoju, na sznurze ukłętym z fragmentu sari, które indyjskie kobiety zakładają na ważne okazje. Obok, na skraju łóżka, leżała kartka. Trzy linijki pisma w alfabecie bengalskim, zadziwiająco starannego jak na kogoś, kto za chwilę targnie się na swoje życie. „Odczodzę ze śladami pobicia. Ktoś za to zapłaci”.

RZEKOME SAMOBÓJSTWO | Pradžnadipa Halder, bo tak nazywała się kobieta, miała 37 lat. Pracowała jako lekarka, choć jej największą pasją była publicystyka: pisywała do indyjskich gazet, miała też kanały w mediach społecznościowych, w których poruszała m.in. tematykę zdrowia kobiet i równouprawnienia.

Od kilku lat Pradžnadipa Halder żyła w nieformalnym związku z Koszikim Makiszirim, lekarzem wojskowym w bazie Barrackpore na przedmieściach Kalkuty. Obecnie – głównym podejrzanym w sprawie jej śmierci, która pod koniec czerwca wstrząsnęła Indiami.

Opinia publiczna żąda dokładnego zbadania okoliczności zgonu, który policja zakwalifikowała jako samobójstwo i zamierzała szybko sprawę zamknąć. W sieci mnożą się pytania o to, co naprawdę za-

szło pod numerem dwudziestym wieczorem 23 czerwca. Czy tylko zakrapiana alkoholem kłótnia kochanków z tragicznym finałem? A może – jak twierdzi część indyjskich mediów, powołując się na nieujawnione jeszcze materiały ze śledztwa – Makisziri tamtego wieczora zaprosił do siebie trzech znajomych z Bangladeszu, którzy razem z nim przez kilka godzin gwałcili i maltretowali kobietę, doprowadzając ją aż do samobójstwa?

Jeśli Pradžnadipę Halder faktycznie spotkał taki los, szokujące dla indyjskiej opinii publicznej będzie tylko jedno: że tym razem padło na wykształconą przedstawicielkę klasy średniej.

ZDERZENIE ŚWIATÓW | W roku 2021 – jak podało niedawno indyjskie Narodowe Biuro Danych Kryminalnych – w kraju doszło do ponad 428 tys. aktów przemocy wobec kobiet. Rok wcześniej było ich o 15,3 proc. mniej, ale na przestrzeni dekad przybyło ich aż o 87 proc. Czy to dowód, że dzięki zmianom mentalności indyjskie kobiety coraz częściej zgłaszają policji przestępstwa, które wcześniej, zgodnie z tamtejszą tradycją kulturową, traktowały jak uciążliwą część codzienności? Czy przeciwnie – to transformacja, jakiej doświadczają w ostatnich latach szybko bogacące i modernizujące się Indie, prowadzi do wzrostu agresji wobec kobiet?

Obie hipotezy wydają się trafne, z tą różnicą, że pierwsza odzwierciedla sytuację lepiej wykształconych mieszkanki największych miast, a druga wciąż opisuje codzienność indyjskiej wsi.

Przywołane powyżej dane pokazują także, że do aktów przemocy – od napaśtowania na ulicy, przez gwałty, aż po tzw. morderstwa honorowe i zabójstwa dla posagu – statystycznie dochodzi dziś najczęściej w stanach Maharasztra, Uttar Prades i Radżastan, czyli w tych regionach kraju, które nie tylko należą do najzamożniejszych i najludniejszych, ale doświadczają też szybkiego rozwoju gospodarczego.

To tam ciągną masowo mieszkańcy biedniejszego wiejskiego północnego wschodu Indii, wraz ze swoimi tradycyjnymi wyobrażeniami o kobiecie nie tylko zobowiązanej do posłuszeństwa wobec mężczyzny, ale też zgodnie z hinduistyczną tradycją odpowiedzialnej za jego dobrostan, zdrowie, a nawet powodzenie w kolejnym życiu.

BEZ SKARGI | W badaniu przeprowadzonym w 2016 r. aż 65 proc. indyjskich mężczyzn zgodziło się z opinią, że dla dobra rodziny żona powinna bez skargi znosić akty przemocy ze strony męża. Tyle samo ankietowanych uznało, że kobiecie czasem po prostu należy się lanie. Cztery lata wcześniej w innym ogólnokrajowym badaniu 24 proc. pełnoletnich mężczyzn przyznało, że przynajmniej raz w życiu dopuściło się przemocy wobec kobiety.

Konfrontacja takich wyobrażeń z wielkomiejskimi realiami – oraz ze stylem życia młodego i wyemancypowanego pokolenia Indusek – czasem prowadzi do tragedii. W grudniu 2012 r. opinię publiczną wstrząsnął brutalny gwałt, jakiego na wracającej z kina studentce Dżoti Singh dopuściło się w nocnym autobusie sześciu młodych mężczyzn. Uznali oni, że kobieta bawiąca o tak późnej porze w mieście w towarzystwie młodego mężczyzny najwyraźniej musi szukać przygód.

23-letnia Dżoti Singh zmarła w szpitalu wskutek obrażeń wewnętrznych odniesionych m.in. od metalowego pręta, jakiego oprawcy użyli podczas gwałtu. Jej przyjaciel, pobity do nieprzytomności, został uratowany przez lekarzy.

W stolicy i w wielu innych miastach Indii doszło wtedy do zamieszek, których uczestnicy i uczestniczki domagali

się systemowych zmian w traktowaniu aktów przemocy wobec kobiet.

Czterech spośród sprawców gwałtu na Dżoti Singh skazano na karę śmierci (wyroki wykonano w marcu 2020 r.). Wstrząśnięte Bollywood zareagowało serią filmów mających nie tylko uczcić pamięć Dżoti, ale też zmienić stereotypowe wyobrażenia młodych Indusów o relacjach z płcią przeciwną.

Ponad dekadę później można już stwierdzić, że to nadal za mało. Korzenie problemu sięgają głębiej, aż do demografii.

CZERWONYM ATRAMENTEM | Według ostatniego spisu powszechnego z 2011 r. na każdych stu pełnoletnich Indusów przypadały w Indiach 94,3 kobiety (dla porównania: w Polsce w 2019 r. ten sam współczynnik wynosił 107, ale na korzyść kobiet). To pokłosie tradycyjnego przekonania, że posiadanie córki (w języku hindi: *larki*) wiąże się z perspektywą niemal pewnego zubożenia rodziny po ufundowaniu dziewczynnie posagu.

Kolejne rządy Indii robią, co mogą, by zatrzymać plagę aborcji żeńskich płodów i zabijania narodzonych już dziewczynek, co na terenach wiejskich nadal robi się trującymi jagodami lub pestycydami. Od 1996 r. indyjskie prawo zabrania lekarzowi – pod karą utraty prawa wykonywania zawodu – informować rodziców o płci nienarodzonego dziecka, ale przepis ten jest często łamany na wiele pomysłowych sposobów, rzecz jasna nie za darmo. Jednym z powszechnie stosowanych kodów jest wypisywanie przez lekarza kobiecie, która spodziewa się córki, recepty czerwonym atramentem.

Kampania rządowa przynosi jednak pierwsze efekty. Niedawny raport instytutu badawczego Pew Research pokazuje, że w ciągu dekady pomiędzy rokiem 2010 a 2020 parytet płci nowo narodzonych dzieci zaczął w Indiach wracać do stanu populacyjnej równowagi, który zdaniem demografów oscyluje na poziomie 105 chłopców na każde 100 dziewczynek. O ile w 2010 r. dysproporcja na korzyść chłopców osiągnęła w Indiach apogeum (111,2 chłopców na 100 dziewczynek), o tyle w ciągu dekady zmalała do 108,1.

DEMOGRAFIA ORAZ POLITYKA | Analiza krzywej pokazującej proporcje między płciami nowo narodzonych dzieci w In-

diach to zarazem dobra lekcja indyjskiej historii. Aż do początku lat 70. XX w. parytet ten oscylował na wspomnianym poziomie 105 chłopców na każde 100 dziewczynek. Był to również czas, kiedy Indie dostrzegły już zagrażającą im bombę demograficzną, a politycy cytowali słynny apel premiera Jawaharlala Nehru, który przekonywał rodaków, że wielkie i nowoczesne Indie mogą też oznaczać kraj liczący tylko 400 mln mieszkańców.

Problem w tym, że u progu lat 70. mieszkańców było już 557,5 mln, a dziesięć lat później populacja Indii otarła się o próg 700 mln mieszkańców, do tego bardzo młodych.

„Bomba” wybuchła, mimo że władze w New Delhi postuluły rewolucji obywatelskiej lat 60. uczyniły *de facto* filarem swojej polityki socjalnej. W 1971 r. Indie zalegalizowały aborcję. Rok wcześniej ruszył program badań prenatalnych, a na początku 1980 r. w placówkach medycznych pojawiły się pierwsze aparaty USG.

Indyjska demografia z ilości miała się przestawić na jakość – rosnąć miała nie tyle liczebność populacji, lecz długość i standard życia. W międzyczasie, w trakcie stanu wyjątkowego, w kraju ruszył program dobrowolnej sterylizacji mężczyzn, który okazał się jednak tragiczną parodią towarzyszących mu początkowo założeń. Władze kusily ochotników pieniędzmi i atrakcyjnymi nagrodami (jak radia tranzystorowe). Po latach okazało się, że z około 7 mln mężczyzn poddanych w tamtym okresie zabiegowi wazektomii spory odsetek stanowili biedacy i bezdomni, których policja i wojsko zwoziły do szpitali siłą.

■ ■ ■

Dziś awans na pierwsze miejsce listy najludniejszych krajów świata, jakiego doświadczyły w tym roku Indie, z punktu widzenia władz jest bardziej atutem niż problemem. Szybki przyrost naturalny napędza konsumpcję wewnętrzną i dostarcza krajowi taniej siły roboczej.

Z populacją liczącą już blisko półtora miliarda ludzi Indie pozostają jednak nadal chorym człowiekiem Azji. Dane z ostatniego spisu powszechnego pokazują to niezbiecie: na 100 indyjskich chłopców w wieku do 15. roku życia przypadały niespełna 92 dziewczynki.

©

POLITYCY I GANGSTERZY

20 lat temu, w lipcu 2003 r., polską polityką wstrząsnęła afera starachowicka – druga po sprawie Rywina afera polityczna tamtych lat, która przyczyniła się do upadku Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

GDY PATRZYMY DZIŚ NA TĘ HISTORIĘ, nasuwa się jeden wniosek: to wtedy politycy różnych partii nauczyli się, że nie opłaca się otwarcie wyjaśniać afer. To bowiem, przy mniejszych lub większych oporach, zrobił wtedy SLD – i wobec afery Rywina, i tej starachowickiej.

Na obu tych przykładach elity polityczne nauczyły się, że bardziej opłaca się zamykać sprawy pod dywan, zaprzeczać w żywe oczy, a do błędów przyznawać się dopiero, gdy nie ma już innego wyjścia. Czyli robić to, co partie rządzące robiły w późniejszych latach, a co perfekcyjnie zaczęło stosować PiS podczas swoich rządów po 2015 r.

Coś się dzieje na mieście

Wszystko zaczyna się 26 marca 2003 r. O dziesiątej rano do starosty starachowickiego Mieczysława Sławka dzwoni poseł SLD ze Starachowic Andrzej Jagiełło. Mówi, że podobno w mieście dzieją się jakieś złe rzeczy z przestępcami, i że wie o tym „od Sobotki”.

Telefon do starosty, który za chwilę zostanie aresztowany przez policyjne Centralne Biuro Śledcze wraz ze starachowickimi gangsterami, jest na podsłuchu. Policja nagrywa rozmowę. Potem podczas wielomiesięcznego śledztwa policjanci

ustalą, że wbrew temu, co mówił staroście, Jagiełło nie rozmawiał ze Zbigniewem Sobotką (wtedy wpływowym wiceministrem spraw wewnętrznych), lecz że podczas narady SLD dzień wcześniej rozmawiał tylko z liderem świętokrzyskiego SLD Henrykiem Długoszem.

Śledczy połączą fakt, że tenże Długosz podczas tej samej narady przed rozmową z Jagiełłą rozmawiał z Sobotką. Z kolei Sobotka nieco wcześniej dowiedział się o planowanej w Starachowicach akcji CBS od swego podwładnego, komendanta głównego policji Antoniego Kowalczyka. To stało się podstawą późniejszego skazania Sobotki, Długosza i Jagiełły, a także kilku procesów Kowalczyka, zakończonych uniewinnieniem go przez Sąd Najwyższy.

Układy z politykami

Starachowice na przełomie wieków XX i XXI to miasto-ofiara transformacji. Główny zakład, Fabryka Samochodów Ciężarowych, ma coraz większe problemy ze zbytem i co rusz zwalnia ludzi, co skutkuje wielkim bezrobociem. Rośnie przestępczość, miastem zaczynają rządzić gangsterzy. W przeciwieństwie do zwykłych ludzi mają pieniądze – na tyle duże, by załatwiać sobie przychyłność lokalnej policji, a nawet władz samorządowych.



DARIUSZ GACEK / REPORTER

Politycznie niemal całe Świętokrzyskie jest wówczas we władaniu SLD. Sojusz ma tu poparcie, bo ludzie z sentymentem myślą o PRL-u, gdy nie było bezrobocia, a starachowicka fabryka funkcjonowała bez problemów. Lokalni gangsterzy, jeśli chcą mieć układy z politykami, mu-



Posł Andrzej Jagiełło po przesłuchaniu w Prokuraturze Okręgowej w Kielcach. 6 lipca 2003 r.

szą wejść więc w bliskie relacje z miejscowym Sojuszem.

Gangsterzy na tyle rozwijają działalność (handel narkotykami i kradzionymi autami), że zwracają uwagę Centralnego Biura Śledczego – powołanego w 2000 r., by zwalczało przestępczość zorganizowaną.

Nie informując miejscowej policji, CBS kieruje do gangów starachowickich tzw. przykrywkowców. To oni byłiby najbardziej zagrożeni, gdyby informacja o akcji CBS dotarła do gangsterów – telefon Jagiełły do Sławka wystawia ich na olbrzymie ryzyko.

Na szczęście już po kilku godzinach od ich rozmowy gangsterzy są zatrzymani (zostaną potem skazani). Do aresztu trafiają też starosta i wiceprzewodniczący rady miasta Marek Basiak. Później usłyszą wyroki m.in. za wyłudzenie ubezpieczeń.

Przeciek prasowy i sejmowa debata

→ W skali ogólnopolskiej afery zostaje upubliczniona, gdy kilka miesięcy później, 4 lipca, dziennik „Rzeczpospolita” publikuje tekst Anny Marszałek „Poseł SLD ostrzegł o akcji policji”. Autorka ujawnia fakt telefonu Jagiełły i pisze, że źródłem przecieku mógł być nadzorujący policję wiceminister Sobotka. Po aferze Rywina i działalności komisji śledczej, która ją bada na oczach całego kraju, opinia publiczna jest wyczulona – sprawa odbija się szerokim echem. Opozycja – czyli PO i PiS, wtedy działające ramię w ramię – dostaje polityczny prezent.

Ujawnienie tej sprawy w gazecie ma na celu – w zamysłu osób z policji, które przekazały informację o niej do „Rzeczpospolitej” – niedopuszczenie do zamieszczenia jej pod dywan. Że takie ryzyko jest, dowodzi szef klubu PO Jan Rokita, gdy kilka dni później występuje w Sejmie podczas debaty zorganizowanej w związku z aferą starachowicką.

„Przez trzy i pół miesiąca minister sprawiedliwości i prokurator generalny nie zaangażował w tę sprawę najwyższych czynników prokuratury, nie wpłynął wniosek o uchylenie immunitetu pana posła Jagiełły, nic takiego nie stało się przez trzy i pół miesiąca. A od publikacji w dniu 4 lipca minęło sześć dni i w ciągu tych sześciu dni wszystkie te rzeczy się stały. Inaczej się dzieje, jak coś jest napisane w gazetach, a inaczej, jak czegoś nie ma w gazetach” – mówi w Sejmie Rokita. Przemysław Gosiewski z PiS przekonuje, że „afery starachowicka jak w soczewce pokazała ciężki kryzys rządów SLD w Polsce”.

Liderzy SLD bronią się, że nie ma tu analogii do afery Rywina, bo władze od początku podeszły do sprawy z powagą. Podczas debaty minister sprawiedliwości i prokurator generalny Grzegorz Kurczuk informuje, że prokuratura już w kwietniu wszczęła śledztwo z urzędu.

Szef MSWiA Krzysztof Janik dodaje, że już 27 marca komendant główny policji informował go o przecieku, i że 2 kwietnia wraz z Sobotką zlecieli przekazanie akt sprawy prokuraturze. Kurczuk twierdzi też, że Sobotka nie mógł być źródłem przecieku, bo nie znał szczegółów sprawy.

Premier Leszek Miller przekonuje, że „publikacja [„Rzeczpospolitej” – red.] nie wywołała tego postępowania, a jedynie je upubliczniła”.

Łaska prezydenta Kwaśniewskiego

Przez kolejne miesiące temat nie schodzi z czołówek mediów i ma kilka momentów zwrotnych.

W październiku 2003 r. media podają, że komendant Kowalczyk zmienił swoje zeznania i przypomniał sobie, że jednak rozmawiał z Sobotką o kieleckiej akcji CBS (wcześniej temu zaprzeczał). Wola komendanta podważa wiarygodność Sobotki, który cały czas zapewnia, że o przecieku dowiedział się dopiero 27 marca. Gdy prokuratura zwraca się o uchylenie Sobotce immunitetu, ten podaje się do dysmisji ze stanowiska wiceszefa MSWiA.

W końcu prokuratura stawia Sobotce, Długoszowi i Jagiellę zarzuty dotyczące przecieku. Najpoważniejsze Sobotce: ujawnienia tajemnicy państwowej i służbowej, podczas gdy Długosz i Jagiełło mają jedynie zarzut utrudniania postępowania.

W styczniu 2005 r. sąd w Kielcach wydaje wyrok: nie tylko zgadza się w pełni z prokuraturą, ale orzeka wobec Sobotki wyrok wyższy, niż żądał prokurator – trzy i pół roku więzienia. Długosz otrzymuje karę dwa i pół roku, Jagiełło półtora roku. „Jestem niewinny i myślę, że z tego wyroku będzie się ktoś jeszcze tłumaczyć” – komentuje poruszony Sobotka.

Jednak w listopadzie 2005 r. Sąd Apelacyjny potwierdza wyrok Sobotki, obniżając o pół roku kary Długosza i Jagiełły. W ostatnim akcie na scenę wchodzi prezydent Aleksander Kwaśniewski: w grudniu 2005 r., pod koniec swojej drugiej kadencji, obejmuje Sobotkę aktem łaski, zamieniając mu wyrok bezwzględnego więzienia na rok w zawieszeniu.

Kto był źródłem przecieku

Tyle fakty. Sprawa ma też od początku pewien aspekt, który po 20 latach jest lepiej widoczny.

Największy dysonans występuje wtedy między opinią o Sobotce w bliskich mu kręgach (gdzie uważa się go za człowieka krystalicznie uczciwego) a zarzutami prokuratury i wyrokami sądów. Brak wiary w winę Sobotki u wielu tych, którzy go znali, to powtarzający się element sprawy. Jego współpracownicy wska-

zują, że Sobotka był z MSW związany od 1994 r. i nie było wobec niego nigdy zarzutów o niedyskrecję – choć okazji, by dokonać przecieków w interesie kolegów z SLD, miał wiele. Uchodził on za milczka, który nawet tego, co powinien, często nie mówił zwierzchnikom. Jest niemal niemożliwe, by o akcji CBS powiedział komuś takiemu jak Długosz – można dziś jeszcze usłyszeć od jego dawnych kolegów z SLD.

Prokuratura i sąd opierały się na poszlakach: na tym, że Jagiełło wymieniał Sobotkę w rozmowie ze Sławkiem (twierdził potem, że to był błąd), a Długosz rozmawiał z nim na naradzie SLD (twierdził, że o straży pożarnej). A także na tym, że Jagiełło powtórzył ten sam błąd, który był w raporcie CBS dla Kowalczyka – że zatrzymanych ma być 28 osób (samorządowców i gangsterów), a nie, jak w rzeczywistych planach, 27. Kowalczyk przyznał wprawdzie, że z Sobotką rozmawiał tylko ogólnie (że dobrze, iż zmieniono szefa kieleckiego oddziału CBS, bo odtań „ma ono sukcesy”). Ale te okoliczności i łańcuch poszlak wystarczyły prokuraturze i sądom kolejnych instancji.

Jedna z osób wówczas zaangażowanych w sprawę przyznaje jednak, że Sobotka nie musiał być źródłem przecieku, i że mógł on wyjść np. z kieleckiej policji, która mogła dać cynk Długoszowi, lokalnemu baronowi SLD. Prokuratura nie zbadała dokładnie tego wątku – mówi dziś ta osoba.

SLD pod lupą

Na to, jak afery została rozegrana, wpływ miała atmosfera w kraju. Po sprawie Rywina rządzący SLD był na cenzurowanym. Uchodził za partię podatną na afery, media co rusz donosiły o łamaniu ustawy antykorupcyjnej przez osoby związane z rządem i SLD, a także o innych pomniejszych aferach.

Nie bez znaczenia była postawa ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Grzegorza Kurczuka. Choć sam poseł i polityk Sojuszu, był bezwzględny dla przestępców z SLD. – Kurczuk miał kompleks afery Rywina, bo ciągle ktoś mu wypominał, że nie wszczął w tej sprawie na czas postępowania. Postanowił odegrać się przy okazji afery starachowickiej i za wszelką cenę wykazać, że nie chroni partyjnych kolegów – mówi jedna z osób zaangażowanych w tamte wydarzenia. Podobną motywację, twierdzą uczestnicy



PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Podczas procesu oskarżonych w aferze starachowickiej, od lewej: Andrzej Jagiełło, Henryk Długosz, Zbigniew Sobotka. Sąd Okręgowy w Kielcach, 17 stycznia 2005 r.

wydarzeń, mógł mieć zastępca prokuratora generalnego Kazimierz Olejnik, który był gwiazdą ówczesnej prokuratury i istotnym rozgrywającym w sprawie starachowickiej.

Kurczuk zapewnia dziś, że nie ingerował w śledztwo prokuratury i zajmował się sprawą o tyle, o ile musiał np. referować ją w Sejmie. Pytany, czy wierzy, że Sobotka dopuścił się przecieku, odpowiada: – Tak rozstrzygnął sąd, który wziął to na swoje sumienie.

Sądom musiała udzielić się ogólna atmosfera, skoro zapadły, zwłaszcza w przypadku Sobotki, takie wyroki. – Zadziałał częsty mechanizm w wymiarze sprawiedliwości, znany choćby ze sprawy Tomasza Komendy. Jak mamy nawet śladowe materiały, które pozwalają skazać człowieka, to go skazujemy, żeby mieć sprawę zamkniętą i odhaczoną. Zwłaszcza jeśli dotyczy historii, która bulwersuje opinię publiczną. To, że prawda może być inna, nikogo za bardzo nie interesuje, zwłaszcza jeśli dochodzenie do niej jest utrudnione i nie pozwala na szybki i spektakularny sukces – mówi osoba związana z wymiarem sprawiedliwości. – Choć trudno przesądzić, czy akurat tak było w tym przypadku – zastrzega się.

Później

Jakie były dalsze losy uczestników tej afery? Jagiełło i Długosz w lutym 2006 r. trafili do więzień – pierwszy w Radomiu, drugi w Nowej Hucie. Już w październiku opuścili je, z tym że Jagiełło do niego już nie wrócił, a Długosz otrzymał zgodę na przerwę w odbywaniu

kary z powodów zdrowotnych. Wrócił na krótko do półotwartego zakładu karnego w Nowej Hucie w lipcu 2007 r., by w październiku definitywnie go opuścić.

Obaj próbowali potem wrócić do działalności publicznej. W 2013 r. Długosz został przez jedno z kół w Kielcach przywrócony do SLD, ale wyższe instancje partyjne to podważyły. Jagiełło zaczął działać w ruchu emeryckim, a w 2014 r. kandydował w wyborach samorządowych w świętokrzyskiej gminie Brody, lecz dostał tylko 7 proc. głosów.

Sobotka zniknął z polityki. Podjął pracę w jednej z firm należących do przedsiębiorcy Józefa Wojciechowskiego, która jednak popadła w kłopoty. Dziś nadal nie chce rozmawiać z mediami.

Poza polityką jest Kurczuk, który, jak przyznaje, jest tylko zwykłym członkiem Nowej Lewicy. – Starej żony się nie zostawia – mówi. Jego zastępca Olejnik, zwany „polskim Falcone”, w 2005 r. miał wypadek samochodowy. Potem wrócił do prokuratury, ale na niższe stanowiska. Poza polityką jest Janik; zajmuje się pracą naukową.

Lekcja ze Starachowic

Afera miała poważne skutki dla życia politycznego: nauczyła jego uczestników, że nie opłaca się wyjaśniać afer, bo tylko się na tym traci. Dzisiejsi partyjni specje od PR-u pewnie umarliby ze śmiechu, widząc ówczesne postępowanie SLD.

W późniejszych latach partie rządzące już nie pozwalały sobie na transparentność – choć jeszcze w czasach pierwszych rządów PiS (2005-07), w aferze gruntowej, gdzie istotą też był przeciek, PiS poświe-

ciło szefa MSWiA Janusza Kaczmarka (był on jednak spoza politycznego jądra tej formacji). Inaczej było później w przypadku skazanych za sprokurowanie teże afery gruntowej szefów CBA Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – zostali ulaskawieni przez prezydenta Andrzeja Dudę po wygranych przez PiS wyborach parlamentarnych w 2015 r., jeszcze przed uprawomocnieniem się ich wyroku.

W czasach swoich rządów Platforma musiała borykać się zwłaszcza z aferą hazardową z jesieni 2009 r. Politycznie zapłacił za nią najbardziej obciążony szef klubu PO Zbigniew Chlebowski. Ówczesny premier Tusk zwolnił też kilku współpracowników, na czele z szefem MSWiA Grzegorzem Schetyną. Jednak nad pracami sejmowej komisji śledczej, która badała tę sprawę, Platforma zachowała pełną kontrolę – inaczej niż SLD przy aferze Rywina.

Po 2015 r. PiS nie pozwalało już sobie na przyznawanie się do afer. Jednym z wyjątków była dymisja marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego w 2019 r., gdy okazało się, że używał rządowego samolotu do prywatnych celów. Tak nie było już w przypadku ministra Jacka Sasina, odpowiedzialnego za stratę kilkudziesięciu milionów złotych przy okazji niedoszłych tzw. wyborów kopertowych w 2020 r. Nikt nie odpowiedział za nadużywanie oprogramowania Pegasus do śledzenia opozycji, a minister Przemysław Czarnek zignorował zarzuty o nietransparentne wydanie publicznych środków. To niektóre z licznych spraw.

Na gorsze

Inaczej działają dziś też media, zwłaszcza publiczne. W 2003 r. Telewizja Polska i Polskie Radio informowały o kolejnych etapach afery starachowickiej, choć kierowały nimi osoby związane z SLD. Wprawdzie różne wydarzenia z tego okresu były inaczej przedstawiane w mediach komercyjnych, a inaczej w publicznych – jednak gdy dziś ogląda się np. materiały z tych ostatnich na temat afery starachowickiej, można uznać je za rzetelne. Zwłaszcza w zestawieniu z obecną praktyką.

Przypomnienie afery starachowickiej pokazuje, jak w ciągu tych 20 lat zmieniła się polityka w Polsce. Z punktu widzenia interesu publicznego – niestety na gorsze.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Autor jest dziennikarzem PAP.



NAUKA

MENTALIŚCI

CHRIS I UTA FRITH, NEUROBIOLODZY:

Doskonale rozróżniamy śmiech spontaniczny i sztuczny.
Potrafimy określić, jak dobrze inne osoby z sobą współpracują,
tylko na podstawie tego, jak się śmieją.

MARIA HAWRANEK: Ile rewolucji w neuronauce Państwo przeżyli?

CHRIS FRITH: Technologicznych – mnóstwo. Dla nas najważniejsze były dwie zmiany, które doprowadziły do powstania nauki o poznaniu społecznym. Gdy zaczynaliśmy, psychologia polegała głównie na tym, by wprowadzić „podmiot” – czyli uczestniczkę lub uczestnika – do małego pokoiku, w którym przebywał w samotności, i powiedzieć mu, co ma robić. To dziwaczny i nienaturalny kontekst. Badacze zastanawiali się więc: dlaczego nie przeprowadzać eksperymentów wśród ludzi, którzy robią coś wspólnie? Oczywiście nie dotarliśmy jeszcze zbyt daleko, bo badamy tylko dwoje ludzi jednocześnie.

UTA FRITH: Ale to dopiero początek.

CHF: Ograniczeniem są koszty – teraz mamy dwa razy więcej badanych, a co będzie przy grupach pięcioosobowych?

Zatem pierwsza wielka zmiana – badanie ludzi współpracujących.

CHF: Współpracowałem z Bahadorem Bahramim, który wykazał, że ludzie w duecie są w stanie lepiej rozwiązywać proste problemy niż najlepsza z tych osób na własną rękę. Postawiło nas to przed pytaniem: czy nie powinniśmy badać interakcji społecznych?

A druga zmiana?

CHF: Jest również związana z sytuacją, kiedy zamykasz ludzi w małym pokoju i dajesz im polecenie do wykonania. Jak oni je rozumieją? Czy rzeczywiście robią to, o co ich poprosisz? W ten sposób zaczęliśmy brać pod uwagę to, co myśli uczestnik badania. Czy rozumie, o co go poprosiłeś? Czy oszukuje badacza? A w badaniach osób współpracujących zaczęliśmy stawiać pytanie: jaki jest ich cel? Czy chcą wykonać zadanie najlepiej, jak to możliwe? Czy może chcą mieć przyjemną interakcję z drugą osobą? Każdy z tych celów może doprowadzić do odmiennego rezultatu eksperymentu. Te dwie kwestie zmieniły nasz sposób uprawiania psychologii.

A z Pani perspektywy?

UF: Kiedy myślę o badaniach, których publikacja zmusiła badaczy do myślenia, przychodzi mi do głowy eksperyment z tzw. testem Sally-Anne. Jego schemat jest prosty – przedstawiamy osobom ba-

danym krótką historijkę. W pokoju są dwie dziewczynki, Sally ma koszyk, Anne – pudełko. Sally wkłada do koszyka lalkę i wychodzi z pokoju. Wtedy Anne bierze lalkę z koszyka i przekłada do swojego pudełka. W końcu Sally wraca do pokoju – gdzie będzie szukać swojej lalki? Kluczowe jest to, czy osoba badana zda sobie sprawę z tego, że Sally nie może wiedzieć, iż lalka została przełożona.

Nigdy wcześniej nie myśleliśmy, że potrzebna jest specjalna umiejętność, by myśleć o stanach mentalnych – one są w naszych głowach, zupełnie niewidzialne. A jednak potrafimy nimi zarządzać tak, by w ciągu milisekund przewidzieć, co druga osoba zaraz zrobi, jak się zachowa. Zastosowałam ten test w swoich badaniach nad osobami z autyzmem. Nazwaliśmy tę umiejętność mentalizacją – wcześniej nie było na nią słowa. Dzięki rozwojowi technik neuroobrazowania byliśmy w stanie zarejestrować, co dzieje się w mózgu, kiedy ludzie mentalizują, czyli próbują zinterpretować zachowania innych ludzi w kontekście intencjonalnych stanów umysłu: potrzeb, pragnień, uczuć, przekonań czy zamiarów.

Skąd pomysł, by opowiedzieć o tym w formie komiksu? „Two Heads” przybliży rozwój neuronauki, ale też Państwa biografie.

UF: Stworzyliśmy go jako eksperyment, by dotrzeć do większej publiczności z komunikatem o odkryciach w neuronauce z ostatnich dekad. Chcemy powiedzieć: „Jesteśmy na początku tej podróży i nie mamy żadnych prostych odpowiedzi, ale czy to nie fascynujące? Dołącz do nas! Może przeprowadzisz własne badania?”. Czy taki komunikat zadziała? Nie wiemy.

W komiksie podkreślają Państwo, że neuronauka od początku czerpała z badania osób, które miały nietypowe mózgi – np. z powodu wypadku, choroby czy zaburzeń rozwojowych. Jak bardzo zmieniła się neuronauka dzięki badaniom osób z autyzmem?

UF: Psychologowie zawsze koncentrowali się na zachowaniu, bo można je obserwować. Zdaliśmy sobie jednak sprawę, że stany mentalne, takie jak intencje, które powodują te zachowania, też są interesujące. Myślę, że to kluczowa zmiana podejścia wpływająca z badania autyzmu.

Nauka trochę podążyła za życiem, bo w naszych zwykłych interakcjach cały czas odnosimy się do stanów mentalnych. Nawet teraz – staram się wziąć pod uwagę to, co pani już wie, czego potrzebuje się dowiedzieć, i myślę o tym, co ciekawego mogę dodać.

CHF: A czy nie moglibyśmy powiedzieć, że badanie autyzmu i innych zaburzeń ujawnia, że bierzemy pewne skomplikowane zjawiska za coś oczywistego? Sądziłyśmy np., że komunikacja jest prosta – a kiedy natrafiamy na sytuację, gdy coś idzie nie tak, to nagle zastanawiamy się: jak my to właściwie robimy? To powinno być niemożliwe!

UF: Dokładnie! Jak możemy w ogóle myśleć o tych wszystkich przekonaniach, pragnieniach, życzeniach? Te słowa należą do naszego słownika i używamy ich cały czas.

Pani zasługi w badaniu autyzmu są ogromne. W komiksie mówi Pani jednak, że najważniejsze jest to, iż ludzie przestali szukać winnych.

UF: Nastąpiła ogromna zmiana w świadomości na temat autyzmu. Kiedy zaczynałam badania w latach 60., autyzm był zupełnie nieznanym i uważany za coś złego. Dziś każdy zna kogoś, kto jest w spektrum, i każdy sądzi, że wie, czym autyzm jest, co oczywiście nie jest uprawnione. Przed nami wciąż daleka droga do zrozumienia jego biologicznej natury.

CHF: Co ciekawe, badania nad mentalizacją sugerują, jak komunikować się z osobami autystycznymi – musisz w jasny sposób wyrażać, o co ci chodzi i jaki jest kontekst. Jest taki głupawy żart: jeśli chcesz być uprzejmy, to po angielsku powiesz: „Czy możesz podać mi sól?”. Oczywiście w ten sposób prosisz, by ktoś ci ją podał, a odpowiedź „tak”, której może udzielić osoba autystyczna, nie jest w tej sytuacji adekwatną reakcją. Wchodząc w interakcję z osobą autystyczną, możesz się zastanowić nad takimi niuansami językowymi.

UF: Dziś nauczyciele i rodzice mają możliwość lepiej rozumieć, dlaczego dzieci autystyczne mogą wpaść we wściekłość – a to z powodu absolutnej niemożności zrozumienia, czego się od nich oczekuje. Dorosli mogą tego uniknąć, jeśli będą bardziej konkretni. Bo kiedy pielęgniarka mówi: „Daj mi palec”, to dziecko autystyczne może zrozumieć, że ona ten

→ palec mu odbierze, a nie pobierze z niego krew. My nigdy byśmy nie pomyśleli o takiej możliwości! Trzeba dokładnie takie sytuacje tłumaczyć, podobnie jak relacje społeczne między bohaterami opowieści czytanej na lekcji, które neurotypowe dzieci łapią w lot.

Dowiedziałam się z Państwa książek, że nasze mózgi objawiają swoje społeczne oblicze bardzo wcześnie.

Np. już czteromiesięczne niemowlęta podążają za wzrokiem innych osób. Jesteśmy zaprogramowani do tego, by być społecznymi, czy się tego błąskawicznie uczymy?

UF: Prawdą jest jedno i drugie. Nie można polegać tylko na wrodzonych funkcjach mózgu. Potrzebna jest akulturacja, uczenie się przez bycie z innymi, adaptowanie i wykonywanie poleceń.

Mózgi osób autystycznych mają w tym obszarze trudniej pod każdym względem?

UF: Jest wiele przejawów uspołecznienia mózgu. Skłonność, by śledzić czyjś wzrok, występuje także u osób autystycznych, podobnie jak rozróżnianie na grupy własne i obce czy odczuwanie empatii. Trzeba więc sprecyzować, co rozumiemy pod pojęciem „uspołecznienia” – i to staraliśmy się w naszych badaniach robić. Jak odróżnić np. zarażanie się emocjami od kogoś od myślenia o tym, jak drugiej osobie pomóc, by przeszła przez stresujący moment? To zjawiska należące do różnych kategorii.

CHF: Trzeba też pamiętać o pewnym paradoksie – jeśli rzeczywiście czujesz ból i smutek innej osoby, i to uczucie cię opamiętuje, to nie będziesz specjalnie pomocny. Musimy rozróżniać między różnymi poziomami ludzkich interakcji.

Zaczęliśmy od kooperacji. Eksperymenty pokazują, że współpraca dwóch osób nie daje lepszych rezultatów w dwóch sytuacjach. Gdy jedna z tych osób jest wyraźnie lepsza od drugiej oraz gdy obie są słabe w ocenianiu swoich umiejętności. Jak sprawić, by interakcje między dwójką ludzi gwarantowały satysfakcję?

CHF: Po pierwsze trzeba wiedzieć, jak kompetentni są ludzie w wykonywaniu zadania. Problemy pojawiają się, gdy

ludzie sądzą, że są mądrzejsi albo lepsi w tym zadaniu niż w rzeczywistości. Dlatego potrzebna jest pewna kalibracja. Kiedy pracujesz w grupie, zaczynasz się orientować, że ta osoba jest dobra w A, ta w B, a tamta w C. Jeśli to rozumiemy, możemy dobrze wykorzystać różnice, które między nami są. Posiadanie różnych punktów widzenia też pomaga w rozwiązywaniu problemu. Jednak musimy skalibrować nasze kompetencje i nasz poziom pewności siebie. Musimy umieć ocenić nasze możliwości.

UF: To bardzo trudne, kiedy spotykasz nieznanego, np. w eksperymencie. Jakie założenia możesz poczynić? Jeśli znasz kogoś długo, masz z nim wiele doświadczeń, rzeczywiście możesz to skalibrować. Ważne, by w takich sytuacjach zadbać o to, żeby wszyscy mieli podobny poziom kompetencji.

Przy czym w grupach różniokowych w szkole czy przedszkolu – gdzie w oczywisty sposób dzieci nie mają tych samych kompetencji – ze współpracy czerpią wszyscy, każdy na innym poziomie.

CHF: Kiedy się komunikuję z kimś, kto ma mniejszy poziom kompetencji niż ja, np. z dzieckiem, i muszę mu wytłumaczyć coś trudnego, to w efekcie ja sam lepiej zaczynam rozumieć koncept, który tłumaczę. To jest zaleta tego typu interakcji. Z drugiej strony gramy często z wnućkami w różne gry. I w niektórych są od nas zdecydowanie lepsi, np. w „Memo”.

Piszą Państwo jasno: ludzie są nastawieni na kooperację. Chcemy raczej współpracować na rzecz grupy niż grać na siebie. Ale są i „pasażerowie na gapę”, ludzie dokonujący samolubnych wyborów. Kiedy mózg wchodzi w tryb „chcę najlepiej dla siebie”?

CHF: Mają na to wpływ proste kwestie, jak choćby anonimowość – bardziej prawdopodobne, że ludzie „pojadą na gapę”, jeśli nie można im przypisać ich zachowania. To powszechne zjawisko w internecie.

UF: Inna ważna rzecz to reputacja.

CHF: Jeśli ludzie zauważą, że dbasz wyłącznie o swój interes, to nie będą chcieli z tobą współpracować, a może nawet cię ukarać. Oczywiście anonimowość pozwala uniknąć złej reputacji.

UF: Wszystkie społeczeństwa stworzyły system sprawiedliwości, by panować nad tendencją do bycia samolubnym.

CHF: W idealnym scenariuszu pewne rzeczy stają się nawykiem. To, że przestrzegasz zasad społecznych i nie musisz nawet o tym myśleć. Sądzę, że w dużej mierze na tym polega wychowanie.

Przeglądają się Państwo także mechanizmom podziałów na grupę własną i obcą. Z jednej strony łatwo go dokonujemy, ale też nie tak trudno go przemodelować – np. usunąć efekt uprzedzenia rasowego w badaniu poprzez wcześniejsze rozegranie jakiejś gry opartej na rywalizacji w różnorodnych rasowo grupach. Czy takie metody mogą dać trwałe efekty?

UF: Nie da się tej tendencji do uprzedzeń wykorzenić, ale można z nią walczyć. Szczególnie jeśli dostrzegasz idące za tym zalety. Można to robić przez indywidualny kontakt.

CHF: Jeśli możesz ludzi z innej grupy zindywidualizować – wiesz, kim są, jacy są – to czyni wielką różnicę. Wielka Brytania jest dziwnym miejscem. Mamy premiera pochodzenia azjatyckiego mówiącego, że trzeba powstrzymać napływ imigrantów. Tworzy on nowy rodzaj grupy obcej. Z drugiej strony, gdy kilka lat temu mały chłopiec z jednej z imigranckich łódek został znaleziony na plaży, pojawił się na wszystkich stronach gazet i wszystkich przejęł, bo to była rzeczywista osoba o znanej twarzy.

UF: Ale trzeba podkreślić, że uprzedzenia to nie jest problem, który możemy pokonać. Zawsze będą tworzone nowe grupy obce.

CHF: Tym zajmują się politycy w dzisiejszych czasach – tworzeniem nowych grup obcych.

W poznaniu społecznym są też takie obszary badań, które mogą wydawać się mało poważne. Np. śmiech.

UF: To raczej nowy obszar badań. W kontekście autyzmu mogą się pojawić niespodzianki, bo wbrew dawniej panującemu przekonaniu osoby z autyzmem potrafią się śmiać we właściwych momentach w odpowiednim kontekście. Nie są pozbawione poczucia humoru.



RUSSELL SACH / ARCHIWUM PRYWATNE

CHRIS I UTA FRITHOWIE to nestorzy neuronauki, zwłaszcza jej społecznej odłogi. Emerytowani profesorowie University College London, członkowie prestiżowego Royal Society. Uta jest pionierką badań nad autyzmem i dysleksją oraz Damą Orderu Imperium Brytyjskiego, Chris wniósł wkład do wielu obszarów neuronauki, m.in. badań nad schizofrenią. Ich prace naukowe cytowane były przeszło 300 tys. razy. Jesienią w Wielkiej Brytanii ukaże się ich komiks „Two Heads” oraz książka „What Makes Us Social?”.

Na zdjęciu: w swoim domu w Londynie, październik 2022 r.

Śmiech to klej, który łączy ludzi ze sobą, również takich, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego, np. przedstawicieli grupy obcej i własnej. Jeśli mogą się ze sobą pośmiać, to dają potencjał na polubienie się i początek więzi.

CHF: Śmiech to świetny przykład zażyłości. Jeśli ktoś się śmieje, bardziej prawdopodobne, że i my będziemy się śmiać, podobnie jest z uśmiechaniem się czy ziewaniem.

Inny ciekawy obszar to badanie śmiechu spontanicznego i sztucznego. Ludzie potrafią je doskonale rozróżniać. Da się określić, jak dobrze ludzie ze sobą współpracują, na podstawie tego, jak się śmieją – potrafią to zrobić nawet osoby postronne. Śmiech daje zatem sygnały o tym, jak ludzie się ze sobą wiążą – czy naprawdę, czy nie. Śmiechu używa się w czasie konwersacji – osoba, która powiedziała coś, co mogło zabrzmieć agresywnie, śmieje się, żeby nie było wątpliwości co do jej intencji.

UF: To bardzo ciekawe, bo dzieje się podświadomie. Przysłuchujesz się takiej rozmowie i zastanawiasz się: dlaczego się ciągle śmieją?

CHF: A królową śmiechu jest nasza przyjaciółka Sophie Scott, która od lat prowadzi na ten temat badania.

Czyli śmiech daje wgląd w prawdziwe emocje.

CHF: Musimy nieustannie wypatrywać „pasażerów na gapę”, ludzi, którzy chcą nas oszukać lub wykorzystać – w tym

kontekście umiejętność rozróżniania szczerego śmiechu od fałszywego jest ogromnie pomocna.

UF: Dzięki neuroobrazowaniu wiemy, że gdy słyszysz sztuczny śmiech, w mózgu natychmiast uruchamia się obszar odpowiedzialny za mentalizację – zaczynasz się zastanawiać: dlaczego to robią? Nieintencjonalnie zwiększasz czujność, zakładasz, że za tym śmiechem stoi jakaś intencja. Śmiech spontaniczny nie uruchamia tego procesu.

Znalezienie sposobu na to, by ludzie szczerze się ze sobą pośmiali, mogłoby być początkiem pojednań naszych podzielonych społeczeństw?

UF: Tak! Chociażby wspólne oglądanie zabawnych filmów naturalnie doprowadziłoby do takiej sytuacji. Ale oczywiście możesz w sobie słumić tę naturalną tendencję do śmiechu, by pokazać, że nie jesteś taki jak „oni”.

Wobec tego nie ma prostej recepty. Czy to nie jest frustrujące? Komik-sowy Chris mówi, że całe życie poświęcili Państwo na zrozumienie spraw, których nikt nie rozumiał – i nadal niewiele się w tym zakresie zmieniło.

CHF: Chyba traktujemy to bardziej jako wyzwanie. Jesteśmy zaciekawieni tym, czego nie wiemy.

UF: To, co już poznaliśmy, jakby natychmiast znika i na to miejsce pojawiają się nowe pytania. Lubimy myśleć, że neu-

ronauka społeczna jest nową dziedziną i musi się rozwinąć. Potrzebne są nowe odkrycia. Jej złożoność wymaga zaangażowania wielu badaczy.

CHF: Ktoś mógłby pomyśleć, że ta złożoność jest czymś niefortunnym. Ale gdyby zjawiska z zakresu poznania społecznego były proste, to można by łatwo manipulować ludźmi. A przecież nie chcemy, by technologie mogły to robić.

UF: Można by pomyśleć: chcielibyśmy, żeby ludzie widzieli siebie jako jedną grupę, a nie grupy własne i obce. Ale jakie byłyby tego konsekwencje? Nie wiemy.

CHF: Z pewnością wzrosłaby liczba „pasażerów na gapę”. Bo w obrębie jednej grupy nie jesteś tak podejrzliwy, jak w przypadku grupy obcej.

Co czeka neuronaukę w następnych dekadach?

CHF: Wciąż myślę o metodologii. Niektórzy badacze umieszczają już dwoje ludzi w skanerach, by podglądać ich mózgi jednocześnie w czasie współpracy i zrozumieć, jak wchodzą ze sobą w interakcje. Ale są z tym dwa kłopoty. Pierwszy: w tradycyjnym skanerze nie możesz nic robić, bo leżysz bez ruchu. Jest jednak nowa technika: skaner można nosić na głowie, chodzić w nim i rozmawiać – badania z jej użyciem z pewnością będą się rozwijać. Drugi kłopot jednak pozostaje – jak u licha będziemy analizować zebrane dane? Myślę, że jeszcze nie ustalono, czego tak naprawdę badacze chcą się dowiedzieć. Bo odpowiedź na pytanie, →

→ czy aktywności mózgu się synchronizują, nie mówi chyba nic interesującego. W pewnym sensie do dalszych badań potrzebujemy teorii o tym, jak działa mózg.

UF: A to chwilę zajmie...

CHF: Ale sądzę, że się wydarzy. Choć pewnie nie za naszego życia.

Są Państwo spełnionymi naukowcami i spełnionym małżeństwem. Wzruszyło mnie, że mąż czyta Pani, gdy Pani leży w wannie. Czy Państwa wiedza o działaniu mózgów w relacjach międzyludzkich przydała się w życiu rodzinnym?

CHF: Mamy dwoje dzieci i absolutnie nie braliśmy pod uwagę ustaleń psychologii i neuronauki w ich wychowaniu. Kierowaliśmy się intuicją.

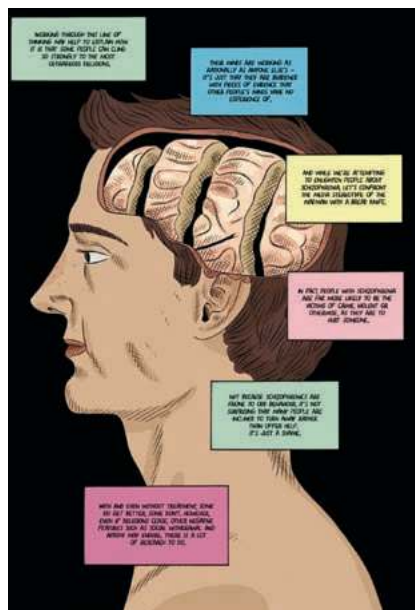
UF: Zdecydowanie!

CHF: Być może to jedna z przyczyn, dla których jedno z nich przeprowadziło się na Daleki Wschód.

Ale drugie pomogło napisać Państwu komiks. To ciekawe: psycholodzy, którzy nie psychologizują życia domowego. Dobra wiadomość dla pozostałych rodziców.

CHF: Jesteśmy świadomi skutków nadmiernego myślenia. Jeśli o czymś myślisz za dużo, prawdopodobnie postąpisz źle.

Z tym nadmiernym myśleniem w ogóle są same kłopoty. Przywołują Państwo badanie Davida Randa, z którego wynika, że jeśli zastanawiamy się dłużej nad podjęciem decyzji, to wybieramy bardziej samolubnie niż wtedy, gdybyśmy



Pacjenci ze schizofrenią myślą równie racjonalnie jak wszyscy, ale ich umysł podsuwa im doświadczenia, których inni ludzie nie przeżywają – przekonują Chris i Uta Frithowie w komiksie „Two Heads”.

decydowali szybko. Wiemy też, że jeśli zbyt dużo myślę o tym, co myśli druga osoba, również nie przynosi to dobrych rezultatów.

CHF: Z nadmiernym myśleniem są dwa problemy: stajemy się zbyt samolubni i skupiamy się na złych rzeczach. Intuicyjnie możemy wziąć pod uwagę dużą liczbę czynników naraz. Jak tylko zaczniesz się nad czymś zastanawiać, to zredukujesz liczbę czynników, a możesz przecież wybrać nieodpowiednie. I tak pojawiają się niezamierzone konsekwencje nadmiernego myślenia.

UF: Powinniśmy pewnie ostudzić zapał do wprowadzania w życie nowej wiedzy, jakkolwiek ekscytująca by się wydawała. Efekty zidentyfikowane przez psychologów nie mają zwykłe prostego przełożenia na nasze codzienne sytuacje.

Łatwo zresztą się w tym wszystkim pogubić. Wiemy, że debatowanie w różnorodnych grupach wpływa pozytywnie na podjęcie właściwej decyzji, ale też nie można przesadzać z długością namysłu. Jak określić tę odpowiednią ilość czasu?

CHF: Często określa ją sama sytuacja – w pewnym momencie na decyzję jest już za późno. Rozmawialiśmy o tym, jak dobrze jest pracować w różnorodnej pod każdym względem grupie, bo masz różne punkty widzenia, różną wiedzę, różne uprzedzenia i podejścia – i dobrze mieć taką miksturę. Ale niebezpieczeństwo polega na tym, że jeśli grupa pozostanie ze sobą dość długo, to upodobni się w myśleniu i cała ta zaleta różnorodności przepadnie. Pojawi się myślenie grupowe.

Pierwsza rada mogłaby więc być taka: nie przeznaczaj zbyt dużo czasu na podejmowanie decyzji – ale nie powiemy, ile dokładnie. A druga rada: zmieniaj ludzi w twojej grupie.

UF: Czyli nawiązuj nowe przyjaźnie.

CHF: Nawiązuj nowe przyjaźnie cały czas!

UF: Bądź życzliwy.

CHF: Lub udawaj.

UF: No chociaż udawaj!

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie pod syng. akt I Ns 224/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wandzie Skwierawskiej, zmarłej 7 stycznia 2008 r. w Kościerzynie, ostatnio stale zamieszkałej w Wielkim Kłinczu.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Anny Rogowskiej i Jadwigi Drązkowskiej, siostr spadkodawczyni, aby w terminie 6 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swoje prawa do spadku po Wandzie Skwierawskiej pod rygorem przeprowadzenia postępowania bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Rzeszowie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 1020/21 toczy się postępowanie w sprawie z wniosku Andrzeja Błażeja o zasiedzenie nieruchomości położonej w Rzeszowie, gm. Miasto Rzeszów, oznaczonej jako działka nr 1604 położonej w Rzeszowie, obr 223 Rzeszów Związczyca II, o pow. 0,0486 ha, powstałej ze zmiany oznaczenia działki nr 1068/25, dla której Sąd Rejonowy w Rzeszowie prowadzi księgę wieczystą o nr RZ1Z/00004633/0, w której jako właściciele wpisani są: Anna Głodowska, Jan Miąsik, Zofia Zarzeczna, Balbina Miąsik, Anna Głodowska oraz Władysław Miąsik, a której posiadaczem była Regina Błażej.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Rzeszowie i wykazali swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

TOMASZ

Stawiszyński: Czy nowi ateści się mylili?



MYLIŁIŚMY SIĘ – POWTARZA OD PEWNEGO czasu Peter Boghossian, amerykański filozof i jeden z ważnych przedstawicieli nurtu tzw. nowego ateizmu. Ważnych przedstawicieli, ale nie twórców. Ci ostatni – żyjący wciąż trzej „jeźdźcy ateistycznej apokalipsy”, czyli Richard Dawkins, Daniel Dennett i Sam Harris (czwarty, Christopher Hitchens, zmarł w 2011 r.) – nie przyłączają się wprawdzie do tej ekspiacji swojego kontynuatora, ale zarazem dzielają (zwłaszcza Harris i Dawkins) jego diagnozy dotyczące ślepych uliczek, w jakie zabrnęła dziś zaangażowana lewicowa humanistyka spod znaku polityk tożsamościowych. Dwa lata temu Boghossian opublikował głośny list otwarty, w którym tłumaczył, dlaczego odchodzi z akademii i porzuca intratną profesurę na Uniwersytecie Stanowym w Portland. Amerykańskie uczelnie – przekonywał – przestały być w ostatnich latach miejscem, w którym dochodzi się do prawdy za pośrednictwem swobodnej dyskusji prowadzonej pod rygorami racjonalności. Czyli zderza ze sobą rozmaite stanowiska i poglądy, a następnie przyjmuje te najlepiej uzasadnione i sprawdzone, nie zaś pieczołowicie bada, czy spełniają poprawnościowe standardy takiej albo innej ortodoksji, i automatycznie odrzuca te, które nie spełniają. Ponieważ coraz częściej zwycięża ta ostatnia formuła – twierdził Boghossian – amerykańskie uniwersytety, głównie, choć nie tylko, wydziały humanistyczne, zamieniają się w organizacje podporządkowane nie zdobywaniu wiedzy o świecie, lecz raczej realizacji określonego ideologicznego interesu.

Nie o politykach tożsamościowych oraz konflikcie, jaki narasta pomiędzy (już nie tak) nowymi ateistami a środowiskiem radykalnych lewicowych aktywistów chciałbym jednak napisać tu kilka słów (do tego tematu wrócę innym razem), ale właśnie o owym „myliliśmy się”, bo też ono wydaje mi się najciekawsze. A czego dotyczy? Otóż... religii. O tyle to zaskakujące, przyznajmy, o ile pada z ust zdeklarowanego ateisty, autora m.in. książki pod tytułem „A Manual for Creating Atheists” (w dosłownym tłumaczeniu: „Podręcznik tworzenia ateistów”; w Polsce ukazała się pod tytułem „Przewodnik dla ateistów”), błyskotliwej instrukcji debatowania z wierzącymi tak, żeby elegancko, skutecznie i trwale pozbawiać ich resztek wiary.

Powiedzmy od razu, że to *dictum* nie jest objawem nie spodziewanej konwersji u kogoś, kto wcześniej religię zapamiętał tępił (owszem, zdarzają się takie rzeczy, pamiętamy historię niejakiego Szawła). Boghossian pozostaje ateistą, racjonalistą i naturalistą przekonanym, że logika wyznacza ramy poprawnego rozumowania, metoda naukowa zaś jest najlepszym sposobem docierania do maksymalnie adekwatnego opisu rzeczywistości. Na czym zatem polegać miała „pomyłka”? Na złudzeniu – któremu

nowi ateści ulegli dwie dekady temu – że największym wrogiem racjonalnego myślenia, tamą przeciwstawiającą się powszechnej akceptacji poznawczego jedynowładztwa rozumu, jest chrześcijaństwo. I że kiedy tylko dokona się ostateczny „koniec chrześcijańskiego świata” – by posłużyć się frazą Chantal Delsol, o której pisałem przed kilkoma tygodniami – moc intelektu rozświetli mrok wszelkich irracjonalizmów i przesądów.

Tymczasem, powiada teraz Boghossian, chrześcijaństwo (nie w wydaniu fundamentalistycznym, rzecz jasna) faktycznie było tamą, ale nie tyle przeciwko rozumowi, ile przeciwko... irracjonalizmowi właśnie. Współczesna epidemia myślenia spiskowego i wojen tożsamościowych – które opierają się na dyskursach pozorujących racjonalność, ale tylko pozorujących – może się więc paradoksalnie wiązać z osłabieniem pozycji instytucjonalnego chrześcijaństwa. W jaki sposób? W taki mianowicie, że – po pierwsze – instytucjonalne chrześcijaństwo ściśle definiuje obszary *sacrum* i *profanum*, granice pomiędzy nimi są więc z grubsza jasne. Oczywiście, istnieją punkty przecięcia – najczęściej tam, gdzie dochodzi do kontrowersji etycznych – niemniej rozdział domeny świeckiej i świętej ułatwia klarowność dystynkcji. Po drugie – na podstawie tych granic instytucjonalne chrześcijaństwo efektywnie zagospodarowuje głębokie emocje i potrzeby, życiowe i metafizyczne, odpowiada na tęsknoty za sensem, poczuciem przynależności i tożsamości, przynosi godność, ukojenie i wytchnienie w czasach niepewności i lęku.

Kiedy zatem (z wielu przyczyn, również na własne życzenie) instytucjonalne chrześcijaństwo ulega demontażowi – zacierają się granice niegdyś wyraźne, potrzeby i lęki zaś poszukują ukojenia gdzieś indziej. Nauka go nie przyniesie, bo nie takie jest jej zadanie, nie ma też ku temu odpowiednich środków. Rozum – owszem, częściowo pomoże, ale rzecz wydarza się w dalece nierozumowych rewirach psychiki. I dlatego właśnie tak intensywnie rozwijają się dziś rozmaite jawne i niejawne substytuty religii, pseudonauki, teorie spiskowe i uwodzieńskie narracje polityczne. Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że wielkie instytucjonalne religie w trakcie długich lat swojego istnienia wypracowały skuteczne sposoby regulowania mechanizmów społecznych i zachowywania, nazwijmy to, poznawczej higieny. Teorie spiskowe natomiast wiodą nas w meandry nefalsyfikowalnych twierdzeń i permanentnej wzajemnej podejrzliwości. Słowem – prowadzą do coraz większych podziałów i eskalacji przemocy. Nie da się ukryć – brzmi to wszystko znajomo.

Ciekawe, że coś takiego mówi ktoś, kto jeszcze nie tak dawno zachęcał do konwersji na ateizm, nieprawdaz? Niezależnie od tego, czy się z nim zgadzamy, czy nie – z pewnością daje to (mnie w każdym razie) do myślenia. Dlatego na pewno jeszcze o tym na łamach „Tygodnika” napiszę. ©

ŻYCIE NAD NIAGARĄ

TOMASZ RÓŻYCKI, POETA:

Pisanie może być jak wywoływanie duchów. Żeby one się już tak nie męczyły. Zwalniam je z obowiązków i zaniechań. Mogą powiedzieć to, czego nie udało im się powiedzieć za życia.

URSZULA HONEK: Chodzi Pan pod blok, w którym się wychował?

TOMASZ RÓŻYCKI: Czasami. Ale był taki okres, że nie mogłem tam nawet podejść, wspomnienia były zbyt świeże. Potrzebowałem chyba przejść żałobę po śmierci moich rodziców.

Chłopiec, bohater Pana najnowszej powieści – „Złodziei żarówek” – często widzi neon z napisem „Radio i telewizja oknem na świat”. Co dla Pana było tym oknem?

Radio było podróżą przez różne częstotliwości. Można było przesuwac czerwona kreskę i łapać stacje, które stawały się obietnicą przystanku. Niektóre dźwięki były niewyraźne, inne zaś egzotyczne lub znajome. Zabawa polegała na próbie rozpoznania dźwięków albo wyobrażenia sobie, o czym głosy mogą mówić. Wszyscy wokół z wielką pasją zajmowali się wyszukiwaniem zagłuszanych audycji z Ameryki oraz Wolnej Europy i mnie, jako dziecko, również to fascynowało. Telewizja zaś była o tyle ciekawa, że pojawiały się w niej programy o zwierzętach. Można było przenieść się do krain, do których nie było dostępu, i zobaczyć chociażby lwa. W moim rodzinnym Opolu było zoo, ale nawet w dzieciństwie nie byłam jego miłośnikiem.

Zasmucało Pana?

Niemal wszystkie dzieci lubią patrzeć na zwierzęta i oczywiście ja też lubiłem, ale już wtedy zauważałem, że wilki były przynęty, a niektóre zwierzęta w ogóle nie wychodziły do ludzi. Mój dziadek zaraz po wojnie był

pracownikiem zoo i przynosił do domu różne zwierzęta, które wymagały rekonwalescencji. W związku z tym ojciec w dzieciństwie miał w swoim pokoju rozmaite okazy. Patrzyłem na jego zdjęcia z małym tygrysiem lub egzotycznymi ptakami, ale w dalszym ciągu nie znajdowałem w tym pocieszenia.

A w czym Pan znajdował?

W Opolu odbieraliśmy czeską telewizję. Może nie była lepsza od polskiej, ale pokazywali świetne bajki i wieczorynki, które były wyświetlane w innych godzinach niż nasze. Dzięki temu zawsze oglądało się dwa razy. Mieszkaliśmy na ostatnim piętrze dziesięciopiętrowego bloku i w pogodne dni widziałem pasmo gór po czeskiej stronie. Wyobrażałem sobie, że Krecik i Rumcajs właśnie tam mieszkają. Moja ciocia, jeszcze w głębokim PRL-u, pojechała do Kanady – miała tam rodzinę. Płynęła statkiem „Batory”, to była ogromna przygoda. Przywiozła mi parę komiksów z Kaczorem Donaldem i Psem Pluto, ale nie one rozpały moją wyobraźnię.

Co ją wtedy rozpało?

Folder turystyczny. Teraz wydaje mi się to zabawne, bo wrzuca się takie rzeczy do kosza, ale wówczas traktowałem go jak relikwię. Ten folder oferował wycieczkę nad Niagarę, wodospad sfotografowano z kilku stron, na zdjęciu był również kanadyjski policjant w czerwonym mundurze i kapeluszu. Wieczorami oglądałem ten katalog z wypiekami na twarzy.

Bohater Pana prozy czyta Heraklita.





GRZEGORZ MEHRING / MATERIAŁY PRASOWE

W dzieciństwie miałem szczęście, bo wujek udostępniał mi swoją bibliotekę. Były tam najróżniejsze książki: od filozofii po klasykę literatury światowej. Trudno powiedzieć, że zaczytywałem się wtedy w takiej literaturze, ale przeglądałem wszystko, fascynowała mnie ta biblioteka. Mimo że niewiele rozumiałem. To był raczej etap książek o Indianach, piratach i przygodach Tomka Wilmowskiego. Wyprawy do innego świata odbywały się jeszcze za sprawą pewexu. Wejście tam było estetycznym szokiem. Nie mówię tu o porażeniu pięknem, ale kolorami.

Coś Pan kupował?

Zazwyczaj tylko oglądałem. Moja babcia czasami składała pieniądze i kupowała bon do pewexu, za który mogłem wybrać najtańsze rzeczy. Były to miniatutki samochodów, tak zwane „żelazniaki”. Trochę ich miałem, bo dostałem też na komunie, wymieniałem się z kolegami. Najbardziej jednak zakochałem się w modelach do sklejania, a w szczególności w żaglowcach, które podziwiałem wymalowane na pudełkach. Tak samo duże wrażenie robiły na mnie pudełka puzzli i budziły dziwną tęsknotę; właściwie nie wiedziałem za czym.

Pewnie nie wiedzieli też o tym moi koledzy, gdy wpadli na pomysł, żeby napisać do producenta samochodów – Volkswagena lub Forda – z prośbą o najnowszy katalog. I kilku z nas go dostało. Wycinaliśmy z niego obrazki, wklejaliśmy do zeszytów podpisując, co to za model. Było jeszcze czasopismo „Burda”, bardzo popularne na Opolszczyźnie; wędrowało, wypożyczane, z domu do domu. Były w nim zdjęcia wykrojów ubrań, strojów kąpielowych i bielizny, co miało dla nas lekki podtekst erotyczny.

Dlatego wybrał Pan PRL jako tło dla opowieści w „Żłodziach...”?

Jest on raczej dekoracją, która w pewien sposób wpływa na opowieść. Postanowiłem, podobnie jak mój bohater, przejść przez piętra, klatki schodowe, strychy i opowiedzieć o rzeczach, zdarzeniach i ludziach. O PRL-u napisano już sporo, a moja książka nie jest przewodnikiem po nim. Może już nie trzeba pisać o kartkach na mięso? Uwzględniłem niektóre realia tego okresu, ale tylko po to, żeby młodszy czytelnicy mieli wyobrażenie, co to za czasy.

To jaka była metoda?

Starałem się jednak opowieść kierować w stronę wyobraźni, na zasadach, o których pisał Gombrowicz w „Dzienniku”. Czyli żeby →

→ wejść w sferę snu i pisać dwadzieścia stron, a później zobaczyć, co się z tego wyłania. Mnie natychmiast wyłoniło się dzieciństwo, które przypadło na okres PRL-u; przy tym zostałem. Książka jest pożegnaniem z tym dzieciństwem. A tak naprawdę pożegnaniem z kilkoma osobami, które, jak zwykle w moim pisaniu, z dzieciństwem są związane.

Dzieciństwo jest tak ważne?

Daje odświeżające spojrzenie i wolność w pisaniu. Przywraca do czasu, gdy jeszcze wszystko może się wydarzyć, a świat jest zaskakujący. Ma swoje ciemne strony i traumy, ale postawienie siebie na nowo w pewnych sytuacjach bywa też po prostu zabawne. Kiedy uda mi się bohatera powieści wprowadzić w ten stan zawieszenia i niewiadomego, jest to dla mnie samego wyzwaniem. Później, w dorosłości, człowiek nosi pancerz i ogląda świat przez okulary zanieczyszczone osadem zbieranym przez wiele lat. Bywa się nieco zbłaźnionym i zepsutym przez porażki. Wiele razy próbowaliśmy, lecz nie wyszło. Wiemy, że pewne rzeczy kończą się po prostu źle.

Powroty do dzieciństwa są też wyzwaniem wspomnień. Co z nimi zrobić? Jak je opisać? Uwzględnić je w ogóle czy skryć się przed nimi i jeszcze bardziej wszystko skomplikować? Jak zrobić z tego literaturę? Na pewno mają z tym większy problem autorzy, dla których literatura jest formą psychoanalitycznej wypowiedzi.

Pan komplikuje.

Napisałem moją ostatnią książkę bardzo szybko, w miesiąc. Nigdy wcześniej tak nie pisałem. Taki sposób pracy na pewno odblokowuje umysł, podświadome obrazy. Pisanie ma prowadzić do objawień i olśnień. Bardzo często mam kłopot z mówieniem. Wydaje mi się, że główną radością pisania jest zaskoczenie. Założmy, że chciałbym napisać, że lubię siedzieć nad rzeką i rozmawiać, bo rzeczywiście tak jest. Jeżeli miałbym zrobić to w sposób gładki i przewidywalny, nie chciałoby mi się w ogóle zaczynać. To nie byłaby przygoda. Wyobraźmy sobie, że nakręcamy aparat, a on zaczyna podskakiwać w innym kierunku, niż się spodziewamy.

Pana bohaterowie też robią nieprzewidywalne rzeczy?

Z nimi jest podobnie. Zawsze są kółkiem przynajmniej kilku osób. Nie jest łatwo, bo można kogoś urazić. W każdym razie w „Złodziejach żarówek” chciałem pokazać przekrój społeczny. Blok był demokratyczny, mieszkali w nim ludzie o różnym pochodzeniu. W większości żyli skromnie, choć niektórzy byli potomkami arystokratycznych rodzin. Bardzo dużo osób trafiało wtedy do miasta ze wsi, sporo było robotników, ponieważ w Opolu otwierały się zakłady i zjeżdżali ludzie z różnych stron. Do tego jeszcze starzy lwowiaci i sybiracy z niesamowitymi wojennymi historiami. A obok nich ci, którzy mieli lepszą pozycję związaną z funkcjami partyjnymi czy zawodowymi.

Czytali?

Zgłosiło się do mnie sporo osób, które mówią, że są właśnie tą sąsiadką czy tym sąsiadem. Ale te postaci gdzieś w połowie opowieści zaczynają żyć autonomicznie i robią rzeczy, które niekoniecznie miały w planach. Tak samo jest ze mną: bohaterem jestem ja i jednocześnie nie jestem, to jest książka o mojej rodzinie i równocześnie nie jest. Czy Marcel z „W poszukiwaniu straconego czasu” jest Marcelem Proustem? Znów: i tak, i nie. Pamiętamy, że uparł się, żeby zrobić z autentycznej postaci dziadka z sucharem ciotkę z magdalenką. I teraz mamy ciotkę z magdalenką, a był dziadek z sucharem.

A co z pożegnaniami? Można odprawić je poprzez literaturę?

Im jesteśmy starsi, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że to rodzaj sztuczki. Ale właśnie cała zabawa polega na tym, że ciągle się dajemy nabrać. Albo po prostu chcemy dać się nabrać. Dlatego powtarzamy owe sztuczki w kolejnych książkach. Może sprawia mi ulgę bycie jeszcze raz z tymi, których nie ma, ale ile może trwać takie obcowanie? Wiem, że jest złudne – wystarczy odchylić się od biurka i już jest się z powrotem. Może nawet jako czytelnik częściej i bardziej intensywnie daję się porwać innemu pisarzowi niż sobie samemu. Kiedy piszę, mam w rękach wszystkie narzędzia i wiem, jaka to sztuczka. Ale pisanie rzeczywiście może być jak wywoływanie duchów. Tylko że bardziej dla nich, a nie dla mnie: żeby one się już tak nie męczyły. Zwalniam je z obowiązków i zaniechań. Mogą powie-

dzieć to, czego nie udało im się powiedzieć za życia.

W „Złodziejach żarówek” jest przejmująca scena, gdy matka dotyka przelotnie ramienia bohatera. I on zapamiętuje ten gest na całe życie. W taki sposób Pan pamięta?

Na moją pamięć składają się właśnie takie migawki. One nie tworzą często żadnej dłuższej opowieści, bo są tylko drobnymi momentami i czyimiś gestami. Ciekawe jednak, co mózg robi ze wspomnieniami. Nasze emocje związane z nimi są tak silne, że często je zniekształcamy lub dopowiadamy sobie historie. Nie ma już kto nam opowiedzieć, jak było naprawdę i co to znaczyło. Trochę mnie smuci, że ktoś, kogo już nie ma, może nie wiedział, że był na przykład w jakimś momencie szczęśliwy. Tekst literacki potrafi wyprzeć naszą pamięć, coś, co rzeczywiście przeżyliśmy, może zblednąć w spotkaniu z dobrze napisaną literaturą. Tak jak u przywołanego już Prousta i obrazu dziadka. To piękne i smutne równocześnie. Ale te migawki są dla mnie ważne. Często nie pamiętam twarzy ani miejsca i czasu zdarzenia, a niektóre osoby zostają w mojej pamięci w trakcie wykonywania jakiegoś gestu, jakby były w ruchu. Te dziwne błyski pamięci mają moc błyskawicy, która nagle w nocy rozświetla świat – i okazuje się, że świat tam jest, a wydawało się, że jest ciemno, nie ma nic.

Sporo w „Złodziejach żarówek” grozy. Bał się Pan w dzieciństwie? Tak pani myśli?

Bohater przemierza ciemne korytarze, słyszy dziwne odgłosy. Mówiliśmy o czasach PRL-u i dziecięcych marzeniach o podróżach. Ale to przecież też czas stanu wojennego, żołnierze na ulicach. Pana bohater wszystko widzi i słyszy.

Ale najwcześniejszy lęk z dzieciństwa był związany z czymś bardziej banalnym i pospolitym. Zobaczyłem w telewizji „King Konga”. Jest tam scena, gdy wisi na wieżowcu, i byłem przekonany, że któregoś dnia zajrzy do mojego okna. Bardzo długo, kiedy kładłem się spać, nie miałem odwagi wyrzeć spod kołdry. Chowalem się pod nią i nie mogłem zasnąć, bo się dusiłem. Nie wracam zbyt często do stanu →

Poetyka

Albo kiedy budzisz się jako zwierzę
z podwójnym językiem. Gdy mówisz w jednym,
drugi natychmiast domaga się głosu
choć go nie słysząc. Na tę częstotliwość

ucho ludzkie zlepione jest na głucho.
Ale on jest i nie przestaje mówić.
Podobnie pszczoły, gdy ręka pszczelarza
wykrada z ula miód, podnosząc lament

zupełnie niemo, słysząc jęk brzęczenia
ich skrzydeł i rój unosi się w tańcu
swej dramatycznej skargi jak w teatrze
greckim chór, by ogłosić przeznaczenie

(gdy człowiek wchodzi w zastawioną ręką
boską pułapkę przeciwko insektom).

Pożegnanie jesieni

Po pierwsze: nie pozwalaj, aby się skończył dzień.
Kiedy słoneczny balast zapagnie zerwać się,
wolne nareszcie niebo ucieknie. Wtedy coś
nieskończenie pustego zarejestruje wzrok,

tak jakby z tyłu głowy wybiegły nagle w przód
zaczajone tam słowa udawać myśli ruch.
Im więcej ich, tym czarniej. I czasem tylko błysk
zwiastuje najwyraźniej zderzenie którychś z nich.

Nie rezygnuj ze światła. Pomyśl, że może tam
w najczarniejszej przepaści, wciąż nie sięgając dna,
mruga do ciebie gwiazda, na której właśnie ktoś
używając zapałki oświecła sobie nos

i księżycowe czoło, i pusty krater brwi,
w którym na dnie przez moment coś wilgotnego lśni.

Kościana brama

Obudziłem się dziś jak niewidzialne zwierzę
wypełnione pustką po tobie. Spinka kaszlu
łączyła mnie z jesienią, parę ziaren kwarcu
wskazywało, że właśnie wróciłem z podziemi,

pewnie windą przez parking i kościaną bramę.
Czy taksówką, czy metrem – już nie pamiętałem.
Obudziła mnie mała wiadomość od ciebie,
ale nie potrafiłem na nią odpowiedzieć,

bo pusta dłoń po klawiaturze odbywała
płonny ruch, jakby się sama stała płomieniem.
Jak ogień wzrastający z wzrostem pożywienia,
w archiwach zmienia w popiół milion stron papieru,

i traci oddech gdy zabraknie mu tlenu,
i nagle nie ma głosu i ciepła, i ciała.



BEATA ZAWRZEL / MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

TOMASZ RÓŻYCKI jest poetą, eseistą, tłumaczem
z języka francuskiego. Wielokrotnie nominowany
i nagradzany za swoją twórczość.
Właśnie został zwycięzcą XI edycji Nagrody Poetyckiej
im. Wisławy Szymborskiej za książkę
„Ręka pszczelarza” (Znak 2022). W tym roku ukazała
się jego powieść „Złodzieje żarówek” (Czarne).

Na zdjęciu:
gala wręczenia nagrody im. Wisławy Szymborskiej.
Kraków, 9 lipca 2023 r.

Nekyja

Poezja nie daje spać. W nocy słowo
łazi po twarzy jak uparty owad,
poszukując dogodnego otworu
prowadzącego do królestwa cieni,

żeby przyłączyć się tam do refrenu
w misterium na głosy odśpiewywanym.
Zapalam światło. Ręka odruchowo
sięga po gazetę. Najlepszą obroną

przed żywym słowem są setki słów martwych
zwinione w rulon. Jednak było warto
wspólnie rozlewać życiodajne płyny
po to, by się jak mrówki wyroiły

i poszukując odrobiny cukru
obrosły każdą kroplę czarnym futrem.

Wiersze pochodzą z tomu „Ręka pszczelarza”.

→ wojennego, to są dla mnie nieprzyjemne wspomnienia. Ale może rzeczywiście ten nastrój udzielił się opowieści.

Coś Pan pamięta z tego okresu?

Pamiętam bardzo dobrze moment ogłoszenia stanu wojennego, ponieważ mój ojciec był wiceprzewodniczącym zakładowej Solidarności. Jakimś cudem nie został internowany tej nocy. Milicjanci chodzili po bloku i siłą wyciągali ludzi z mieszkań, pamiętam tupot ich butów. Po mojego ojca przyszli później, chyba dopiero w marcu następnego roku. Spędził, nie powiem teraz dokładnie ile, ale na pewno ponad miesiąc w obozie dla internowanych. Dokładnie jednak pamiętam moment zabierania go z domu, miałem wtedy jedenaście lat i chciałem stawiać opór. Rodzice mnie uspokajali. Długo nie wiedzieliśmy, gdzie ojciec przebywa, a gdy go już wypuścili, przychodził do nas dzielnicowy. Byliśmy – jak się okazało – pod obserwacją.

Został ze mną też obraz żołnierzy grzejących się przy kokosownikach i wózwo opancerzonych na ulicy. Wracaliśmy z wigilii od babci. Ojciec chciał podejść do żołnierzy i coś im dać, i już, już wykonywał gest, ale się zatrzymał w połowie. Pewnie uznał, że jeśli ktoś wyciągnie aparat i zrobi mu zdjęcie, może mieć potem problemy.

A ujadanie psów?

Rzeczywiście napisałem o tym w „Złodziejach żarówek”. Bardzo lubię psy, ale to nie było zwykłe szczekanie, lecz upiorne ujadanie. Słyszeliśmy je głównie w nocy. Te milicyjne psy trzymano tuż pod blokiem, bo był tam komisariat, stały wozy opancerzone. Nie wiem, ile tych psów było, może niewiele, i tylko ten dźwięk tak się niósł? Wyobrażałem sobie jednak, że są one szczute na ludzi i któregoś dnia zostaną wypuszczone na ulice i będą nas gonić.

Pamięta Pan jeszcze jakieś inne dźwięki?

Tak zwane zagłuszarki, ustawione obok windy i anten telewizyjnych. Wyraźny był też dźwięk samej windy, która zatrzymywała się na naszym piętrze, oraz odgłos kroków na korytarzu i na dachu. Pijani milicjanci wymachujący bronią i śpiewający po nocach.

Tak samo jak chłopiec w mojej książce robiłem samoloty z gazet solidarności-

Stan wojenny? Lęk z dzieciństwa był raczej związany z King Kongiem.

Byłem przekonany, że któreś nocy zajrzy do mojego okna. Bardzo długo, kiedy kładłem się spać, nie miałem odwagi wyrzeć spod kołdry.

wych i rzucałem je przez okno. Wysypałem też kiedyś na korytarzu kawę. Chciałem jak najszybciej wrócić do mieszkania, na początku nie ze strachu, tylko zwykłego dziecięcego pośpiechu. Gdy jednak biegnie się w ciemności, odgłos własnych kroków wzbudza lęk. Więc jeszcze to: szybki bieg ciemnym korytarzem.

A chodził Pan z ojcem do fabryki?

Tak, ojciec pracował w fabryce obrabiarek RAFAMET. Był robotnikiem, więc dobrze znam to środowisko. Było mi bliższe niż jakiegokolwiek inne, choć poznałem wiele różnych. Przekornie i ironicznie nadałem bohaterom „Złodziei żarówek” arystokratyczne nazwiska. Ale nigdy nie miałem problemu z powodu pochodzenia. Oczywiście zauważałem, że ktoś ma lepsze buty albo zabawki, bo mu krewny przysłał z Zachodu, ale już wtedy widziałem drugą stronę tego: dziecko nie zawsze było szczęśliwe. Poza tym te dobra materialne tak naprawdę nie miały związku z pochodzeniem i nazwiskiem, a z pieniędzmi czy rodziną w Niemczech. Kiedy zaczęła się Solidarność, byłem bardzo dumny z zaangażowania ojca. Czułem, że w jego pracy wśród robotniczy dzieje się coś naprawdę ważnego, i chciałem w tym uczestniczyć.

Nie miał Pan kompleksu pochodzenia.

Dopiero w liceum i na studiach niekiedy czułem się niedokształcony: okazywało się, że inni mieli dostęp do lepszej biblioteki, a w ich rodzinach od pokoleń być może częściej rozmawiało się o tematy związane z kulturą. Nie zazdrościłem im zatem herbów w nazwisku i kryształów, ale tych rozmów. Może jest tak, że nadrabiam całe życie.

W Pana powieści ojciec jest najjaśniejszą postacią. Nazywany jest księżycewym ojcem, ponieważ od wbitych w skórę opłatków świeci.

Wszystko zaczęło się od tego, że wyobraziłem sobie siedzącego w fotelu ojca, który wysłał syna, żeby zmielił kawę. Matka była bardziej obecna w moich poprzednich książkach, choć w „Ijaszu” [poemat wydany w 2021 r. – przyp. UH] ojciec wyraźniej zaczął dochodzić do głosu. Widocznie było w tym temacie jeszcze coś do załatwienia. Wielkie wrażenie zrobił na mnie film „Ostatnia rodzina” Jana P. Matuszyńskiego o rodzinie Beksińskich. Bohaterowie są tam ze sobą niemal ściśnięci, bo żyją w małych pomieszczeniach i dochodzi do niebywałej koncentracji zdarzeń. W mojej prozie również wszystko dzieje się w kilku pomieszczeniach i opisuję rzeczy – ktoś może powiedzieć – antyliterackie: zapychają się rury i trzeba wynosić nieczystości w wiaderku. Nie trzeba pisać o rzeczach wzniosłych, żeby powiedzieć coś istotnego.

Ta książka dużo opowiada o silnych więziach i miłości na wielu płaszczyznach.

Jeden z pierwowzorów chorego Stasia do dzisiaj jest moim przyjacielem. Choć tak naprawdę stworzyłem tę postać z wielu chorych chłopców. Trudno powiedzieć, czy była to jeszcze przyjaźń, czy może rodzaj dziecięcej miłości, w której pełno jest troski, czułości i opiekuńczości? W czasach dzieciństwa wszystko ma szaloną moc. Pierwsze miłości. Dziejczy, o których piszę. Te więzi są też silne dlatego, że robi się razem wiele zakazanych rzeczy, ma się swoje tajemnice i świat niedostępny dla dorosłych. Związuje się ze sobą pakt.

Tylko ze sobą?

Jest też miłość do psów. Piszę w „Złodziejach...” o dwóch pięknych, dużych i dostojnych psach, które bardzo się lubią i wszędzie razem biegają. Wydawały mi się wtedy postaciami na miarę opowieści Karola Maya. W moim domu zwierzęta były traktowane niemal jak kolejne dziecko, miały swoje niezbywalne prawa. Ale kiedy obserwowałem te dwa psy biegające luzem, miałem poczucie, że są całkowicie niezależne i wolne. Mogłem na nie patrzeć godzinami.

© Rozmawiała URSZULA HONEK



Andrzej Wróblewski, „Rodzina” (po lewej), „Kobieta”, 1957 r.

Andrzej Wróblewski i następne pokolenia

PIOTR KOSIEWSKI

Zginął w Tatrach, kiedy miał 30 lat. Jego twórczość nigdy nie została odrzucona ani zepchnięta do artystycznego czyścica, choć wzbudzała polemiki i ostre spory.

ZADNEMU z XX-WIECZNYCH POLSKICH artystów w ostatnich dekadach nie poświęcono tak wiele uwagi. Kolejne wystawy i publikacje proponowały coraz to nowe spojrzenia, poczynając od przełomowej, przygotowanej przez Jana Michalskiego w krakowskim Zderzaku w 1993 r., i od wydanej nakładem tej galerii książki „Andrzej Wróblewski nieznany”. Niejednokrotnie też przełamywały dotychczasowe sposoby patrzenia na dorobek artysty. Tak było z wydaną w 2014 r. monumentalną monografią „Unikanie stanów pośrednich” czy kuratorowaną przez Andę Rottenberg, przejmującą wystawą „Perspektywa wieku dojrzewania. Szapoczników – Wróblewski – Wajda” w Muzeum Śląskim w Katowicach (2018). Prace Andrzeja Wróblewskiego wciąż nie dają nam spokoju.

W krakowskim Muzeum Manggha do 5 listopada można oglądać „Tatry” – wystawę, na której czarno-białe prace Wróblewskiego na papierze, poświęcone górom, zestawiono z dziełami poprzedników: grafikami Leona Wyczółkowskiego oraz mało znanymi tatrzańskimi fotografiami wybitnego kompozytora Mieczysława Karłowicza. Natomiast w Muzeum Narodowym w Lublinie zestawiono prace Wróblewskiego z twórcami reprezentującymi kolejne pokolenia.

Realizm bezpośredni

Wróblewski zginął 23 marca 1957 r. podczas wyprawy w Tatry. Tworzył zaledwie przez dekadę, a jego twórczość nigdy nie została odrzucona ani zepchnięta do artystycznego czyścica. Wzbudzała polemiki, czasami ostre spory. Nie chodziło jedynie o zaangażowanie w socrealizm, którego długo nie potrafiono mu wybaczyć – w 1994 r. zakup „Rozstrzelania II” do zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie wywołał głośne protesty.

Pośmiertna wystawa Wróblewskiego (1958) w Zachęcie odbyła się jednak w próżni, bo – jak zauważył później Jerzy Stajuda, artysta i wnikliwy krytyk – czym innym wtedy się zajmowano. I przywołał wrażenia znajomego po tej wystawie: „Nie wiedzieliśmy, o co mu właściwie chodziło. To były brzydkie obrazy, a w dodatku ta różnorodność, ten brak konsekwencji. (...) Jakże był nam wtedy obcy”. W II połowie lat 50. i na początku kolejnej dekady dominowała przecież abstrakcja. A jednak – dodawał Stajuda – szybko się okazało, że te „brzydkie obrazy” zdumiewają przenikliwością i prawdą, mównością, odsłaniając coraz to nowe i nowe warstwy.

→ Lubelska wystawa proponuje odczytanie na nowo dorobku Wróblewskiego. Opowiada o kolejnych etapach jego twórczości, nie uciekając od chronologii – pokazuje blisko sto obrazów i prac na papierze. Dzieła kanoniczne i te bardzo rzadko prezentowane. Równolegle zaś wystawiono 50 dzieł artystek i artystów reprezentujących różne pokolenia. W ten sposób powstały dwie przenikające się ekspozycje.

Mówiąc o wpływie Wróblewskiego na polską sztukę, natychmiast wymieniana jest założona w 1966 r. grupę Wprost, której członkowie jako pierwsi podkreślali swe związki z jego twórczością. Zaproponowali oni malarstwo wyrażające bezpośrednio treści, niemalże publicystyczne. Zostali zauważeni, znaleźli popularyzatorów, m.in. w osobie Andrzeja Oseki, jednego z najbardziej wpływowych krytyków drugiej połowy XX wieku. W ostatnich dekadach ich twórczość znalazła się jednak na marginesie – jakby trochę archaiczna i nieprzystająca do współczesnej wrażliwości. A przecież to w ich pracach znalazły odzwierciedlenie m.in. tragiczne wydarzenia Marca '68, co czyni je wyjątkowymi w polskiej sztuce tego czasu.

Chętnie mówi się też o znaczeniu twórczości autora „Rozstrzelań” dla malarzy skupionych w Gruppie, a potem dla członków grupy Ładnie. Lubelska wystawa ich nie pomija, ale, jak podkreślają jej twórcy, jest próbą „rozpoznania głębszych idei malarstwa Wróblewskiego”. Wspólnym elementem dla tych wszystkich artystów stało się hasło „realizmu bezpośredniego”.

Andrzej Wróblewski sformułował tę koncepcję w latach 1948-49, w okresie działania Grupy Samokształceniowej i sporów o socrealizm. Była to odrębna od modelu sowieckiego propozycja sztuki zaangażowanej, działającej bezpośrednio, emocjonalnie, tematycznie i jednoznacznie, komunikatywnie dla szerokiego kręgu odbiorców i wyrażającej przemianę ówczesnej rzeczywistości. Na lubelskiej wystawie „realizm bezpośredni” rozumiany jest znacznie szerszej: jako twórczość, która mówi wprost o rzeczywistości, przełamując konwencje i przyzwyczajenia, artystyczne, ale też medialne klisze. Opowiada nie tylko o traumatycznych wydarzeniach, lecz również o codziennym doświadczeniu.



MACIEJ NIEĆKO / MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE / MATERIAŁY PRASOWE

W takim ujęciu twórczość Wróblewskiego w swej ogromniej różnorodności okazuje się bardzo koherentna, kolejne zaś zmiany od abstrakcji poprzez obrazy socrealistyczne po uproszczoną figurację są świadomym wyborem. Sam zresztą deklaruje: „Lubię zmienne osobowości – jak np. u Picassa – i nowoczesny typ twórczości, polegający nie tyle na tworzeniu pojedynczych arcydzieł, ile na pewnym następstwie dzieł, które w sumie tworzą dzisiejszy odpowiednik arcydzieła”.

Co więcej, wystawa proponuje, by hasło „realizm bezpośredni” odnieść do całej polskiej sztuki ostatnich sześciu dekad, do twórczości zaangażowanej społecznie, mówiącej zarówno o dramatach,

Na ekspozycji w Lublinie obrazy Wróblewskiego z 1949 r.: powyżej „Nowo kupiony samochód”, po prawej „Likwidacja getta” – rewers obrazu „Szofer niebieski”.

traumach i tragediach, jak i o otaczającej nas rzeczywistości, o naszej cielesności, życiu i umieraniu.

W głąb

Wystawę podzielono na osiem chronologicznie ułożonych sekcji, z wyraźną wyrwą, jaką był czas socrealizmu. Otwierają ją prace powstałe pod koniec lat 40. Wróblewski niedawno skończył 20 lat i maluje obrazy, które wejdą do kanonu polskiej sztuki. Powstają abstrakcyjne płótna, ale też m.in. cykl „Szoferów”, z po-



stacją widzianego od tyłu kierowcy i widokiem opustoszałej, ciągnącej się po horyzont drogi.

Najpiękniejszy obraz z tego cyklu, utrzymany w błękitnej tonacji, znalazł się na wystawie. Obok niego umieszczono namalowany ćwierć wieku później obraz Macieja Bieniasza z grupy Wprost. Tu także jest mężczyzna prowadzący samochód po pustej, anonimowej drodze i widzimy jedynie fragment twarzy odbijający się w lusterku pojazdu. Są wreszcie dwa, powstałe zaledwie przed dwoma laty płótna Wilhelma Sasnała – w obu znów jest widok z wnętrza samochodu. Fragmenty postaci i ponownie bezludny krajobraz, jednak tym razem łatwy do

rozpoznania: to fragment obozu w Auschwitzu.

Wszystkie te obrazy – ich zestawienie to jeden z najmocniejszych punktów lubelskiej wystawy – pokazują długie trwanie sposobów patrzenia, opowiadania, postrzegania rzeczywistości. A jednocześnie nie są naśladownictwem Wróblewskiego.

Pod koniec lat 40. powstają też słynne „Rozstrzelania”, w których Wróblewski zaproponował własny malarski język opowieści o wojennej traumie. Osadzony w polskiej rzeczywistości, a jednocześnie uniwersalny w przekazie. Zmieniający sposób mówienia o dramacie, gdyż poza jednym obrazem z tego cyklu („Rozstrzelanie z gestapowcem”), pokazanym także

w Lublinie, na wszystkich widzimy jedynie ofiary. To na nich skupia uwagę malarz.

Na wystawie znalazła się też jedna z kluczowych prac Wróblewskiego: „Obraz na temat okropności wojennych”. Zaskakujący, bo pokazuje bezwładnie leżące ryby, pozbawione głów. W kolejnych dekadach w polskiej sztuce będą pojawiać się obrazy ciał ludzi i zwierząt – od kolaży ocalałego z Holocaustu Jonasza Sterna opowiadających o dramacie drugiej wojny po Bartłomieja Kiełbowicza, który po agresji Rosji na Ukrainę 24 lutego ubiegłego roku namalował ryby pozbawione głów, dodając żółto-niebieskie barwy. Obrazy Wróblewskiego na wystawie świetnie wpisały się w toczony w ostatnich dekadach polskie dyskusje o XX-wiecznych traumach, w których głos artystek i artystów był szczególnie ważny.

Druga część wystawy przenosi nas do połowy lat 50.; wyrwa, jaką jest brak w Lublinie prac z wcześniejszych lat, pokazuje, że nadal nie potrafimy sobie poradzić z twórczością okresu stalinizmu. Jesteśmy w innym świecie. Nie ma tu dramatu wojny ani aktualnych tematów politycznych i społecznych, które jeszcze niedawno artysta tak często podejmował. Ich miejsce zajmuje życie rodzinne, doświadczenie macierzyństwa i ojcostwa – w tym przejmujące przedstawienia żony malarza i jego dziecka. Równocześnie Wróblewski wnikliwie przygląda się otaczającej go rzeczywistości, która odziera z indywidualności, wtłacza w kolektywne zachowania. Maluje kolejki, postacie ukrzesłowane. Brutalnie przeświecła ludzi, wręcz odziera ich ze skóry. Powstają też niezwykle przedstawienia nagrobków, w których ludzkie postaci tworzą jedno z monumentami.

Zwrot ku tym tematom nie był w przypadku Wróblewskiego ucieczką w prywatność. Przeciwnie, wszystkie je uczynił częścią sfery publicznej, wręcz politycznej. I to zdecydowało, że od kilku dekad jego dzieła pozostają punktem odniesienia dla naszej wrażliwości.

© PIOTR KOSIEWSKI

WRÓBLEWSKI I PO... SZTUKA REALIZMU BEZPOŚREDNIEGO,

Muzeum Narodowe w Lublinie,
wystawa czynna do 27 sierpnia 2023 r.,
kuratorzy: Aleksandra Blonka-Drzażdżewska,
Marcin Lachowski, Łukasz Wiącek.

Biały sześcian rusza w drogę

ANNA PAJĘCKA

Muzeum nie jest wyłącznie elementem infrastruktury na kulturalnej mapie, koniecznym i nielikwidowalnym. Jego finansowanie, a więc los, zależy od społecznej użyteczności.

ROK TEMU MIĘDZYNARODOWA RADA Muzeów (ICOM) zatwierdziła nową definicję tożsamości instytucji, którymi się zajmuje. Przypieczętowała zmianę rozpoczętą już kilka lat wcześniej. Zwłaszcza pandemia wpłynęła na sposób postrzegania muzeów. Okazało się, że dla widzów stały się one nie tylko archiwami, przedstawiającymi przeszłość, ale także miejscami, które kształtują naszą opowieść o teraźniejszości.

Dyskusja nad zmianą definicji przez ICOM trwała kilka lat. Przez ostatnie półtorej dekady muzeum było definiowane jako „instytucja non-profit, która nabywa, konserwuje, bada, komunikuje i ekspozuje materialne oraz niematerialne dziedzictwo ludzkości i jej środowiska w celu edukacji, nauki i przyjemności”. W debacie nad zmianą definicji, ujętej w dwóch zdaniach, wzięło udział ponad 40 tysięcy osób, reprezentujących 20 tysięcy muzeów na całym świecie.

Początkowo propozycje zawierające ustęp o „sprawiedliwości społecznej” były odrzucane jako zbyt polityczne. Przedstawiciele francuskich instytucji uznali je za przykład „ideologicznego manifestu”, pojawiały się głosy przestrzegające przed tym, że muzeum trudno będzie odróżnić od centrum kultury lub biblioteki. Ostatecznie udało się znaleźć wspólny język. Kluczowe zdania są na końcu definicji: „Otwarte dla

publiczności, dostępne i integracyjne muzea sprzyjają różnorodności i zrównoważonemu rozwojowi. Działają i komunikują się etycznie, profesjonalnie i z udziałem społeczności, oferując różnorodne doświadczenia w zakresie edukacji, przyjemności, refleksji i dzielenia się wiedzą”.

Wykształcenie nowej definicji było rewolucją, a jednocześnie koniecznością. Zbiegły się w czasie dwa czynniki. Po pierwsze – pandemia skłoniła instytucje do zwrotu ku lokalności. Najważniejsza stała się lokalna publiczność, która jest – okazuje się – „wymagająca inaczej”. I wypada pełnić funkcję wobec niej służebną. Muzeum nie jest bowiem wyłącznie elementem infrastruktury na kulturalnej mapie, koniecznym i nielikwidowalnym. Jego finansowanie, a więc los, zależy od społecznej użyteczności.

Stół dziękczynny

Pandemia koronawirusa sprawiła, że instytucje sztuki musiały zmierzyć się z pierwszym od II wojny światowej tak długim wyłączeniem z użytkowania. Dało to okazję do przyjrzenia się, w jaki sposób działają. Już nie tylko wspomniane rozdzielanie funduszy musiało być porządnie uzasadnione. Okazało się, że infrastruktura muzeów może służyć nie tylko do celów wystawienniczych.

W trakcie pandemii światowe muzea, od Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej do włoskiego Castello di Rivoli, zamieniły się w przestrzenie szczepień. „Dlaczego nie pozwolić pielęgniarkom i lekarzom zostać na chwilę? Współpraca z lokalnymi szpitalami, uniwersytetami, laboratoriami, innymi instytucjami badawczymi wydaje się naturalnym posunięciem dla muzeów” – pi-

sał Jason Farago, krytyk publikujący na łamach „New York Timesa”. Klaus Biesenbach, obecny dyrektor Neue Nationalgalerie, muzeum sztuki nowoczesnej w Berlinie, mówił, że należy dążyć do uwolnienia instytucji od „historycznej fiksacji na autonomicznym obiekcie”.

Dwa lata później, po objęciu stanowiska w niemieckiej stolicy zaproponował, aby w odpowiedzi na kryzys ekonomiczny i potencjalne wysokie ceny energii ostatniej zimy berlińskie muzea organizowały przestrzenie, w których osoby odwiedzające, niezależnie od tego, czy są zainteresowane sztuką, czy nie, będą mogły spędzić czas, ogrzać się, popracować, skorzystać z internetu w komfortowych warunkach. Obejmując posadę zorganizował „stół dziękczynny”, zaprosił, jak sam mówi, „wszystkich”. „Naszymi powiernikami są niemieccy podatnicy, wiele nauczyłem się rozmawiając z nimi – czasem z ludźmi, którzy nigdy wcześniej nawet nie byli w muzeum” – mówił w rozmowie z branżowym czasopiśmie „Frieze”.

Drugim punktem zwrotnym był protest pod hasłem „Black Lives Matter”. W związku z nim muzeum w Queens nawiązało całoroczne partnerstwo z organizacjami związanymi z wymiarem sprawiedliwości w sprawach karnych i organizacjami działającymi na rzecz równości rasowej. W trakcie pandemii jeden z oddziałów muzeum przekształcono w bank żywności. Instytucja miała wcześniej zmapowane tutejsze potrzeby, angażując się w akcje dzielnicowe, mogła zaprosić miejscowych obywateli. Zorganizowano tu zarówno punkty szczepienia przeciw covidowi, jak i punkty wyborcze.

W Polsce nowy model działania podczas pandemii przyjęło warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jego dyrektorka, Joanna Mytkowska, ogłosiła wówczas, że przesunie „akcent z produkcji programu na wsparcie środowiska”. Oznaczało to przekierowanie środków przeznaczonych na realizowanie programu na działania pomocowe, nawet kosztem anulowania zaplanowanych w rocznym budżecie wystaw.

Lucia Pietroiusti, kuratorka ekologicznego programu w Serpentine Gallery w Londynie, promuje program „ekologii ogólnej”, czyli organizowanie konferencji, publikacji, podkastów, grup czytelniczych, rezydencji dla artystów i pokazów filmów – to wszystko zamiast tra-

RADIO KRAKÓW

Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

www.radiokrakow.pl

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Punkty szczepień przeciwko covidowi ustawione w Forum Humboldta. Berlin, 18 stycznia 2022 r.

dycyjnych wystaw. Jednocześnie tworzy nomadyczne przestrzenie sztuki. Nomadyczne? Czyli właściwie jakie?

W drodze

O konieczności porzucenia myślenia według potrzeb „białego sześcianu” (jak w skrócie nazywa się tradycyjna, galerijna lub muzealna przestrzeń wystawiennicza) mówi Hans Ulrich Obrist, jeden z najbardziej znanych i cenionych kuratorów oraz teoretyków sztuki współczesnej na świecie. O wystawach myśli jako o „nasionach, które mogą rosnąć”, nie obchodzi go skończoność przedstawień sztuki, ich realizacja. Chodzi o sam proces.

Bardziej atrakcyjna staje się nomadyczna – no właśnie – przestrzeń wystawiennicza. Na przypadających w zeszłym roku, pocovidowych najważniejszych imprezach świata sztuki: Manifesta (tym razem w kosowskiej Prisztinie) oraz cyklicznych, odbywających się w pięcioletnim cyklu Documenta w Kassel, zaprezentowano takie działania.

Nazwa RomaMoMA nawiązuje do najsławniejszego amerykańskiego muzeum sztuki nowoczesnej (nowojorskie Museum of Modern Art – MoMA), ale opiera się na jego zaprzeczeniu. Nie ma przecież muzeum sztuki współczesnej Romów i raczej nigdy nie będzie. RomaMoMA to forum sztuki współczesnej, próba wyobrażenia, jak by takie muzeum mogło wyglądać.

Wyobrażona instytucja (nomadyczna) wędruje po festiwalach, razem z cyklem filmów, zbiorów archiwalnych i obiektów prezentowanych częściej niż elementy zbiorowych kolekcji dużych insty-

tucji. Poza tym jest manifestem nieobecności romskiej sztuki w oficjalnych, uznawanych narracjach i instytucjach. Wystawienie w polskim pawilonie w ramach Biennale w Wenecji w 2022 r. prac romskiej artystki, Małgorzaty Mirgi-Tas, było więc tym samym: sygnałem uznania braku, dołączeniem do ruchu upominającego się o wypełnienie miejsca w świecie sztuki.

Wędruje także Secondary Archive, zapoczątkowana przez Fundację Katarzyny Kozyry inicjatywa skupiająca artystki z Europy Środkowo-Wschodniej, tworząca wielkie, interaktywne archiwum prezentujące twórczynię z Albanii, Białorusi, Czech, Węgier, Kosowa, Serbii, Słowacji, Polski i Ukrainy. Ostatnia, interaktywna odsłona archiwum została przedstawiona globalnej publiczności podczas 14. edycji Manifesta w Kosowie. W zaciemnionej, pustej sali artystki opowiadały z ekranu o swoich – najczęściej – mocno politycznie zaangażowanych pracach. Prezentacja miała miejsce w National Gallery of Kosovo, głos oddano przede wszystkim artystkom ukraińskim. Wysłałam z tej prezentacji ze łzami w oczach.

Zaufanie

Model muzeów, które opierają się na budowanych latami kolekcjach, ma swoje mocne i słabe strony. Mocną stroną jest spójna tożsamość (nawet jeśli po latach trzeba ją zreformować). Gwarantuje ona wpływy z artystycznej turystyki.

Po pandemii okazało się jednak, że tam, gdzie nie ma szansy na atrakcyjne wystawy czasowe, najważniejsze będzie teraz zagospodarowanie stałej kolekcji tak, aby jej eksploracja dorosła do wy-

zwań współczesności. Czasem oznacza to wzięcie odpowiedzialności za lata nieodpowiedzialnego społecznie zarządzania i brak odpowiedniej polityki w budowaniu kolekcji. Czasem to po prostu improwizacja, będąca reakcją na ograniczenia ekonomiczne i polityczne decyzje ograniczające środki na kulturę.

Polskie instytucje jeszcze nie mierzą się z tym problemem. Stosunkowo młode muzea miały szanse na budowanie zdwersyfikowanych kolekcji. Żadna (być może poza muzeum sztuki w Łodzi, posiadającym kolekcję sztuki nowoczesnej, zbudowaną przez Władysława Strzebińskiego i Katarzynę Kobro) nie zdobyła jednak istotnego znaczenia na arenie międzynarodowej. Oznacza to brak kłopotów, ale daje też szansę. Kształtując instytucję na bieżąco można uniknąć problemów, z którymi dzisiaj mierzy się świat sztuki. Protestów klimatycznych przed wystawami finansowanymi przez Orlen jeszcze nie widać – chociaż na świecie bojkotowanie instytucji kultury zasilanych środkami pochodzącymi z przemysłu paliwowego to naturalna reakcja.

Społeczeństwo nie chce finansować „jednego procenta na kulturę” i ma rację – albo instytucje będą dla wszystkich, albo dotrą do ściany, punktu, w którym nie odbudują swojego znaczenia, czyli zaufania do siebie. Bo na nim, a nie na kulturowym kapitale będą musiały opierać swoje istnienie. Sztuka się demokratyzuje, niezależnie od tego, jak szybko demokratyzuje się społeczeństwo. ©

Autorka jest kierowniczką działu Teatr w Dwutygodniku.

Tęsknota za prostotą

ANITA PIOTROWSKA

Kino tego indyjskiego reżysera nie ma nic wspólnego z popularnym Bollywoodem i odsyła przede wszystkim do szlachetnej, czarno-białej klasyki lat 50. i 60.



CO MOŻE ŁĄCZYĆ ABBASA Kiarostamię, Jamesa Ivory’ego, Akirę Kurosawę z Martinem Scorsese, Quentinem Tarantino czy Christopherem Nolanem? Otóż każdy z nich, na różnych etapach swej kariery, składał hołd pewnemu reżyserowi z Kalkuty.

Satyajit Ray (1921-1992) filmy kręcił głównie w rodzimym języku bengali, właściwie bez scenariuszy (wolał korzystać z luźnych zapisków i rysunków), a jego regularnym współpracownikiem był mistrz sitaru Ravi Shankar. W 1992 r., tuż przed śmiercią, indyjski reżyser otrzymał Oscara za całokształt i choć romans z Hollywoodem pozostał nieskonsumowany, legenda głosi, że słynny „E.T.” powstawał na kanwie jego dawnego tekstu (Spielberg oczywiście zaprzecza). Nareszcie, dzięki w większości odrestaurowanym kopiom, mamy okazję, by przypomnieć sobie, czym było – i jest – kino Raya.

Nie ma ono nic wspólnego z popularnym Bollywoodem i odsyła przede wszystkim do szlachetnej, czarno-białej klasyki lat 50. i 60. Klejnotem w tej koronie stała się wczesna trylogia Apu (1955-1959), gdzie losy tytułowego bohatera, od narodzin aż do wieku dojrzałego, ukazane zostały na tle modernizujących się Indii.

Jak to możliwe, że historia z dalekiego, obcego kulturowo subkontynentu, rozpoczynająca się u zarania XX wieku, podbiła serca widzów na całym świecie, w dodatku bez kokietowania egzotyką? Tu właśnie tkwi tajemnica tej twórczości, rozpiętej między prozą (etnograficznym niemal zapisem i skupieniem na szcze-

góle) a ekranową poezją. Czyli własnym filmowym językiem, który zamieniał codzienne doświadczenia i obrazy w przepelnione świeckim humanizmem „momenty wieczne”. Pod tym względem był Ray dłużnikiem najlepszych: włoskich neorealistów czy Jeana Renoira, zresztą ówczesne kino europejskie i amerykańskie miał w jednym palcu, co pomogło mu stworzyć osobny, a zarazem uniwersalny styl.

I tak „Droga do miasta” przynosi intensywnie zmysłowy obraz dzieciństwa Apu, spędzonego na bengalskiej wsi, gdzie bieda może i wygląda malowniczo w obiektywie lub w oczach hołubionego dziecka, ale wypędza stamtąd tych, którzy chcieliby godnego życia dla siebie i bliskich. Należy do nich ojciec głównego bohatera, hinduski kapłan wierzący w edukację i postęp. Tyle że wyjazd rodziny do rozwibrowanego Benaresu nie przyniesie jej szczęścia (o tym opowiada druga część trylogii, „Nieugięty”). Za to dla dorastającego chłopca pobyt w świętym mieście nad Gangesem okazuje się przeżyciem formacyjnym; oznacza wejście w nowe międzyludzkie przestrzenie, pierwsze zarobione rupie, kolejne spotkania ze śmiercią.

W „Świecie Apu” oglądamy jego czasy studenckie, gdy usiłuje przeżyć samodzielnie w innym wielkim mieście i jednocześnie poszukuje swojej pisarskiej drogi. Wiek męski niesie ze sobą także powolne dojrzewanie bohatera do małżeństwa i ojcostwa, ukazane z mądrością zaskakującą dla tamtego czasu i miejsca.

Niektórzy zarzucali Rayowi, że humanizm i estetyzacja odwracają uwagę od

problemów społeczno-politycznych, takich jak system kastowy, niedawny kolonializm czy sytuacja kobiet. Rzeczywiście, w jego wczesnej twórczości nie było jeszcze na to zbyt wiele miejsca, choć przecież widać gołym okiem, że dziewczynki traktowane są inaczej niż chłopcy, podziały i nierówności w Indiach determinują bardziej niż gdziekolwiek indziej, a w obrazach bengalskiej prowincji można zobaczyć zarówno pochwałę wszystkiego, co żyje, jak i brutalność czy codzienny żnój.

Na szczęście brytyjska kolej funkcjonuje bez zarzutu – stukot i świst pociągu wyznaczają kluczowe etapy w życiu Apu. W późniejszych filmach pochodzący z uprzywilejowanej, w dużej mierze artystycznej rodziny reżyser coraz częściej przemycą gorzką prawdę o urzędzeniu tamtej rzeczywistości. Weźmy choćby nagrodzony Złotym Niedźwiedziem „Odległy grom” (1972), w którym Ray przenosi nas do czasów II wojny światowej, kiedy to głód i epidemia zabiły pięć milionów Bengalczyków. Ponieważ garść ryżu stała się tam najcenniejszą walutą i stosunki na wsi coraz bardziej się brutalizują, młody bramin i jego żona muszą przewartościować dotychczasowe myślenie i konserwatywny model życia.

Z kolei o trzy lata wcześniejsze i dziejące się współcześnie „Dni i noce w lesie” ukazują czterech młodych mieszkańców, którzy marząc o urlopie „w dziczy” ruszają w rejony zamieszkałe przez lud Santalów. Bohaterowie przestają się golić, czas spędzają na mniej lub bardziej kulturalnych rozrywkach i przy okazji łamią



MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU NOWE HORYZONTY

RETROSPEKTYWA

SATYAJITA RAYA

(12 tytułów)

– 23. Międzynarodowy Festiwal

Filmowy mBank

Nowe Horyzonty,

Wrocław,

20-30 lipca,

edycja online

(7 tytułów) 20 lipca

– 6 sierpnia.

parę obowiązujących reguł. Zwłaszcza spotkania z miejscowymi kobietami obnażają męską arogancję czy ignorancję. Co chwila też ujawnia się jakieś uwikłanie w społeczne zależności i hierarchie, ta „obyczajówka” z życia indyjskiej klasy średniej ma bowiem w sobie niejednego ukrytego pazura.

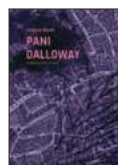
Natomiast ze szczególną mocą wybrzmiewają w kinie Raya pełzające zmiany kulturowe. I nie chodzi tylko o zastąpienie kobiecego sari „europejskimi” spodniami jako znak emancypacji. W ostatnim filmie („Gość”, 1991) odwiedziny nieznanego wuja, obywatela i gawędziarza, sceptycznego wobec tradycji i zarazem pamiętającego, skąd pochodzi, pokazują, że zeuropeizowana burżuazja z Kalkuty odcinając się od korzeni sporo zyskała, ale także utraciła. Nie da się jednak zawrócić tego zegara, co Ray pokazał już na samym początku w swoim najbardziej olśniewającym dziele „Salon muzyczny” (1958), kojarzącym się trochę z „Lampartem” Lampedusy i Viscontiego.

Oto ubożający feudał z lat 20. XX w. wśród kryształowych żyrandoli i portretów przodków celebrytów swojego świata, zagarnianego przez nowe, pozbawione rodowodu pieniądze. Przy życiu trzyma go wyłącznie muzyka, postanawia więc w swym zrujnowanym pałacu zorganizować wielki koncert. Majestatycznie sfilmowany i cały skąpany w dźwiękach Shankara, jest „Salon” nie tyle podzwonnym dla dawnego porządku, co portretem ludzkiej megalomanii i szaleństwa w imię sztuki, niepozabawionym jednak melancholijnej mgiełki.

Podobnie jest z innymi filmami Raya, w których tęsknota za pięknem i prostotą idzie w parze z akceptacją przemijania czy nieuchronności przemian – indywidualnych i cywilizacyjnych. To spowolnione, miękko montowane kino, wyrosłe w dużej mierze z tamtejszej literatury, lecz i z uważnych obserwacji, patrzy na ludzkie dole, niedole, wzloty i upadki z różnych perspektyw. Czasem z samego dołu, czasami z (metafizycznej) góry, na poważnie, to znów z przymrużeniem oka, czerpiąc z rozmaitych, nie zawsze wyrafinowanych źródeł. I tylko jedno się nie zmienia: bezinteresowność i życzliwość tego spojrzenia.

Ray portretuje życie w jasnych i tragicznych odcieniach, lecz nawet gdy, jak w „Świecie Apu”, opowiada o skrajnej rozpacz, jego kino jest zdecydowanie przeciwko niej. ©

Lektor: Jeden londyński dzień



■ Virginia Woolf

PANI DALLOWAY

Przełożyła i posłowiem opatrzyła Magda Heydel.

Officyna, Łódź 2023,

ss. 240.

BARDZO TO JEST DOBRE, ŻE WIELCY PISARZE MINIONEGO wieku wracają w nowych przekładach. Nie dlatego, że te stare były złe, choć i tak bywa, ale dlatego, że nowy przekład jest też nowym odczytaniem. Arcydzieło Virginii Woolf, wydane w 1925 r., żyje zresztą na rozmaite sposoby. Czwierć wieku temu Amerykanin Michael Cunningham opublikował „Godziny” (taki miał być pierwotnie tytuł książki Woolf), czyniąc bohaterkami samą Virginie oraz dwie jej czytelniczki, a kilka lat później jego powieść doczekała się zdecydowanie wybitniejszej od pierwowzoru ekranizacji Stephena Daldry’ego. Po polsku zaś mamy „Zasłone w rajske ptaki” – książkowy esej wokół „Pani Dalloway” autorstwa świetnego historyka sztuki Wiesława Juszcza.

Jest piękny czerwcowy dzień w Londynie roku 1923, Clarissa Dalloway, żona konserwatywnego parlamentarzysty, wyrusza, by kupić kwiaty na zaplanowane wieczorne przyjęcie. Czekają nas wędrówki ulicami metropolii, w rytm godzin wybijanych przez Big Bena, ale także w rytm spojrzeń, odczuć i wspomnień Clarissy i innych postaci. Są wśród nich nieznaną jej Septimus, ofiara wojennej traumy, i jego żona Rezia. Septimus popełni samobójstwo, a wiadomość o tym dotrze na przyjęcie u Dallowayów, gdzie wśród gości znajdzie się jego psychiatra, podobnie zresztą jak wiele innych osób, które wcześniej poznaliśmy. Ich portrety wewnętrzne są istotniejsze od wątej akcji.

Powieść, pisze Magda Heydel, „ze swoją konstrukcją, scenariem i motywem fabularnym wpisuje się w konstelację utworów, które rozpoczynają nową epokę w dziejach literatury” – i przywołuje oczywiście „Ulissesa” Joyce’a (wydanie książkowe 1922), ale także „Ziemie jałową” Eliota i opowiadania Katherine Mansfield. Skupienie się na formie, na odkrywczych metodach oddania rzeczywistości wewnętrznej nie przeszkadza temu, że „Pani Dalloway” jest także, dodaje tłumaczka, przenikliwą analizą zmian, jakie nastąpiły w Anglii po Wielkiej Wojnie, odważną, nowoczesną powieścią o kobietach, „medytacją nad czasem i tożsamością oraz wielowymiarową mapą nowoczesnego miasta”.

Po polsku mamy już właściwie korpus dzieł Virginii Woolf, w tym „Pokój Jakuba”, wybór z dziennika i eseje wybrane w przekładzie Magdy Heydel. Autorką zaś poprzedniego przekładu „Pani Dalloway” była Krystyna Tarnowska. ©

OLGA

Drenda: Nie je, nie pije, a chodzi i żyje



KĄŻDY CZŁEK MUSI JEŚĆ, PIĆ, SPAĆ I SIĘ ZAŁATWIAĆ, to rzecz bezdyskusyjna. O ile jednak przestrzeń publiczna, infrastruktura, budynki i biznesy ułatwiają realizację dwóch pierwszych potrzeb, o tyle z pozostałymi musimy się przygotować na

udział w pasjonującej przygodówce. Nasze miasta przewidują bowiem obecność w nich ludzi, którzy nie bywają seni, a toaleta? Furda tam!

Niedawno, podczas wakacyjnej podróży (tak, wiem, że to zawsze brzmi jak tzw. *humblebrag*, czyli zakamuflowana przechwałka „popatrzcie, byłam ZAGRANICO”, ale musicie mi wybaczyć) spotkało mnie dość długie oczekiwanie na przesiadkę. Myśląc pragmatycznie, zaczęłam się zastanawiać, gdzie można byłoby się zdrzemnąć. Lotnisko, owszem, oferowało specjalne stanowiska, ale za dość wysoką opłatą za 20 przewidzianych na sen minut, oraz wymagało stroju typu *smart casual*, co w mojej ostentacyjnie niskobudżetowej podróży wymagałoby zastosowania myślenia magicznego. Uznając, że takie spanie zarezerwowano widocznie dla bohaterów „Sukcesji”, pożegnałam te zbyt wysokie progi i szukałam dalej. Dowiedziałam się, że do niedawna w Londynie działał drzemkowy hotel, gdzie można było schować się w szufladzie, lecz niestety okazał się nieczynny. W internecie ludzie poszukiwali odpowiedzi na to samo pytanie, bo najwidoczniej łatwiej było znaleźć 24-godzinną imprezę niż spokojne miejsce na dyskretną drzemkę. Okazało się, że istnieje cały półlegalny świat miejskiego snu: pewna wyjątkowo długa linia metra, biblioteki i czytelnie, kina, niektórzy polecali zaś kościoły, gdzie oprócz spokoju ducha można było znaleźć ci-

szę i zbawiennie puste ławki. Wszystko to jednak zamykało się w zbiorze sposobów hakowania systemu, działania na partyzanta, choć dotyczyło niewinnej i wspólnej wszystkim czynności.

Norbert Elias, historyk i znawca obyczaju w Europie, pisał, że im dalej w nowożytność, tym bardziej sen delegowano do dziedziny prywatności i chowano za zasłoną wstydu, obok np. smarkania. We współczesnym zarządzaniu miastami spanie kojarzy się dodatkowo z bezdomnością i uzależnieniami – wszystkim, co stanowi rysę na wizerunku miejscowości zapraszającej do inwestowania. Wynika to z przekonania, że spacze „ubiedniają” przestrzeń publiczną. Dlatego tak wiele angażuje się energii w tzw. nieprzyjazną architekturę, przeszkody, barierki, progi, kolce, pochyłe ławeczki – wszystko, co może zniechęcać do leżenia i spania, a nawet i więcej: do czucia się wygodnie. Oczywiście istnieją otwarte przestrzenie, lecz przysypiając w parku lub hali lotniska, musimy liczyć się z utratą bagażu. Wszystko sprysięga się przeciwko spaniu, aż więc dziwi brak rozwiązań dla spragnionych drzemki. Przecież potencjalnie to niemały rynek.

Pamiętam, że pierwszy raz zastanawiałam się, dlaczego nie ma infrastruktury drzemkowej, gdy zachłyśnięta ambicją postanowiłam zdać na drugi kierunek studiów. Moje ambicje umarły, gdy obudziłam się na sali wykładowej ze zjedzonym do połowy batonikiem w ustach. Japończycy nazywają takie drzemki podczas pracy czy nauki *inamuri* i traktują je jako oznakę pracowitości – ja uznałam jednak, że to znak z nieba, by skupić się na jednych studiach, za to dobrze. Problem spania nie zniknął jednak z mojej głowy. Spędzając nadal całe dnie w centrum Krakowa, a przy tym mieszkając daleko, wypróbowywałam triki na sen, regularnie wykupując bilety kinowe za 5 złotych celem ukrycia się w ciemności. Moja własna przemyślność napełniała mnie dumą; oto zdobałam odznakę spryciary.

Co jednak z toaletą? Odwiedzając polskie miejscowości, regularnie spotykam się ze zjawiskiem znaku WC prowadzącego do zamkniętych drzwi. Często można znaleźć je przy świeżo otwartych atrakcjach turystycznych. Prawdopodobnie uzyskana dotacja przewiduje montaż instalacji sanitarnej, ale trzeba by też zadbać o czystość i ochronę, więc administratorzy przecinają te węzły gordyjskie decydując się na toaletę widmo. Użytkownicy serwisu Wykop dzielili się niedawno własną partyzancką (znów) mapą łazienkową: przy każdej dłuższej wyprawie do miasta zapamiętywali, gdzie można znaleźć stacje benzynowe, centra handlowe, życzliwe punkty gastronomiczne czy (znów) kościoły w okolicach godzin nabożeństw. Z doświadczeń własnych i zasłyszanych wyłania się więc obraz przestrzeni miejskiej jako pola gry terenowej, w której trzeba znać sekretne przejścia i kody – oczywiście jeśli nie jesteśmy istotami nowej generacji pozbawionymi potrzeby snu oraz wolnymi od przemiany materii. Przynajmniej ktoś dba o to, by nie zabrakło nam przygód. Może i to należy docenić.

Mocne słowa,
lecz czy
nieśluszne?



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Copa-Cola



SIEDEMDZIESIĄT KILKA RAZY W TYM ROKU kotalali lobbyści z sektora rolniczego do drzwi europosłów odpowiedzialnych za kształt dyrektywy o ograniczaniu pestycydów. To już jeden z ostatnich klocków tzw. Zielonego Ładu, a zwłaszcza interesującej nas szczególnie części zwanej „od pola do stołu”, z pośpiechem wykańczany, by zdążyć przed nastaniem sezonu wyborczego. Reguły współczesnej demokracji wykluczają, by partie i politycy zajmowali się dalej rzetelną pracą na co najmniej pół roku przed wyborami. Niech ktoś mądrzejszy mi wyjaśni, dlaczego tak łatwo się z tym pogodziliśmy i czy ten cynizm nie jest bardziej toksyczny od pestycydów, których zamierzają się pozbyć orędownicy restrykcyjnej polityki klimatycznej. Czy im się uda, tego wcale nie jestem pewien, patrząc znad swojego stołu na pole srogiej walki, jaka rozegrała się w zeszłym tygodniu w Strasburgu wokół innego kawałka Zielonego Ładu – prawa o odbudowie zasobów przyrodniczych.

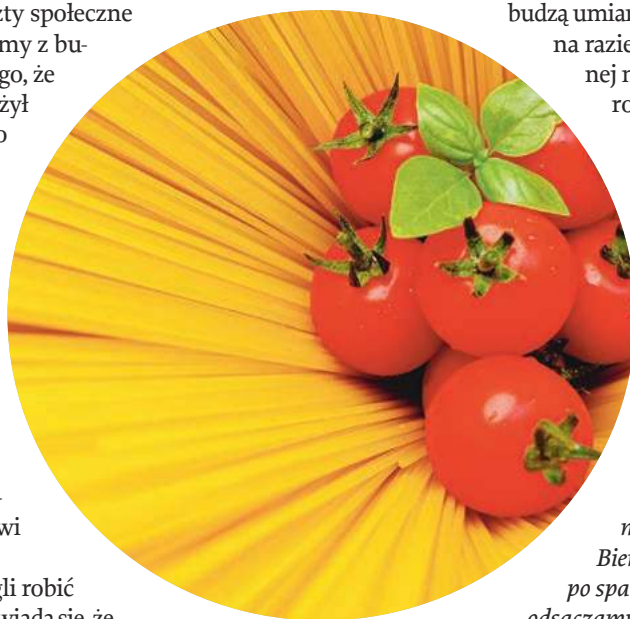
Ten kawałek legislacji może nas w polskim grajdołku zaniepokoić, nawet jeśli nie mamy pojęcia, czy jej zamiar – odtworzenie w ciągu paru lat co najmniej 20 proc. zdewastowanych ekosystemów – istotnie pomoże bioróżnorodności i jak wielkie mogą być jego koszty społeczne (np. droższa żywność lub problemy z budową nowych osiedli). A to dlatego, że w trakcie walki o kształt prawa ożył trup dawno u nas pogrzebanego PO-PiS-u. Europejskie rodziny, do których należą nasi plemienni arcywrogowie, czyli EPL i EKR, podały sobie ręce, dopraszając jeszcze do kompletu koleżeństwo od Le Pen i Salvini. Ze sztafki wyłamała się w platformianej ekipie tylko Janina Ochojska, reszta PO oraz PSL (zwłaszcza PSL) wsparła sprytny i skuteczny plan, w którym po różnych perypetiach przechnięto tyle poprawek, że tekstowi wybito wszystkie zęby.

Twórcy Zielonego Ładu mogli robić tylko dobrą minę do złej gry i zapowiadać się, że w tej kadencji będą już raczej w defensywie, od kiedy kluczowa dla układu sił w Unii centrowa partia postanowiła wykonać zwrot na prawo – a raczej na ludowo, zgodnie ze swoją nazwą właśnie, o ile pod tym pojęciem rozumiemy miękki, niekonfesyjny konserwatyzm, umiarkowaną „swojskościową” ksenofobię, w ogóle wszystko takie po peeselsowsku łagodne poza jednym: nieubłagane pilnowanie interesu rolnictwa, czy raczej agrobiznesu przebranego w chłopskie stroje. Przy okazji skutecznej walki przeciw nowemu prawu podnoszono głównie ar-

gumenty, że to „zniszczy rolnictwo”, i to w okresie, kiedy Europa powinna dbać o suwerenność żywnościową. Sęk w tym, że pod owym pojęciem w unijnej polityce rozumie się przedsiębiorstwa produkujące żywność w sposób i zgodnie z logiką przemysłową, na wielką skalę – wszystkie te monokultury rzepakowe czy kombinaty mleczno-mięsne z ich skonsolidowanym zapleczem paszowym oraz siewnym i chemicznym. Wielka czapka izb rolniczych z całej Europy o nazwie Copa Cogeca to kolos lobbystyczny, jednak jej związki z taką „wsią”, o jakiej zwykle myślimy, są żadne.

Ale europejscy chadecy i ludowcy nie stali się życzliwymi słuchaczami producentów prefabrykowanego jedzenia z miłości do wielkiego kapitału – jeśli zresztą o niego chodzi, to za przyjęciem śmielszej wersji przepisów o odtworzeniu natury lobbowały z drugiej strony m.in. Nestlé, Unilever i Coca-Cola. Rzecz w tym, że upleciony z piarowej słomy chochoł bliskiego przyrodzie i spokojnemu życiu „rolnictwa” okazuje się świetną pułapką na głosy ludzi. Choć nie mają związków z realną wsią, to tym bardziej w rojeniach o niby-wsi lokują oni swoje dyskomforty wynikające ze zbyt szybko zmieniającego się świata. Zwłaszcza że oponenci, czyli działacze ekologiczni, ułatwiają sprawę, zachowując się przeważnie w sposób odpychająco moralizatorski czy wręcz arogancki, niczym kiepskie klony Greta Thunberg. Trudno liczyć, że tego rodzaju napuszona twarz ruchu klimatycznego może przekonać ludzi umiarkowanie zainteresowanych tematem.

Cóż począć, jeśli chcemy dobrze dla siebie i bliźnich? Słuchać Copa Cogeki czy Coca-Coli, skoro oba podmioty budzą umiarkowane zaufanie? Obawiam się, że na razie musimy pozostawać w sceptycznej nieświadomości. O procesach przyrodniczych wiemy wszak tyle, że jak się zaleje ogórki solanką, to po paru dniach zrobią się cudownie kwaśne. Fermentacja mlekowa na razie jeszcze działa, mam nadzieję, że przynajmniej do końca tej kadencji. ©P



Pamiętacie o moim sposobie na to, by powitać i się nacieszyć jak głupi pierwszymi prawdziwymi pomidorami z gruntu (fanfary)? Najprostszy smakowo, choć nieco pracochłonny makaron.

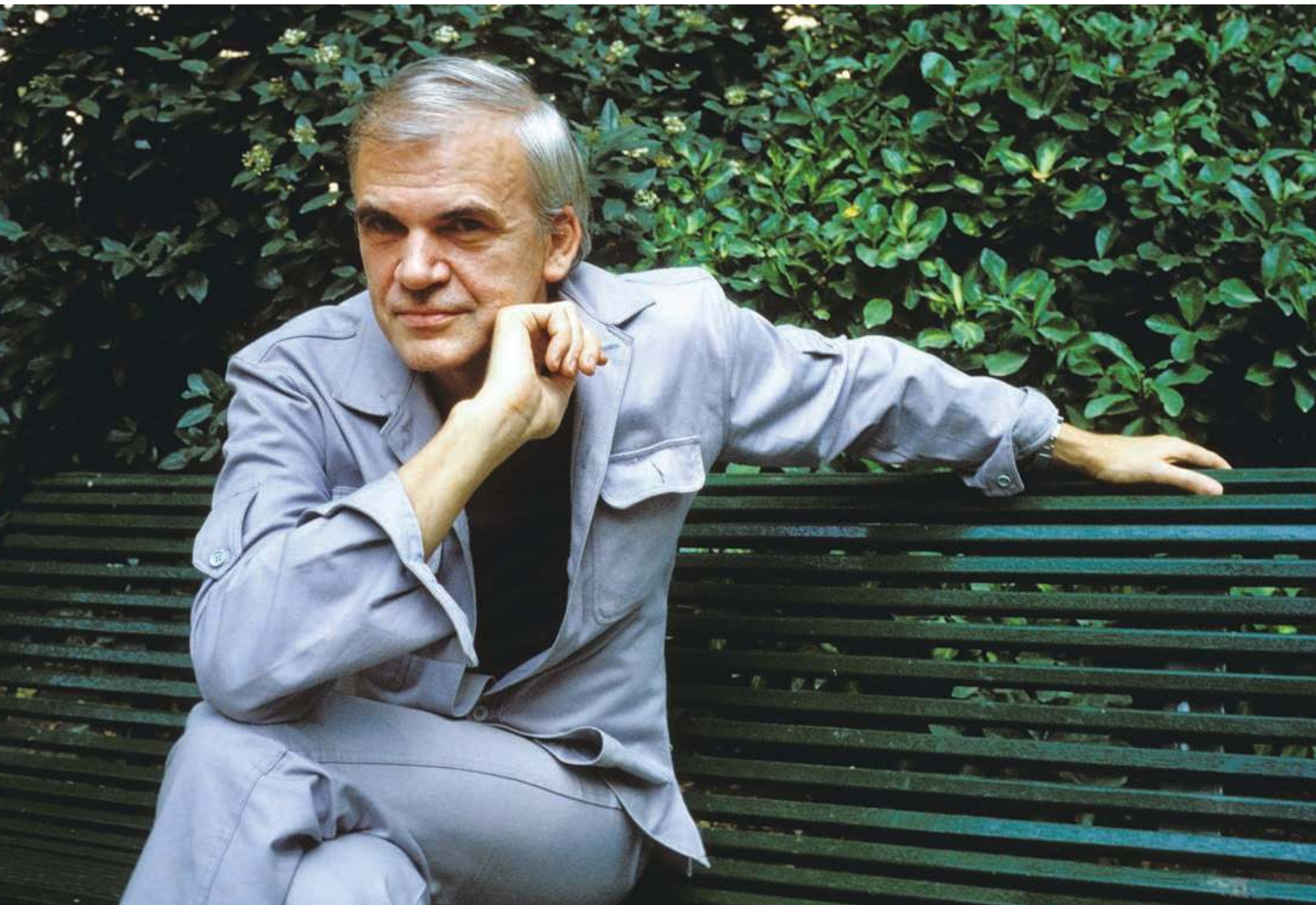
Bierzemy po 1-2 pomidory na osobę, po sparzeniu obieramy, kroimy w kostkę, odsączamy na sicie nadmiar płynu, przekładamy do dużej metalowej miski wraz

z posiekany drobno czosnkiem (po jeden ząbek na pomidora), oliwą, solą i sporą garścią listków bazylii. Stawiamy miskę nad garnkiem, w którym grzeje się woda na kluski, aż mieszanina się zmaceruje i pod wpływem ciepła wyzwoili aromaty. Odkładamy na bok, we wrzątku gotujemy makaron, najlepiej spaghetti. Kiedy gotowy, natychmiast przetrzucamy do miski, bardzo intensywnie mieszając – kluczowy jest szok termiczny. Jeszcze na talerzach doprawiamy na surowo oliwą.

ZŁOTE MIASTO MILANA KUNDERY

„Żart to podstawowa kategoria ujmująca nasze istnienie” – powtarzał.
Poważna niepowaga powieści miała uderzać w każdą szczelną powagę.
Czyli prawie w każdego i we wszystko.

MAREK BIĘCZYK



CZY PISARZ MOŻE SIĘ ŚNIĆ NAMOLNIE LUDZIOM, KTÓRZY NIE znają go osobiście? Taki oniryczny fenomen uświetnił kilkanaście lat temu swoją obecnością Roberto Bolaño. To była wręcz senna epidemia jego czytelników, poświęcono jej całe artykuły, mnie również się śnił. Podejrzewam, że w latach 80., kiedy popularność Milana Kundery (urodzonego w prima aprilis 1929 r.) sięgnęła zenitu, autor „Nieznośnej lekkości bytu”, tytułu, który włożył ludziom do głowy jak tajemna alchemiczna formuła, również nachodził śpiących; pamiętam – jak przez sen – opowieści przyjaciół. Jego nazwisko dźwięczało w powietrzu jak rój pszczoł. W jednej z próz Pilcha „Nieznośna lekkość bytu” czytana przez pasażerkę tramwaju staje się pretekstem do nawiązania komunikacyjnego romansu. I tak dalej.

Była w tym wszystkim, podobnie jak w przypadku Bolaña, nadwyzka emocjonalna, która przerastała intelektualne rozpoznanie książek, do analizy dorzucała gorączkę, małe szaleństwo. Skąd ten amok się brał? Należałoby zapewne mówić o wstrząsie estetycznym. O jakiejś drzemiącej, a niezaspokojonej potrzebie. O narkotyczno-erotycznej formie, w którą chce się wleźć jak do własnego domu, by w niej zamieszkać; tekst literacki miewa czasem taką zmysłową, irracjonalną siłę oddziaływania. A później też o bezpośredniej erotycznej atrakcji, która, jak twierdziła sprawdzona wieść, przyciągała paryżanki na wykłady; miał je wygłaszać Milan, lecz na mównicę wchodził Tomasz, a one były Teresami.

Dla czytelników na Zachodzie wstrząs przynosił inne odkrycie niż u nas. Tam uświadamiał – głównie Francuzom – że istnieją inne możliwości opisu naszej egzystencji niż bezkształtne powieści wyznania, powieści rozrachunki (rodzinne, miłosne), powieści pięknego pisania, powieści jak leci, a wszystko do jednorazowego użytku. A na wyższym poziomie niż różnego rodzaju nowe powieści – powieści eksperymenty, w większości przypadków nieczytelne.

Kundera niejako przypominał, że był ktoś taki jak Diderot, jak Balzac i przede wszystkim jak Flaubert, i że powieściopisarze przeszłości ciążą nad obecnymi tak, że nie ma mowy o taryfie ulgowej. Co miało znaczyć: powieść – jak chciał tego Broch – jest instrumentem do zdobywania wiedzy o ludzkiej egzystencji. W tym sensie jest mądrościowa i jako taka tworzy oddzielną sztukę, a nie ledwie jeden z literackich gatunków. Dla powieściopisarzy ogromnie istotne jest to, że Kundera, określając powinność powieści, zrewolucjonizował byt powieściowego bohatera.

Jak ujął to Alain Finkielkraut, Kundera uwolnił pisarzy francuskich od awangardy, a „ściślej mówiąc, uchronił nowoczesność przed przejściem jej przez awangardę”. To znaczy pokazał, że literatura nowoczesna nie musi zabiegać usilnie o absolutną nowoczesność i zrywać z literacką tradycją. Można sądzić, że estetyka Kundery, jego eseje o sztuce powieści i jego miłość do literatury środkowoeuropejskiej, Gombrowicza, Brocha, Musila, miały pewien wpływ na przeprofilowanie literatury francuskiej w ostatnim czterdziestolecu – choć wpływ ten dzisiaj wygasa pod nowym naporem literatury nieepickiej i pseudoepickiej.

U nas z kolei, za komuny, powieściowa estetyka Kundery uderzała najmocniej w nasze literackie kompleksy historyczno-polityczne, rozniecone dodatkowo przez stan wojenny.

Milan Kundera, Paryż, 1984 r.

Jak pisać literaturę w sytuacji zniewolenia, czy można dbać o jej artystyczną formę? Czy kiedy płoną lasy, można estetyzować nasze doświadczenia społeczne, nasz stosunek do historii, zajmować się badaniem egzystencji, teatru erotyki i teatru życia codziennego?

Powiedzieć nam w 1984 r., że naszym największym wrogiem nie jest komunizm, lecz kicz, zdawało się wyzwaniem obrazyburczym. Podobnie jak powiedzieć, że jedyną moralnością powieści jest odkrywanie niezbadanych gestów egzystencji, a nie oskarżycielskie ujawnianie krzywd wyrządzonych przez ustrój czy biadolenie albo melancholijne snucie się po mieście. Kundera pokazywał wówczas, że o polityce można pisać inaczej, jako materiale choć wszechobecnym, to tylko pomocniczym.

Świat kupił Kunderę; mniej kupiła go czeska publiczność – bo też Kundera operował powszechnikami łatwo podatnymi na uniwersalizację, które trudno uznać od strony wnętrza, z jakiego się wywodzą, od strony kolejek do „sklepów mięsnych”, od strony codziennej trywialności, ale też od strony cenzury, prześladowań, słowem: od strony rzeczywistości, która skrzeczy. Ona skrzeczała, a jego interesowały takie pojęcia antropologiczne jak pamięć, śmiech, litość, powtórzenie, wieczny powrót. Ona dociskała, a on pisał o niepsychoanalitycznym „kodie egzystencjalnym”, czyli zbiorze słów kluczy, które determinują nasze zachowania, wyznaczają nasze wyobrażenia o świecie i nas samych. To była dla czytelników gratka: nasze skromne istnienia poddane presji politycznej, społecznej, a na Zachodzie kapitalistycznej i imagologicznej, otrzymywały bonus na pohybel wielkiej historii, brały swój mały rewanż. Nawet jeśli kosztem miało być ironiczne spojrzenie na samego siebie i odkrycie, że twarda tożsamość jest tylko ułudą redukującą myślenie.

A widzisz?

Kundera uważał, że zasługa za upadek muru berlińskiego została wykradzona Solidarności, że to jej Europa Środkowa zawdzięcza wyzwolenie w 1989 r. Dla Polski jako tygla kultury i kotła ówczesnych dziejów żywił nie tylko szacunek, lecz wręcz uwielbienie. Ale bardziej o jego stosunku do historii mówi zachwyt anegdotą o Jacku Kuroni, który – w przeddzień ogłoszenia stanu wojennego i internowania – z wysokości stołka barowego w Europejskim opowiadał grupce studentów żadnych politycznej dyskusji nie o strajku na uniwersytecie, nie o dobrych czy złych decyzjach Wałęsy, lecz o wyższości armanianu nad koniakiem, który właśnie spożywał.

Właściwie tę autentyczną scenę w innej postaci Kundera ileś tam razy opisał wcześniej i później w powieściach – zawsze gotów do zejścia w bok od głównego nurtu, do wypatrzenia szczegółów, które zaprzeczają powszechnej opowieści; coś z postawy dzielnego wojaka Szwejka. Stan wojenny, no ale przecież armaniak. Wejście do Czechosłowacji wojsk sowieckich, no ale przecież gruszki! Jeden z bohaterów „Księgi śmiechu i zapomnienia” umówił się pomóc sąsiadce zrywać gruszki, jakże mógł nie przyjść?!

I ta znana historyjka, którą Kundera ze swoją żoną Verą lubili opowiadać. Vera jeszcze nie jest żoną, spędzają noc w jego alkowie, o trzeciej nad ranem słychać pukanie do drzwi, on nie chce za nic w świecie otworzyć, ona nalega, chciałaby poznać tę setną uwiedzioną przez niego dziewczynę, wreszcie idzie sama do drzwi. Za drzwiami nikogo, na wycieraczkę kartka papieru. →

→ Czyta na głos: „Panie Milanku, Armia Czerwona wkroczyła do Czech. Sąsiadka”. Na co Milaneł oddycha z głęboką ulgą: „No widzisz?”.

Obserwowanie egzystencjalnych przesłanek wyborów politycznych i odwrotnie, ujawnianie zachowań codziennych jako dokładnych kopii tych samych postaw, które się politycznie zwalcza (terror matki zwalczającej aktywnie komunistyczny terror wobec własnego syna itp.), wieczne odtwarzanie zachowań były zawsze jego *idée fixe*. Czechów liżących przez długie lata rany po Praskiej Wiośnie mogło to irytować; brali heroiczną stronę Havla, który pozostał w kraju. Mogło to irytować nas pod Jaruzelskim, ale kilka dekad później irytować przestaje, gdy tylko się rozejrzeć wokół i przekonać, że polityka to kopiowanie pod innymi nazwami wcześniejszych, minionych, zdawałoby się, działań i postaw. A samego Kunderę nic bardziej nie irytowało niż uznawanie jego książek za polityczne i dysydenckie.

W swoich powieściach był późnym wnukiem Demokryta. Tym, kto odchodzi z miasta, by z dystansu patrzeć na *gesta homines*, sprawy ludzkie, i się śmiać; czeski humor inaczej. Nie tylko z konkretnych błędów, lecz z ludzkiego losu. Z wpisanego weń wiecznego nieporozumienia, żartu, *qui pro quo*. „Żart to podstawowa kategoria ujmująca nasze istnienie” – powtarzał te słowa w wywiadach, póki ich udzielał. Dlatego uznawał powieść za byt antytotalny i antytotalitarny w każdym znaczeniu słowa; jej poważna niepoważna uderzać miała w każdą szczerłą powagę. Czyli prawie w każdego i we wszystko.

Mozna by nawet pomyśleć, że Kundera lubił – autoironia była jego silną stroną – dezerterować z własnego życia. Aż do końca. W dopiero co wydanej w Paryżu kolejnej książce o nim autorstwa Florence Noiville publicznie, za zgodą Very (chciałbym wierzyć, że była to jej „artystyczna” decyzja), ujawniono tajemnicę poliszyneła, to mianowicie, że w ostatnich latach stracił pamięć. Podobnie jak inny mistrz demistyfikacji i jeden z jego ulubionych pisarzy Emile Cioran. Książka nosi tytuł będący cytatem z Kundery: „Pisać – co za dziwny pomysł”. Pod koniec życia Kundera nie wiedział nawet – no bo co to za dziwny pomysł? – że był kiedyś pisarzem.

Mówił już tylko po czesku, porzucił francuski, naturalny powrót do przeszłości, koda. Zmarł 11 lipca w Paryżu.

Czechofrancja

Na ogół, kiedy rozważa się jego twórczość, stawia się cezurę między okresem czeskim (ostatnia czeska książka to „Nieśmiertelność”; 1990) a okresem francuskim. Ewentualnie między latami spędzonymi w Czechach i latami na emigracji (we Francji od roku 1975).

To podział sztuczny, zewnętrzny, bez większego znaczenia. Każdy artysta kreśli własną, słabo widzialną z zewnątrz drogę i jej zakręty sytuują się na innych poziomach niż łatwo dostrzegalne fakty biograficzne (emigracja, zmiana języka). „Żart” (1969), jego powieściowy debiut, jedna z najważniejszych i najlepszych książek Kundery, zawdzięcza swoją siłę nie tylko fantastycznemu rozpoznaniu egzystencji w czasach stalinowskich, lecz także energii pisarskiej młodości. To jedyna – i najdłuższa, gdyby policzyć znaki – powieść, w której nie ma zewnętrznego narratora; składa się ona wyłącznie z monologów poszczególnych postaci, podobnie jak porywający „Dzicy detektywi” Bolla.

Później, aż po ostatnią książkę, „Święto nieistotności” (2014), narrator zewnętrzny zaczyna odgrywać coraz większą rolę i sam staje się jednym z bohaterów, na koniec bohaterem głównym. Wiąże się to z narastającą refleksją nad formą powieści, której pierwszą kulminacją będą „Nieżnośna lekkość bytu” i „Nieśmiertelność”, obie siedmioczęściowe, co przywodzi na myśl konstrukcję sonaty. Po nich, świadomy, że stał się dogmatykiem własnej metody kompozycyjnej, Kundera przeszedł na formę krótką, jednotematyczną, wzorowaną na formie fugi. Te niewielkie i pisane już po francusku powieści kryją się w cieniu poprzednich, ogólnie rzecz biorąc mimo różnych świetności słusznie. Aczkolwiek konsekwencja pisarza jest radykalna – co widać po ostatniej powieści, w której dochodzi do całkowitego odchudzenia czy wręcz podważenia powieści (oczywiście w formie powieściowej), do jej dezinkarnacji. Ciało powieści – by tak rzec – kurczy się niepomniernie, niemal zanika, pisarz może postawić ostatnią kropkę.

To przejście od pełni „Żartu” do pustki nieistotności – czy Różewicz też nie szedł podobną drogą? – ma w sobie coś gnostyckiego; zerwać z materią (ciała i powieści), z prokreacją (wszystkie dzieci w jego książkach są okropne), wycofać się w przestrzeń niedookreśloną i w niej smakować bezimienne tchnienie bycia. Jak ulubieni bohaterowie Kundery, Sabina z „Nieżnośnej lekkości bytu” i zwłaszcza Agnès z „Nieśmiertelności” (na ogół są to kobiety), którzy rozpoznali najlepiej mechanizmy życia, odrzucili ich presję i osiągnęli choć na chwilę duchowe wyzwolenie.

Muzyka i aktualności

Ojciec Kundery był uczniem Leoša Janáčka, jego pierwsza żona, śpiewaczka operowa Olga Haas – córką kompozytora Pavla Haasa, który zginął w Auschwitz. Jeszcze w Paryżu Kundera wysłuchiwał francuskich wykonawców oper Janáčka po to tylko, by zobaczyć, jak orkiestra wzięła jedną szczególną nutę (wzięła źle). Kiedyś spytał węgierską znajomą, który język uważa ona za bardziej muzyczny: rosyjski czy węgierski. Odpowiedziała zgodnie z obiegową opinią: oczywiście rosyjski. Oczywiście nie, replikował i dokładnie argumentował swoje zdanie, rysując pięciolinie i nuty w powietrzu.

Kompozycja muzyczna (czyli matematyczna) to domowa specjalność Kundery, również muzyka z wykształcenia. Mało na żywioł, dużo na układ, na metodyczną powtarzalność tematów, ich wariacje. Nie był, jak Hrabal, jazzmanem literatury. Kiedyś Hrabal odwiedził go w Paryżu, dzień po dniu szli do knajpy; Hrabal opowiadał dwa razy tę samą historię. Tyle że jej zakończenie drugiego dnia było inne niż pierwszego; bardzo to Kunderę rozbawiło. Hrabal jazzował, synkopował, czarował od pierwszego zdania, leciał przed siebie jak szalony na skrzydłach fantastycznie rozkosznych zdań. Polski czytelnik o wiele lepiej słyszał tę słowiańską frazę, ten cudowny *flow*, tę niepowstrzymaną gawędę niż czytelnik zachodni.

U nas Hrabal wiodł rej i przewodzi do dziś czeskiej literaturze; jest niepodważalny. Nie znam żadnej złej recenzji jakiegokolwiek jego książki. Kundera wzbudza polemiki, bywa odrzucany. Już to dlatego, że kompozycja czy konstrukcja powieściowa nie ma dla nas takiego powabu, że dość łatwo uznajemy ją za sztukę dla sztuki albo za pretensjonalne wydziwianie. Szczególnie dzisiaj, w obecnej sytuacji wojennej, politycz-

nej i społecznej, gdy – jak wyraża to w ostatniej książce Renata Lis, ale nie jest to głos odosobniony – znowu nie czas na „piękne incypity” i w ogóle na całe to estetyzowanie (nie zgadzam się, ale rozumiem i przytaczam, gdyż trend jest wyraźny). Już to dlatego, że nad skomplikowane koncepty antropologiczne przekłada się przyjemny konkret gospody Pod Złotym Bażantem. Czy też dlatego, że pojedyncze zdania Kundery nie porywają, zdają się czasami – tłumacz musi to przełknąć – zbyt proste i widać wówczas nagie kości konstrukcji. Ja sam nie lubię z kolei tych nielicznych stron, na których ironia przeradza się w satyrę. Ale obaj, i Hrabal, i Kundera, są – każdy inaczej – pisarzami ludycznymi i realistycznymi, rozpoczynającymi pisanie od schwytanego na żywo detalu, od mikroaktualności, i świetnie się dopełniają.

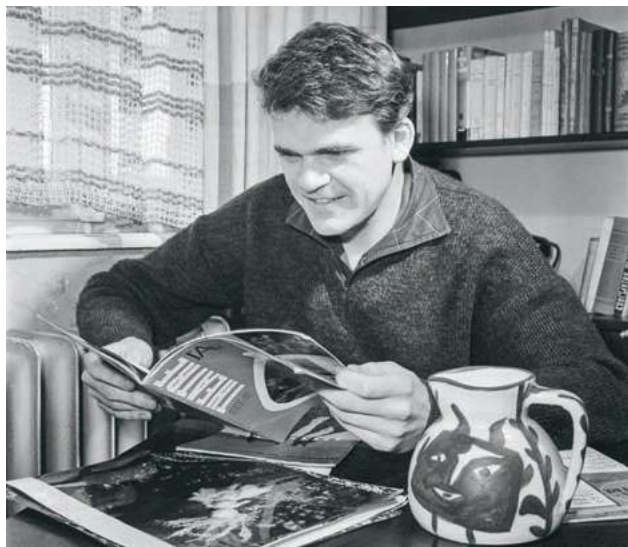
I wreszcie powód ostatni ewentualnej niechęci do Kundery, zewnętrzny. Znana historia z donosem na kumpla dziewczyny, jakoby złożonym na milicji, gdy pisarz był jeszcze młodzieńcem. Nie będę o tym pisał, wystarczy mi słowo Kundery.

Małe kraje

Tam, gdzie jest wyzwolenie, tam jest utopia. Kundera od samego początku, od głośnego przemówienia na Zjeździe Pisarzy Czechosłowackich w 1967 r., wznosił Złote Miasto kultury. Tylko kultura, twierdził od tamtej mowy do ostatnich poświęconych literaturze, malarstwu i muzyce esejów (a te pisał przez całe życie), ma moc scalającą i ocalającą; tylko ona może być fundamentem i narodowej, i zarazem europejskiej tożsamości.

Zdarzało się – paradoksalnie – że przypieczano mu we Francji etykietkę zapieklego konserwatysty czy nawet reakcjonisty, tak jak Michelowi Houellebecqowi czy Alainowi Finkielkrautowi, bliskiemu przyjacielowi Kundery. Nie tylko za konkretne zachowania, jak wsparcie dla Polańskiego czy dystans wobec „poprawności politycznej” i do pierwszych manifestów tego, co nazywa się dziś ruchem „obudzonych”, lecz także za bezwarunkowe uznanie za najwyższą wyrocznię sztuki i literatury, których kultywowanie wymaga nieustannego dialogu z tradycją. Europa znaczyła dla niego to właśnie: wspólnotę dziejów jednej kultury, jedną wspólną historię muz. Paradoks polega na tym, że wszyscy ci „reakcjonisci” głosili absolutną wierność wobec literatury i bronili jej niczym religii jako najwyższej wartości. Finkielkraut, który nauczył się tego od Kundery i który uchodzi dziś we Francji za reakcyjne monstrum, czynił to żarliwie w kilku książkach.

O tej wspólnotocie mówi równie słynny co „Nieznosna lekkość bytu” esej z roku 1983, „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej”, zaczynający się od słów dyrektora Węgierskiej Agencji Prasowej w dniu inwazji sowieckiej na Budapeszt w 1956 r.: „Umieramy za Węgry i za Europę”. Kundera zabronił jego wznowienia (mimo wszystko doszło do niego rok temu), uznając go za nadto publicystyczny, czytaj: idealistyczny. Istotnie, jego koncepcja Europy Środkowej jako bytu należącego – siłą i orientacją swojej kultury – wprost do Zachodu wywoływała wiele kontrowersji i mogła wydać się cokolwiek życzeniowa i naiwna oraz nadto pedagogiczna. Choć, jak pisał Jacques Rupnik, esej Kundery „przyczynił się do przekształcenia mentalnej mapy Europy” i, dodajmy, mógł mieć pośredni wpływ na rozszerzenie Unii Europejskiej.



Milan Kundera, Praga, 1963 r.

Kiedy ponownie czytamy ten niby stary i przebrzmiały tekst, stajemy wobec świeżej lawiny dźwięków: dzwoni w każdym kościele. Porwanie Zachodu, czyli wycięcie Zachodu z Europy Środkowej. W 1956 r. czynili to Rosjanie i same państwa zachodnie, które przestały już posługiwać się językiem kultury i nie rozumiały, na czym polega istota Europy Środkowej, łącząc ją nieodmiennie ze Wschodem. Teraz próbują tego samego Rosjanie oraz lokalni zwolennicy samobójstwa na Węgrzech, w Polsce, w mniejszym stopniu na Słowacji i w samych Czechach. Błyskotliwi sprzymierzeńcy własnych grabarzy, którzy nie tylko zwijają prozachodnią politykę, lecz także usiłują odgórnie profilować i obciosywać kulturę.

Ale też dźwięczy w uszach bynajmniej nie farsowa powtórka z historii, czyli prezydent Zełenski sięgający po ten sam obraz misyjnej śmierci za Europę: „Bronimy Ukrainy i bronimy w ten sposób Europę”. Idea małych krajów niepewnych swojego istnienia, swojego przetrwania w przeciwieństwie do krajów zachodnich, których istnienie jest oczywistością – podstawowa w eseju Kundery – wróciła z całą mocą.

To, że Ukrainy nie spotkał los Węgrów w 1956 r., to, że tym razem Zachód ostatecznie zrozumiał coś więcej, wydaje się nauką wyciągniętą z tekstu Kundery. Oczywiście nie dosłownie; ale problematyzacja ustawiona przez pisarza przewędrowała w taki czy inny sposób, pokonując mnóstwo przeszkód, do zachodniej myśli politycznej; doradcy Macrona dokładnie Kunderę przeczytali. Kiedy przeglądam składane mu nazajutrz po śmierci hołdy, widzę, że te najzarliwsze przychodzą z „małych krajów”, które szczególnie i prywatnie ukochał: z Quebecu, z Karaibów, z Islandii.

Problem z pisanem o Kunderze wynika z faktu, że dokładnie obwarował swoje dzieło; powywieszał na rogatkach sztandary. Autokomentarze bezpośrednie i pośrednie, gdy sam komentuje dzieła innych, narzucają rodzaj tautologii: powtórzenia inaczej tego, co sam powiedział. Trzeba jeszcze będzie – gdy minie czas – próbować inaczej, wdzierać się do warowni bocznymi bramami i podziemiami. Teraz mogę tylko powiedzieć, że ogromnie namieszał. Nie mam pojęcia, czy jego dzieło przejdzie do nieśmiertelności, czy też źle się zestarzeje i popadnie w zapomnienie; wiem tylko, że wrzucił kamień w spokojną taflę i rozhuśtał zasypiające jezioro.

© MAREK BIENČYK

STANISŁAW

Mancewicz: Najważniejsze pytanie w Polsce



GENERALNIE RZECZ UJMUJĄC, DOWOLNE WRĘCZANIE mieczy, pasowanie na rycerzy, trąbienie wsiadanego, płochę igrce, wdrapywanie się na namydlony słup bądź to naciąganie cięciwy – wszystkie te czynności, coraz popularniejsze wśród rodzimego ogółu, wskazują na uogólniony powrót do średniowiecza.

Popularność tej epoki, jej obyczajów, technologii czy ówczesnych stosunków społecznych rośnie w Polsce z roku na rok. Od dawna. Owo rośnięcie jest rzecz jasna wprost proporcjonalne do spadku poziomu nauczania historii w polskiej szkole i można powiedzieć tylko tyle, że wiedza o średniowieczu współczesnego polskiego rycerza jest naskórkowa. Obecne polskie rycerstwo uprawia średniowieczność. Rzec można, ideowo i instynktownie, na podstawie legend o Smoku Wawelskim, śpiących rycerzach czy twórczości Henryka Sienkiewicza, jedynego niezłustrowanego polskiego noblisty. Ponieważ nasze rycerstwo ma zasadnicze kłopoty z prawidłowym odczytaniem rzeczywistości, jest – by dla przykładu wymienić jakąś jego cechę – tradycyjnie zaleknione. Zespołowi tych lęków przyglądamy się od lat z zaciekawieniem, zwłaszcza strachowi przed ekspansją Krzyżaków bądź Saracenów. Nie podejmujemy się dziś głębszej analizy antykrzyżackości, robią to profesjonalne komórki badawcze w Polsce i za granicami, i dodajmy – jest to zajęcie w świecie nauki modne. W zamian zajmujemy się twórczo mieczem.

Mieczem rzekomo pochodzącym – jak czytamy w prasie – „z czasów Mieszka I”, kupionym za ćwierć miliona złotych w „polskim antykwariacie” przez polskie przedsiębiorstwo państwowe i wręczonym T. Rydzikowi z Torunia przez ministra aktywów państwowych J. Sasina. Wręczenie miecza księdzu (T. Rydzik jest księdzem katolickim) przez funkcjonariusza państwa ma swój solidny wymiar symboliczny i w rycerskiej, a więc katolickiej Polsce nikogo nie dziwi. Szkoda. Ciśnię się oczywiście

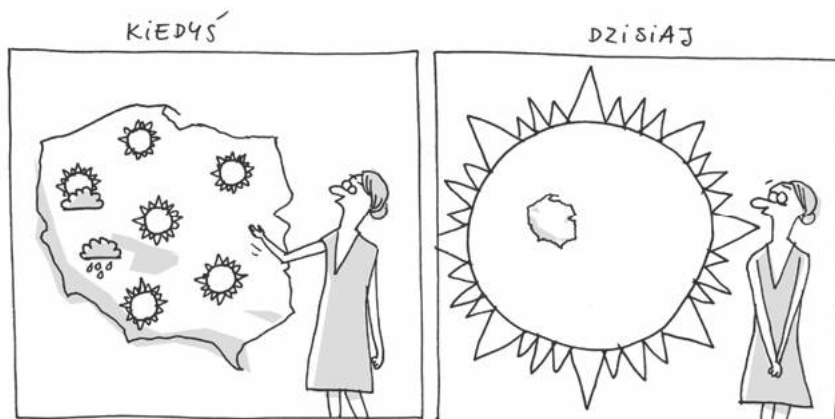
pytanie, po co państwowy moloch energetyczny kupuje katolickiemu księdzu, za wielkie pieniądze, miecz, którego, nawiasem mówiąc, autentyczność jest wątpliwa. Wedle pobieżnych ocen znawców broni dawnej, a cytowanych w prasie, jest to podróbka.

Otóż miecz kupiony „w polskim antykwariacie” i wręczony przez partyjnego prominenta księdzu skojarzył nam się z podobnym prezentem. W 1999 r. do przytrzymanego w Anglii generała A. Pinocheta, byłego dyktatora Chile, pojechali poseł AWS-ZChN M. Kamiński, członek KRRiTV, niegdyś marszałek Sejmu RP M. Jurek i redaktor naczelny gazety „Życie” T. Wołek. Zabrali ze sobą ryngraf z Matką Boską, który owemu Pinochetowi wręczyli. Od nas – jak tu ponuro siedzimy – wszystkich. Zrobili to w imieniu narodu polskiego. Czuli mus i poszli w koszty. Zważyć też koniecznie należy – to ważny detal – że wycieczka do Londynu do tanich naonczas nie należała, nie było jeszcze bowiem tanich linii lotniczych.

A więc zabawa w średniowiecze i takąż gestykulację ludzi władzy nie jest wymysłem lat ostatnich, ale dawnym. Oczywiście, szarego szarością najszarszą obywatela nie stać na kupowanie drogich mieczy czy ryngrafów, by je rozdawać możliwym tego świata. Współczesny obywatel średniowiecznej Polski wykuwa swój miecz w pocie czoła raczej po to, by z nim wystąpić bądź to w scenie rekonstruującej grunwaldzką wiktoria, bądź podczas sesji rady gminy, gdy owa debatuje nad uchwałą zakazującą seksualizacji polskich rodzin.

Wszystko to, o czym powyżej, siłą rzeczy, skrótowo napomknęliśmy, domaga się, jako się rzekło, generalnej odpowiedzi na podstawowe pytanie: „po co?”. Jest ono zadawane w Polsce za rzadko, niemal nigdy, choć powinno być zadawane raz na sekundę, przez okrągły rok, tzn. 31 556 926 razy. „Nie masz Żyda, ani Greka; nie masz niewolnika ani wolnego; nie masz mężczyzny i niewiasty...”, słowem, nie ma nikogo, kto by odmówił nam geniuszu w formułowaniu tego typu postulatów. ©

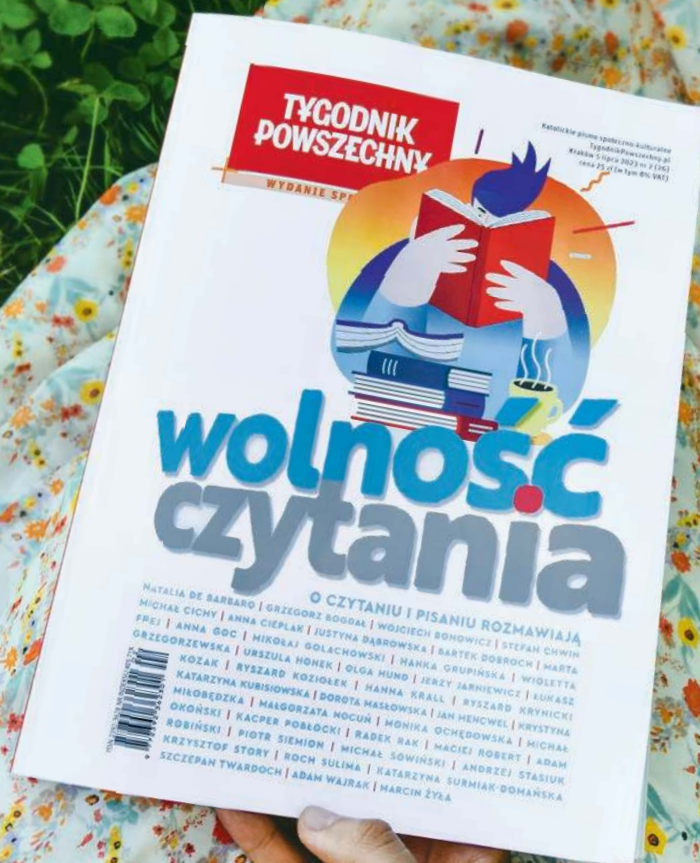
BARTOSZ MINKIEWICZ



Weź urlop na czytanie!

26 rozmów z pisarkami
i pisarzami.

JUŻ W SPRZEDAŻY!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNAŃSKA-TARAN

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY WYDANIA:



Armenia i Gruzja – perły Kaukazu

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Erywań. Zwiedzanie miasta, m.in. Muzeum Historii Armenii, Plac Republiki, Opera, Kaskady i Pomnik Ofiar Ludobójstwa Ormian. Dz. 3 Wyjazd do Wagharszapat, katedra w Eczmiadzinie, klasztor Chor Wirap i wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO ruiny katedry w Zwartnocy. Dz. 4 Wyjazd do destylarni brandy, świątynia w Garni, wpisany na listę UNESCO klasztor Geghard i Instytut Matenadaran. Dz. 5 Erywań-Tbilisi. Jezioro Sewan - wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO klasztor Hachpat - górskie miasto Dilidżan - Przejazd do Tbilisi (Gruzja). Dz. 6 Zwiedzanie Tbilisi, m.in. świątyni Metechi, łaźni i twierdzy Narikala. Dz. 7 Tbilisi – Gudauri. Mccheta. Monastyr Dźwari, katedra Sweti Cchoweli, Gori – miasto Stalina i starożytne miasto Uplisciche. Dz. 8 Gudauri – Tbilisi. Kazbek, Stepantsminda i przejazd samochodami SUV do klasztoru Cmindza Sameba (Święta Trójca). Dz. 9 Wycieczka do górskiego miasteczka Signagi i odkrywanie tradycyjnej produkcji wina. Dz. 10 Czas wolny w Tbilisi. Nowoczesne Tbilisi (wycieczka dodatkowo płatna). Dz. 11 Wylot z Tbilisi do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 17/09 2023, 18/05, 14/09 2024 | od **6.998,-**



New York, New York

Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Nowego Jorku, USA. Dz. 2 New York, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brooklyński. Dz. 3 New York, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima. Dz. 4 New York, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Mate Wtochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). Dz. 5 New York, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i wycieczka po porcie. Dz. 6 New York. Czas wolny i powrót do domu. Dz. 7 Przylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 15/09 2023, 30/04, 02/05, 08/09, 10/10 2024 | od **8.848,-**



Viva Mexico!

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Mexico City. Dz. 2 Mexico City. Zwiedzanie miasta, Muzeum Antropologiczne i starożytne kanały Azteków w Xochimilco. Dz. 3 Mexico City – Palenque. Dz. 4 Palenque i słynne ruiny Majów. Dz. 5 Palenque – San Cristóbal de las Casas. Krótki spacer po mieście. Dz. 6 San Cristóbal de las Casas. Wizyta u indiańskich plemion. Dz. 7 San Cristóbal de las Casas – rejs w Kanionie Sumidero – Tehuantepec. Dz. 8 Tehuantepec – destylarnia Mezcal – lokalne rękodzieło – Oaxaca. Dz. 9 Oaxaca i Wzgórze Świątynne Monte Albán. Dz. 10 Oaxaca – Puebla. Spacer po mieście. Dz. 11 Puebla – Mexico City. Teotihuacan. Powrót do Polski. Dz. 12 Przylot do Polski.

12 dni | Wyloty z Warszawy 09/11 2023, 15/02 2024 | **10.998,-**



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP26

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.